

WITOLD MAKOWIECKI

PRZYGODY MELIKLESA GREKA



NASZA KSIĘGARNIA

1947



1042

H
Mak
Przy

4870



CZĘŚĆ I



Zapadał szybki zmierzch podzwrotnikowy. W ogrodzie pełnym przepysznej, bujnej roślinności, wyniosłych palm, tuj, rozłożystych cedrów, rosnących kępami krzaków oleandrów, dzikich róż i wina ściemniało się prędzej niż gdzie indziej. Splątane, piętrami wznoszące się nad sobą korony drzew nie pozwalały resztkom światła przedrzeć się niżej, zarzucały sieć cieni na położony w dole pałac, na fontanny i mury ogrodu. Sieć gęstniała, cienie rosły, sylwetki drzew czerniały, noc duszna, drapieżna, noc afrykańska wychylała się gwałtownie z wszystkich naraz stron.

Nehurabked stał w półotwartych drzwiach pałacu. Patrzył w ogród i jaśniejące jeszcze niebo. Czekał. Odblaski błakającego się dnia oświeślały jego twarz suchą, ściągłą, porysowaną zmarszczkami o cerze śniadej, odbijającej się ciemną plamą od białości siwej brody i gęstych, nawisłych brwi. Twarz ta na pierwszy rzut oka czyniła wrażenie starej, ale oczy osadzone głęboko pod krzaczastymi brwiami przenikliwe były i bystre, w postaci całej wyniosłej i prostej nie było nic zgrzybiałego.

Spokojne ruchy pełne były ukrytej i doskonale opanowanej energii. Miał na sobie wschodnim obyczajem rodzaj sukni opadającej aż do kostek, na nogach sandały, na głowie kaptur. Kaptur ten i długa szata podkreślały jeszcze wysokość i powagę całej postaci. Starzec stał czas dłuższy, patrzył i nadśluchiwał. Gdy uznał, że ściemniło się dostatecznie, nasunął kaptur mocniej na oczy, na piersiach ukrył mały, ale dobrze wypchany worek, w fałdach szerokiej, sukni schował krótki, cienki sztylet o bogato zdobnej rękojeści, rzucił jeszcze raz okiem na mroczniejące coraz bardziej niebo — i wyszedł z komnaty.

Cicho, starając się nie robić najmniejszego szelestu, przesunął się wzdłuż muru do ogrodu i zanurzył się w cień, w gęstwę liści, gałęzi, traw, w ciepłą falę zielonego mroku i dusznej, soczystej woni. Tam noc była zupełna. Człowiek szedł śmiało, nie błędząc. Doszedł do miejsca, gdzie wyniosły platan, złamany niedawną burzą, obalił się na mur ogrodu rozkruszając go częściowo. Ze zrećznością i siłą, o którą trudno było posądzić tak starego człowieka, przedostał się po gałęziach na wyszczerbiony mur, tam przysiadł i długą chwilę nadśluchiwał. Rozglądał się bystro, ale ciemność już była zupełna. Gdy uspokoił się, że nie jest śledzony, zsunął się za ogrodzenie na ulicę i ruszył spokojnym krokiem naprzód.

Na ulicach Kartaginy nie było jeszcze tak ciemno, jak w gęstwinie ogrodu; panował jeszcze ruch i gwar. Ludzie wracali z pracy; gromadki niewolników, pędzonych z robót przy budowie portu, wlokły się powolnym, umęczonym krokiem. Żołnierze jacyś nawoływali się pijanymi głosami z oddali; tu i ówdzie słychać było krzyki i śmiechy. Z uchylonych drzwi i okien padały niepewne smugi światła, sączące się z lamp oliwnych.

Nehurabhed, doszedłszy do rogu, obejrzał się za siebie, a nie usłyszawszy ani nie ujrawszy nic podejrzanego

skręcił w boczną, wąską ulicę i począł schodzić nią w dół ku morzu.

Wyszedłszy zza murów minął wielkie warsztaty, gdzie budowano wspaniałe statki fenickie, barki trójżaglowe, tryremy poruszane setkami wiosł, i brnąc w piasku nadmorskim doszedł aż do małego portu rybackiego. Pełno tu było łodzi żaglowych i zwykłych, cała przestrzeń pozawieszana była sieciami i linami, pod którymi trzeba było przechodzić. Zewsząd dobiegały głosy ludzkie. Biedni rybacy, nie chcąc opuszczać na noc całego swego dobytku, koczowali w pobliżu swych łodzi, beczek i sieci, śpiąc byle gdzie: w namiotach zrobionych z żagli, w większych barkach lub wprost pod łodziami, przewróconymi do góry dnem. Koło ognisk, na których smażyono ryby i placki w oliwie, skupiały się liczne postacie.

Nehurabhed przechodził zwolna od jednego ogniska do drugiego słuchając rozmów. Szedł tak dość długo, usłyszał wreszcie dźwięk mowy greckiej; wtenczas przystanął. Przed nim przy małym ognisku siedziało trzech ludzi; rozmawiali żywo. Siedzący w środku mężczyzna, widocznie najważniejszy z nich, rozprawiał najgłośniej, gestykulując szeroko, wybuchając od czasu do czasu tabalnym, szczerym śmiechem. Opierał się plecami o burtę leżącą na brzegu łodzi, zapewne był jej właścicielem, żeglarzem czy rybakiem. Dostrzegłszy przybysza zamilkł.

Nehurabhed podszedł do niego, dotknął ręką jego ramienia.

— Jesteś Grekiem? — zapytał.

Greki skinął głową.

— I żeglarzem?

— Tak jest.

— I właścicielem tej łodzi?

— Tak.

— Chcę pomówić z tobą samym.

Było to powiedziane tonem człowieka przywykłego do rozkazywania.

Greki podniósł się ze zdziwieniem. Jego piękna twarz, okolona czarną brodą, nie wyrażała lęku, była spokojna, ufna i nawzajem wzbudzała zaufanie. Nehurabhed patrzył mu w oczy przenikliwie. Odeszli od ogniska kilkanaście kroków aż na sam brzeg morza, które leżało spokojne, ciche, liżąc zaledwie piasek leniwą falą. Nehurabhed rozejrzał się jeszcze raz wokoło, a nie widząc nikogo opowiedział w paru słowach swoje żądania. Chodzi mu o to, tłumaczył cicho rybakowi, aby wynająć dobrą łódź, dobrego żeglarza-przewoźnika i przedostać się możliwie jak najprędzej do kolonii greckich na Sycylii. To wszystko. Dwa warunki: pośpiech i zachowanie tajemnicy. Obiecał zapłacić dobrze.

Greki zafrasował się. Pośpiech i tajemnica — to coś jakby znamiona ucieczki. Greki rozumiał dobrze ludzi, którzy chcą uciec z Kartaginy, ale bał się im pomagać. Nienawidził Fenicjan, narodu handlarzy i rozbójników, chytrych, podstępnych i mściwych. Nienawidził ich tak, jak i wszyscy Grecy współzawodniczący z nimi w handlu na rozległych wybrzeżach Morza Śródziemnego. Walczyli ze sobą często, kłócili się jeszcze częściej. Handlowali ze sobą rzadko i tylko nadzieja dużych zysków mogła skłonić jego, Greka, do odwiedzenia obmierzłej stolicy Fenicjan — Kartaginy. Za dobry towar, trzeba to było przyznać, nigdzie nie można było dostać lepszej ceny. Kartagińczycy byli bogaczami, tak. Ale teraz Greki sprzedawał właśnie cały towar, oliwę i suszone owoce, przywiezione z Sycylii, i miał nazajutrz wracać do Syrakuz, więc prośba nieznajomego dogadzała mu w zupełności. Nieznajomy ten nie był Fenicjaninem i to było dobrze, nie był wprawdzie Grekiem, choć mówił dobrze tym językiem. Miał jednak twarz uczciwą i niezwykłą. To był ktoś. Nie jakiś kupczyk drobny ani dozorca robót, ale ktoś poważny,

komu można zaufać. To wszystko myślał Grek świdrując Nehurabheda oczami, usiłując ze słów i z twarzy jego odgadnąć zagadkę nagłego wyjazdu. Rozmowa trwała długo. Grek nie dowiedział się z niej nic więcej, prócz tego, że może naprawdę dobrze zarobić. Wreszcie zdecydował się. Łódź miał w porządku, żagiel, olinowania starannie utrzymane, pogoda była dobra, wiał lekki wiatr zachodni, trochę za słaby, ale w dobrym idący kierunku. Przy wietrze tym spodziewał się w półtorej, najdalej w dwie doby dotrzeć do brzegów Sycylii. Rzucił jeszcze raz okiem na niebo, spokojne, pełne gwiazd, nie wróżące żadnych niespodzianek — i podał Nehurabhedowi rękę na znak zgody.

W dłoni swej, szorstkiej, spracowanej dłoni żeglarskiej, uczuł dłoń miękką, delikatną, dłoń człowieka, który nie pracował od dawna.

— To wielki pan — pomyślał.

Wyjazd miał nastąpić o północy. Do tego czasu towarzysze Greka mieli przygotować łódź — on sam miał jeszcze iść na miasto, odebrać należne pieniądze i wracać jak najprędzej. Nehurabhed przyrzekł czekać tutaj na wybrzeżu. Dowiedział się tylko nazwiska Greka. Żeglarz nazywał się Kalias. Zalecił mu jeszcze raz zachowanie zupełnej tajemnicy i prosił o pośpiech.

Po odejściu Greka Nehurabhed stał przez jakiś czas zamyślony, patrząc w ciemną dal morza. Potem jął się przechadzać zwolna wzdłuż wybrzeża po twardym, wygładzonym przez fale piasku. Białe języki piany podpływały leniwie w ciemności szepcząc cicho. Nehurabhed też zdawał się szeptać modlitwę.

Spostrzegłszy jednak, że Grek-przewodnik oddalił się już znacznie i znika za odległymi ogniskami rybackimi, zmienił kierunek przechadzki i ruszył w ślad za odchodzącym.

Szedł za nim w dużej odległości, samym brzegiem morza, tak aby sam widząc nie mógł być widziany. Musiał przy tym przyspieszać wciąż kroku, bo Kalias maszerował rażno.

Chwilami starzec tracił go zupełnie z oczu, po chwili jednak spostrzegał znów jego sylwetkę przy następnym ognisku, bądź jakimś świetle padającym z ukosa.

W ten sposób obszedł koczowiska rybackie, wyminął port i zaczął wspinać się znów po uliczkach prowadzących w głąb miasta. Uliczki były kręte i wąskie, pięły się dość stromo ku górze. W zaułkach, zaciemnionych wysokimi murami, panował zupełny mrok. Rzadcy, zapóźnieni przechodnie patrzyli na siebie podejrzliwie obawiając się napaści. Nie trudno tu było dostać nożem w bok. Nehurabhed szedł więc ostrożnie, ściskając w garści rękojeść sztyletu. Dotarł wreszcie do skrzyżowania ulic i zatrzymał się. Sylwetka Kaliasa znikła gdzieś w cieniu. Zdawało mu się, że zginął tam, za tym zakrętem, w pobliskiej bramie. Ale nie był pewien. Chwilę namyślał się, co uczynić. Postanowił zostać tutaj. Grek powinien być w każdym razie wracać tędy ku morzu. Tak. Nehurabhed stanął w cieniu, niewidoczny prawie, spokojny, nieruchomy jak posąg. Oczy jego tylko obserwowały bacznie każdego przechodnia. W ten sposób trwał długo, światła wokół zaczęły przygasać, głosy słabnąć, przechodnie stawali się coraz rządsi; wielkie miasto powoli cichło, uspokajało się, zapadało w sen.

W pewnej chwili zza pobliskiego muru doszedł go gwar podniesionych głosów, potem krótki, rozpaczliwy krzyk bólu czy przerażenia i znów hałas jakby wzmożonej kłótni.

Przy bramie wiodącej w głąb podwórza zaczęli gromadzić się ludzie. Sylwetki ich oświetlone czerwonym blaskiem rzucały długie cienie na ulicę. Nehurabhed podszedł do nich. — Co się tu dzieje? — zapytał. Mówił po

fenicku tym razem, równie biegle, jak przedtem po grecku. Odpowiedziało mu kilka głosów na raz, ochrypłych, pijackich, zanoszących się bezmyślnym śmiechem i czkawką. — Co się ma dziać — zwykła rzecz, biją na śmierć niewolnika. — Biją go za to, że uciekał. — Uciekł drugi raz szczeniak. Tym razem mu nie darują. — Zaćwiczą na śmierć. Patrzcie, patrzcie, już zaczynają.

Nehurabhed wzdrygnął się, spojrzał ponurym wzrokiem w głąb małego podwórka, gdzie odbywała się kaźń. Przy studni, skąpo oświetlonej czerwonym, migotliwym blaskiem pochodni leżał związany powrozami młody więzień. Nagi był zupełnie, chudy, skulony, robił wrażenie niedorosłego, dziecka prawie. Ogromny Murzyn niewolnik stał nad nim z batem w ręku. Skazaniec leżał bez ruchu. Kat Murzyn stał również bez ruchu. Obaj oczy mieli wpatrzone w rozmawiających nieopodal kilku mężczyzn. Nehurabhed przeniósł też wzrok w tym kierunku. Jeden z rozmawiających, łysy, gruby Fenecjanin, o zimnych, okrutnych oczach, pełnych wzgardy i niechęci, był panem tego domu, podwórza i bitego na śmierć niewolnika.

Drugi ruchliwy, niespokojny, tłumaczył coś pierwszemu podniesionym głosem, klócił się z nim zażarcie w łamanym języku fenickim, klnąc przy tym po grecku, po fenicku, po egipsku, wzywając wszystkich bogów świata.

— Pięćdziesiąt drachm, pięćdziesiąt drachm za niewolnika! — krzyczał.

Nehurabhed drgnął. Głos ten wydał mu się znajomy. Podeszedł bliżej. Tak; człowiekiem, który sam jeden napełniał wrzawą całe podwórko, był niewątpliwie jego nowy znajomy Grek, Kalias.

— O, zacni ludzie — wołał Kalias jakby do otaczających go świadków — gdzie się podziela głęboka mądrość najobrotniejszego z kupców wielkiej Kartaginy; oto mu

dają pięćdziesiąt drachm, słyszycie, pięćdziesiąt drachm za niewolnika, którego chce zabić! A on nie chce przyjąć. Nie chce przyjąć 50 drachm. Słyszane rzeczy? O święta Izydo, o Astarte, o Atene, o Wielka Macierzy wszystkich bogów, przywróćcie rozum temu człowiekowi, aby nas znów mógł zadziwiać swym sprytem. Człowieku — wołał dalej — cóż ci przyjdzie ze zdechłego niewolnika; nawet twój pies się nim nie pożywi, bo chudy. A ja ci daję pięćdziesiąt drachm. — Pomyśl, pomyśl, o największy z kupców, co możesz kupić za pięćdziesiąt drachm.

Fenicjanin wzruszył ramionami, szorstkim gestem odsunął od siebie Greka.

— Po co tyle gadania? — powiedział zimno. — Dajesz sto drachm czy nie dajesz?

Kalias zatchnął się z oburzenia, wznosił ręce w górę.

— Za co, bogowie, za co?! Za zdechłego raba, bo przecież on dla ciebie nie ma już większej wartości.

Fenicjanin zachnął się gniewnie.

— Za co? — warknął — za to choćby, że chcesz mnie pozbawić zemsty nad psem, który śmiał ode mnie uciekać. Na Molocha, to warte sto drachm. Prócz tego, to Grek i ty jesteś Grekiem. Zapłacisz lub pójdziesz precz.

I niecierpliwą ręką odepchnął Kaliasa, dając jednocześnie znak Murzynowi, by rozpoczął egzekucję.

Kalias otarł ręką pot z czoła. Szarpał brodę z bezsilnej złości. Sapał ciężko. Nieszczęśliwy niewolnik, młody chłopak, dzieciak prawie, patrzył na niego z rozpaczą. Kalias zaklął.

— Sześćdziesiąt drachm, daję sześćdziesiąt drachm — wyjąkał głucho.

Fenicjanin nie słuchał. Ostry świst bicia przeciął powietrze, odpowiedział mu jęk skazanego.

W tej chwili Nehurabhed podszedł do Greka.

— Dodam ci te czterdzieści drachm — rzekł cicho — wykup tego chłopca.

Kalias spojrział zdumiony, tak jakby widmo zobaczył, ale nie namyślał się ani chwili. Chwycił znów kupca za ramię.

— Sto drachm — wyrzucił ze zdławionego gardła — daję sto drachm, każ rozwiązać niewolnika.

* * *

Melikles, tak się bowiem nazywał młody chłopiec, w ostatniej niemal chwili uratowany, szedł ze swymi wybawicielami oszołomiony, na wpół przytomny. Po plecach ściekały mu jeszcze krople krwi od strasznych uderzeń batoga; ale Melikles nie czuł bólu. Żył! Oddychał! Wciągał w płuca chłodny wiew idący od morza. Słyszał wieczny szept fali. Radosny szloch ścisnął mu piersi. Nie mógł jeszcze pojąć całego bezmiaru szczęścia, które go spotkało. Był nie tylko żywy, był wolny. Jak to się stało, jak to mogło się stać. Nie rozumiał swoich wybawców, nie znał ich, nie rozumiał nic.

Po roku strasznej niewoli, po beznadziejnych próbach ucieczki, po tylu daremnych usiłowaniach, prośbach, przekleństwach, po katowaniu, nędzy, grozie nieubłaganej śmierci — wybawienie — skąd wybawienie?!

Więc jest bóg? Jest Zeus? Więc modlitwy mogą być wysłuchane? Więc jest dobroć, jest nadzieja, jest łaska?

Chłopak drżał na całym ciele, chciałby paść do nóg swoim wybawcom, całować w uniesieniu ich stopy. Nie śmiał.

Szli prędko w milczeniu. Kalias sapał tylko ze złości zarazem i z podniecenia. Podniósł raptownie wzrok na idącego obok starca.

— Jakim sposobem znalazłeś się tutaj, panie? — zapytał ze zdziwieniem.

Nehurabhed nie odpowiedział od razu.

— Chciałem przekonać się — rzekł wreszcie otwarcie — czy istotnie poszedłeś do kupców, a nie do strażników kartagińskich.

— Nie ufałeś mi, panie? — Kalias uczuł się urażony, uderzył się pięścią w szeroką pierś. — Całe Syrakuzy wierzą w każde moje słowo jak w słowa wyroczni Pitii samej.

Starzec skinął głową.

— Odtąd i ja wierzyć będę — rzekł. Po czym wskazując na Meliklesa dodał: — Czy to twój krewny?

Kalias rzucił się jak sparzony żywym ogniem.

— Mój krewny? Taki kiep, taki niedołęga, taki bezgłowy matoł, który dał się złapać Fenicjanom? O bogowie! Gdybym miał takiego krewnego, zapłakałbym się ze wstydu. I za takiego to chłystka zapłaciłem sześćdziesiąt drachm, kiedy nie wart jest nawet złamanego obola. Na Hermesa przysięgam, nigdy nie zrobiłem gorszego interesu. Nigdy. A wszystko przez to, że mam za dobre serce. Trzebaż mi było akurat wleźć na tę chwilę, kiedy mu się dobierali do skóry. Po co? Na co? Byłoby jednego durnia mniej na świecie, a ja zachowałbym moje sześćdziesiąt drachm.

Odsapnął ze złością.

— Czy jestem twoim niewolnikiem, panie? — zapytał cicho Melikles.

— Niewolnikiem? Grek nie będzie niewolnikiem Greka. U mnie przynajmniej nie ma tego zwyczaju. Jesteś wolny i możesz iść choćby na złamanie karku, ale jeśli to uczynisz, będziesz najniewdzięczniejszym łotrem pod słońcem i Zeus gromowładny spali cię żywym ogniem. Rozumiesz?

— Rozumiem, panie. — Chłopak dławił się wzruszeniem, radość zalewała mu piersi. — Rozumiem i odśłużyć ci ile będziesz chciał, ile czasu będziesz chciał; a póki życia wdzięcznym ci będę.

— Ja myślę. Gdyby nie ja, już by cię tam teraz zakopywali w ogrodzie.

Szli znów w milczeniu.

— Sześćdziesiąt drachm — mruczał do siebie Kalias — sześćdziesiąt drachm.

— Może, panie, matka moja będzie ci mogła oddać wcześniej tę sumę.

— Co? Kto? — Matka twoja? — zapytał Grek znacznie łagodniejszym tonem — to ty masz matkę? Prawda, gdzie jest twój dom?

— W Milecie, aż w Azji.

— I stamtąd porwali cię Fenicjanie? — pytał Kalias ze zdziwieniem.

— Nie, panie. Z Miletu zabrał mnie po śmierci ojca mój stryj przed trzema przeszło laty do nowobudowanej kolonii Partenope na brzegu latyńskim.

— Wiem — mruknął Kalias — Partenope albo Neapolis; byłem tam. Jest tam dymiąca góra, z której wybucha ogień i żużel, ponoć z kuźni boga Hefajstosa. I stamtąd porwali cię Fenicjanie?

— Tak, panie. Nie Fenicjanie, tylko korsarze feniccy. Napadli na nas, gdyśmy jechali z towarem daleko na północ — do Massalii.

— Więc z Neapolis, czy z drogi do Massalii? Nie łzyj, smarkaczu, mów szczerą prawdę i nie płacz.

— Ja mówię prawdę, panie.

— To, żeś z Miletu, to może być, bo śpiewasz i przeciągasz słowa jak Jończyk. Ja ci Jończyka poznam po głosie na drugim końcu rynku i to w dzień targowy. Patrzcie, to aż z Miletu przygnało go lichy na moją szkodę.

Zamilkł, ale nie na długo. Milczeć — nie było widocznie w zwyczaju Kaliasa.

— Dawno to było? — pytał znowu.

— Co, panie?

— No, dawno cię porwali, niedojdo?

— Rok temu.

— I nie mogliście się obronić?

— Broniliśmy się, panie. — Z piętnastu zostało nas sześciu. Ale korsarzy było za dużo. Dwie barki. Przeszło sześćdziesięciu ludzi. Ja, panie, sam zabiłem dwóch, ale omdlałem z ran. Wtenczas mnie wzięli.

— I sprzedali w Kartaginie?

— Tak, panie.

Kalias przestał sapać. Gniew opuszczał go z wolna.

— Ile masz lat? — zapytał zupełnie spokojnie.

— Szesnaście skończyłem.

— I zabiłeś dwóch rozbójników?

— Jam silny, panie.

Kalias obrzucił wzrokiem niewielką postać chłopca i pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Mniejsza z tym — mruknął do siebie. — Ja bym na jego miejscu powiedział o trzech.

Doszli do brzegu. Łódź była już zupełnie gotowa do drogi. Trzeba ją było tylko zepchnąć na wodę. W milczeniu czyniono ostatnie przygotowania. Wokoło wszystko spało. Na całym wybrzeżu paliło się tylko wielkie ognisko na wieży nadbrzeżnej, rozpalane co dzień jako znak dla żeglujących barek. Noc była spokojna, ale ciemna. Nehurabhed nie mógł sobie wybrać lepszej pory dla swego tajemniczego wyjazdu z miasta. Z radością czuł, jak dno łodzi, pchanej silnymi rękami, zsuwa się z wolna z piaszczystego brzegu, z westchnieniem ulgi usłyszał łopot podnoszonych żagli i lekki plusk rozcinanej dziobem fali.

Było mało prawdopodobne, ażeby z łodzi strażniczej, pilnującej, aby nikt nocą po kryjomu nie opuszczał miasta, mógł ktoś spostrzec cichy, szary żaglowiec, wtopiony w mrok nocy; Kalias zaś był dość wprawnym żeglarzem, aby jak najzręczniejszy i jak najprędzej wyminąć strzeżone przez Kartagińczyków wejście do portu.

Minęło pół godziny. Nikt nie odezwał się słowem. Serca tylko były wszystkim niespokojnie. Wreszcie Kalias odetchnął z głębi piersi, jakby zrzucił z siebie gnio-

tący ciężar. Obejrzał się za siebie; światło na wieży strażniczej znikło już w oddali. Wokoło była tylko noc, cisza i głęboka, ciemna toń wody.

— Złóżmy dzięki Posejdonowi, towarzysze — powiedział pewnym głosem — już nas tu Kartagina nie dosięgnie.

Po czym podszedł do Nehurabheda.

— Panie — rzekł — wszystko rozumiem, jednego tylko pojąć nie mogę. Zapłaciłem za tego chłopca sześćdziesiąt drachm, żeby go ratować, bo to Grek i ja jestem Grekiem. Ale ty, panie, dlaczegoś ty to uczynił?

Starzec podniósł na niego zamyślane oczy.

— Bo to człowiek i ja jestem człowiekiem — rzekł.



Noc. Cisza. Bezmierna głębia morza pod stopami; bezmierna głębia nieba nad głową. Powiew wiatru ledwie porusza żagiel. Ciemne masy wód przesuwały się z wolna pod łodzią, kołysząc ją lekko, spokojnie.

Odpoczynek. Chwila wytchnienia na piersiach uśpio-nej grozy morza. Noc żeglarza — zwykła.

Melikles nie śpi. Siedzi oparty o maszt, widzi przed sobą na dziobie łodzi sylwetkę jakiejś postaci, widzi ciemne kontury łodzi podnoszącej się i opadającej miarowo, a wyżej nad głową nad kwadratowym żaglem — roje gwiazd. Patrzy w nie z takim wysiłkiem, aż oczy zachodzą mu łzami. Strząsa łzy, ale one pojawiają się znów. Niech płyną. Nie tylko smutku, ale i radości jest czasem tak wiele, że musi trochę chociaż spłynąć łzami.

Widzieć morze i łódź, i gwiazdy — i wiedzieć, że się je zobaczy jutro, pojutrze — zawsze. Żyć — i być wolnym!

O, bogowie! Jakże jest straszną rzeczą umierać, gdy się ma lat 16; i jakże jest cudną rzeczą żyć, gdy się ma lat 16.

Urodził się w Milecie, w ogromnym portowym mieście, daleko, w Azji Mniejszej u brzegów jońskich. Tam spędził dzieciństwo, tam wychowywał się i uczył do lat 12.

Uczył się różnych nauk — czytania i pisania, i mówienia, a raczej śpiewania wierszy — i gimnastyki — i pływania. Tak jak inni chłopcy greccy w Milecie. Milet był przecież wówczas przodującym miastem wśród miast jońskich, a Jończycy — przodującym szczepem wśród Greków. Ojciec Meliklesa, Likaon-żeglarz — dzielny żeglarz i rybak zarazem — dbał o to, ażeby syn jego najstarszy wychowywał się niegorzej od synów innych, najmniejszych obywateli. Jednocześnie jednak i przede wszystkim uczył go innej nauki: brał go z sobą na łódź, na wyprawy dalekie — i uczył — morza. Ta nauka szła najlepiej i najprędzej. Melikles mając lat dwanaście był już niezłym żeglarzem, znał zwyczaje i kaprysy morza, umiał czytać w zachodach słońca, w podmuchach wiatru, w szumie fal, w ich blaskach i ściemnieniach, umiał odgadywać ich groźby i przestrogi. Aż nagle zmieniło się wszystko. Gdy Melikles miał lat 12, ojciec jego zmarł, a raczej zginął podczas burzy na morzu. Łódź, duma i ostoja żeglarskiego życia, zginęła z nim razem. Przyszły ciężkie dni — dużego smutku i dużej biedy. Stryj Meliklesa, żeglarz i kupiec, zabrał go z sobą w podróż do Wielkiej Grecji i dalej, do niedawno założonej osady Neapolis, zwanej inaczej Partenopą. Podróż miała trwać pół roku, ale nowy opiekun, stryj Meliklesa, zwabiony dużymi zarobkami na Morzu Tyrreńskim pozostał na stałe w tej kolonii. — Tam spędził chłopiec blisko trzy lata, ciągle prawie w podróżach, na większych i mniejszych łodziach przewożąc ludzi i towary, z Neapolis do Kum, do Messenii, do Elei czy Tarentu, docierając w uciążliwych wyprawach daleko na północ, do brzegów Galii. To było wówczas życie Meliklesa i jego szkoła. Czytania i pisanie zapomniał prawie, za to żeglarstwo poznał jak nikt.

Niejednokrotnie w ciągu tego czasu wyrывał się do swoich, do Miletu, ale stryj jego, człowiek surowy i bezwzględny, mając z Meliklesa dużą pomoc, nie puszczał go

od siebie, odkładał z miesiąca na miesiąc termin powrotu do matki. Tak mijały lata. W jednej z ryzykownych wypraw do brzegów niedawno założonej Massalii, hen na północy, łódź ich napadnięta została przez korsarzy. Stryj jego zginął w walce. Melikles widział jego śmierć. Sam walczył do ostatniego tchu, już schwytany szarpał się i gryzł jak młody wilczek. Ranny i nieprzytomny z bólu dostał się w ręce wroga. Wtenczas zaczęło się piekło.

W ciągu kilku miesięcy wędrował z jednego targowiska ludzkiego do drugiego. Bat, poniewierka i głód miały go nauczyć posłuszeństwa, strachu, ślepej psiej pokory wobec nowych panów — Fenicjan. Miały nauczyć, ale nie nauczyły. Rogata, harda dusza helleńska szczyrzyła zęby i podnosiła głowę natychmiast po każdym upokorzeniu. Zamiast prosić panów swych o litość, prosił Zeusa o zemstę; zamiast składać ręce do błagania — zaciskał pięści. Dwa razy próbował ucieczki. Za pierwszym razem zbity do nieprzytomności przeleżał miesiąc, zanim wylizal się z ran. Za drugim razem skazany był na śmierć, od której wyratowany został w ostatniej niemal chwili.

Takim był Melikles.

Wschód słońca zastał ich na pełnym morzu. Niebo było bez chmur, ale jakby zmatowiałe, przymglone. Wiatr zmniejszył się jeszcze, zanosilo się na upał. Lekki podmuch zaledwie napinał żagle i łódź posuwała się wolno, tak że Kalias zwątpił od razu, żeby można było przed nocą dotrzeć do brzegów Sycylii. Nic jednak na to nie można było poradzić, więc Kalias, zmęczony bezsenną nocą, zbudził Meliklesa, zwymyślał sternika, który rozmarzony gorącem drzemał przy rudlu, po czym zrobiwszy sobie posłanie z worków — legł spać.

Łódź szła spokojnie. Była to normalna mała barka grecka o dziobie lekko podniesionym, szerokiej rufie i jednym maszcie; bliżej dziobu szeroka kwadratowa

plachta żagla, jak wszystkie w owych czasach, zwisała na długiej, poziomej belce rei, u dołu płótno przywiązane było dwoma rzemieniami (sznury z włókien kokosowych były rzadziej używane) do dwóch burt łodzi. Na rufie z boku tkwiło przymocowane szerokie wiosło sternika, co najmniej trzykroć szersze od zwykłego; a para wiosel złożonych na dnie służyła tylko przy wjeździe do przystani. Łódź taka, niewielka, bywała używana do połowu ryb bądź do żeglugi przybrzeżnej, rzadko wyjeżdżając na dłuższe wyprawy. Widocznie Kalias był śmiałym żeglarzem, ale i odważnym handlarzem; musiał chcieć dobrze w Kartaginie zarobić. Słońce wschodziło coraz wyżej. Woda kołysała się ledwie, uderzając od czasu do czasu leniwym kłaśnięciem o burtę. Sternik rozejrzawszy się jednak lepiej po sennym morzu i niebie zawyrokował, że spokój ten jest pozorny i nie dobrego nie wróży. Zmiana pewna i to dziś jeszcze, a w każdym razie przed przybyciem do Syrakuz.

Melikles nie przejął się tym zbyt. Syn rybaka, oswojony z morzem jak nikt, w ciągu swego krótkiego życia przeżył już na morzu niejedną nawałnicę i wiedział, że na pełnym morzu, z dala od zdradzieckich raf i mielizn, dla dobrego żeglarza i mocnej barki burza nie jest tak groźna, jak przy lądzie. Nieomylnym wzrokiem urodzonego dziecka morza zdążył już ocenić i łódź, i jej pana i wiedział, że łódź powinna wytrzymać najcięższe uderzenia fal, żeglarz zaś we właściwym czasie uczyni wszystko, co do niego należy. Zresztą jakżeby miał się bać burzy on, który od roku, bity i poniewierany, modlił się o śmierć, szukał jej w beznadziejnych próbach ucieczki — i byłby ją znalazł wczoraj, okrutną i nieuchronną, gdyby nie niespodziewane wybawienie. A teraz był nie tylko uratowany, był wolny, z każdą godziną zbliżał się do swoich, do ojczyzny, do matki. Wczoraj otaczali go dzicy niewolnicy murzyńscy i gorsi stokroć od

nich zezwierzęcenie dozorczy, dzisiaj byli przy nim jego wybawcy, których dobroć przejmowała go czcią i podziwem. Na myśl o nich wzruszenie i wdzięczność wyciskały mu łzy z oczu. Kaliasa poznał na wskroś, przypominał mu bowiem jego ojca, który również pod maską wiecznego kłótnika i zrządy ukrywał znaczne i oddane ludziom serce. Ten drugi, wyniosły starzec, nieruchomy i milczący jak posąg, przejmował go nie tylko czcią, ale lekciem. — To jakiś znakomity dostojnik albo mędrzec — zgadywał szepcząc do sternika. — Albo kapłan — dodał ten ostatni.

Minęło parę godzin bez żadnych zdarzeń. Wiatr był wciąż leniwy, jednostajny, powolny, jakby i on omdlewał pod wpływem upalnego dnia.

Okolo drugiej godziny dnia (tj. w 2 godziny po wejściu słońca, Grecy bowiem za przykładem Chaldejczyków dzielili dzień na 12 godzin i noc na 12) zbudzono Kaliasa, spostrzeżono bowiem po prawej ręce, daleko na horyzoncie zarysy jakiegoś lądu. Ledwie widoczny stąd pas piaszczystych wzgórz jaśniał złotawą nitką między błękitem nieba i morza. Kalias ujrzawszy go skrzyknął śpiesznie na północ i ląd znikł im z oczu.

— Co to za ziemia? — pytał Melikles.

— Kartagińska.

— Kartagińska, tutaj jeszcze?

— A tak, smyku. Co, skóra ci cierpnie?

Po czym, podniósłszy palec w górę, rzekł z powagą:

— Kartagina, widzisz, chłopcze, siedzi głęboko w zatoce jak smok w jamie albo jak gardziel w otwartej paszczy żmii. Paszcza jest szeroko otwarta; wiadomo — gardziel ciągle chce żarcia. To, cośmy widzieli — to wschodnie ramię zatoki wybiegające daleko w morze.

— I ramię to należy też do Kartaginy?

— Kto wie. właściwie do kogo, bo ląd jest pusty i piaszczysty. Ale Fenicjanie mają tu swoją faktorię

i strażnicę. Kręcą się tu i korsarze, bo przyjeżdżają, żeby robić interesy z Kartaginą. To niedobre miejsce.

— A nie boją się strażników?

— Kto, korsarze? Toć oni z sobą pracują jak rodzeni bracia. Ty sam zresztą poznałeś to na własnej skórze, bo przecie Fenicjanom właściwie sprzedali cię te łotry. Do Kartaginy otwarcie wołają nie zajeżdżać, chociaż i to się zdarza, ale tu na boku załatwiają z nimi swe konszachty. Tak. Tak. To niedobre miejsce.

Była to prawda. Korsarze, których gniazda rozrzucone były po całym Morzu Śródziemnym, tu — do Kartaginy zjeżdżali najchętniej dla sprzedaży brańców, łupu, dla zaopatrzenia się w broń, w żywność, w sprzęt żeglarski. Znienawidzeni przez żeglarzy, będący prawdziwym postrachem nie tylko dla podróżnych, ale i dla pomniejszych miast i miasteczek nadmorskich — z jedną Kartaginą nie zadzierali nigdy. Co więcej, dziwnym trafem napaady ich i rozboje skierowywały się ostatnio zawsze przeciwko tym, którzy narazili się wielkiemu miastu. Zwłaszcza Grecy, których rzutkość, energia i przedsiębiorczość niejednokrotnie dawały się we znaki handlarzom fenickim — najwięcej cierpieli wskutek tych napaści. Wszystko wskazywało, że dzieje się to w cichym porozumieniu z Kartaginą, z Wielką Radą Fenicką.

Kartagińczycy, przerażeni niezmiernie szybkim rozwojem kolonii greckich, obawiając się otwartej z nimi wojny, nie mając ani walecznej jak Grecy ludności, ani własnej armii, wspomagali bandy korsarskie dając im broń i pieniądze na walkę ze znienawidzonymi Hellenami. Osiągali przy tym podwójną korzyść: podcinał handel grecki, rujnowali ich kolonie, a jednocześnie zdobywali tanim kosztem niewolników. Handel nieszczęsnymi niewolnikami był przecie jednym z głównych źródeł bogactwa Fenicjan, a ich miasta czołowe — Kartagina i Tyr w Azji Mniejszej — największymi targowiskami ludźmi

w znanym ówczesnym świecie. Zrozpaczeni Grecy bronili się z całą wściekłością i nawzajem tępili bez miłosierdzia bandytów morza. Tak więc od szeregu lat trwała w całej zachodniej przede wszystkim części Morza Śródziemnego bezustanna walka i nikt z żeglarzy nie mógł bez dreszczu trwogi przepływać obok najbardziej osławionych z napaści miejse.

Dlatego też nie dziwiono się, że Kalias tak pospiesznie starał się opuścić sąsiedztwo „niedobrego“ lądu, dlatego też z pewnym niepokojem zauważono wkrótce potem płynące naprzeciwko dwa wielkie żaglowce. Ale żaglowce te szły z północy, od strony Sycylii, były dość daleko, zniknęły prędko za horyzontem.

Kalias widząc je kiwał z uznaniem głową.

— Zwykle łodzie kupieckie, mądre, rozumne łodzie. Widzicie, jacy spryciarze, płyną sobie we dwie łodzie. Dla bezpieczeństwa — i słusznie. A z jedną taką barką mieliby już ci zbóje niemało roboty — to mądrze, to mi się podoba. — Po czym, wskazując na własną łódź, dodał: — Najgorsze to jeździć w daleką drogę na takiej beczce.

Melikles pokręcił głową.

— Niezłe i to. Mój ojciec miał taką samą.

Kalias spojrział nań ciekawie.

— Twój ojciec miał łódź, był kupcem?

— Nie. Był rybakiem, ale łódź miał.

— Miał własną łódź? — Kalias spoglądał na chłopca ze znacznie większym szacunkiem: — I co się z nim stało?

— Zginął podczas burzy. Miałem wtenczas dwanaście lat.

Kalias pokiwał głową.

— Zwykła żeglarska rzecz — mruknął.

Zaczęli potem mówić o różnych rodzajach łodzi, barrek i galer, o różnicy w budowie statków tu i w dalekim Milecie, odróżniali głębokie żaglowce specjalne do przewozu zboża od płytszych, ale bardziej okrągłych, brzu-

chatych • barek towarowych albo wyższych, przeznaczonych głównie do przewozu koni i bydła. Niektóre z nich poza jednym wielkim masztem o ogromnym kwadratowym żaglu miały i drugi maszt lekko pochylony ku przodowi z żaglem bardziej trójkątnym. To były nowe pomysły fenickie. Natomiast większość tych wielkich barek ciężarowych miała już oprócz żagla od dwudziestu do czterdziestu wioślarzy pod pokładem — aby transporty nie zależały tylko od kaprysów wiatru. Kalias opowiadał o wielkich statkach wojennych, które miały wysokie burty, nieraz dwa pokłady, a sześćdziesięciu wioślarzy pracowało w dwóch, a czasem i w trzech rzędach jeden nad drugim. Statki takie widywał w Atenach, Syrakuzach i w znienawidzonej Kartaginie. Melikles nigdy nie widział ich z bliska, za to opisał statek korsarski, który był jakby mieszańcem barki handlowej z wojenną, był szerszy, miał jeden tylko rząd wioślarzy, ale dziób u nasady opatrzonej także w ostry klin z hakami do przebijania napadanych łodzi i wysoki pomost dla łatwiejszego skoku żołnierzy na zdobycz. Kalias przekonał się ze zdziwieniem, że Melikles, mimo młodego wieku, zna się naprawdę na sprawach morza, pewnie i gruntownie jak stary żeglarz.

— To łebski chłopak — mówił do siebie z uznaniem.

Godziny mijały w milczeniu. Upał trwał, a nawet wzmagał się jeszcze. W pewnej chwili zauważono znów dwa żagle na horyzoncie. Tym razem był to jeden statek i ukazał się od południowej strony zbliżając się bardzo powoli, ale stale pod kątem do kierunku obranego przez Greków.

Na łodzi zaniepokojono się trochę. Strona, z której płynęła obca łódź, nie była dobrą stroną.

— Płyną właśnie stamtąd, ze złego miejsca — szeptał Kalias wpatrzonej w ledwie widoczną sylwetę dużej barki.

— Fenicjanie.

— Licho wie — tak samo dobrze mogą być i korsarze. Mówilem wam, że tu spotyka się jednych i drugich.

— A może to zwykli kupcy jadący do swego celu?

— Może. Tutaj jeździ wiele kupieckich łodzi. Włóczy się wielu żeglarzy.

Pocieszono się tym i uspokojono znacznie. Ale już nie spuszczano z oczu obcej łodzi.

Po upływie godziny, gdy barka zbliżyła się jeszcze więcej, Kalias rzekł z pewnym niepokojem w głosie:

— Nie podoba mi się ta łódź. Za prędko idzie. My jedziemy na samym wietrze, a oni muszą pomagać sobie wiosłem. To wiosłowa łódź. Tak. Nie może inaczej być. Wąska, duża galera, opatrzona żaglami, takie robią teraz na Cyprze i w Sydonie. Na żaglowcu nie lecieliby tak prędko, przy tym śmiesznym wietrze. Patrzcie, toż my ledwie wlecze się, aż litość bierze. A oni...

Tu zamilkł, przysłonił oczy ręką od rażącego blasku słońca i wpatrywał się bystro w sunące w oddali żagle. Sternik stał z nim razem. Milczeli długo.

— Na Hades i na Erynie — zaklął znowu — niech mnie zatłuką, jeśli ruszę się kiedy w dalszą drogę na tej łupinie. Zeusie sprawiedliwy! Toż oni za dwie godziny dościgną nas z pewnością.

— Albo wcześniej.

— Jeśli się wiatr nie zmieni.

— Albo jeśli oni w ogóle nas gonią.

— Skręć i zobacz, czy skręca za nami.

Kalias pokręcił głową.

— Nie. Nie chcę tracić tej reszty wiatru, który i tak ledwie nas popycha. W razie czego będziemy mieli czas przekonać się, kto oni.

Nehurabhed wmieszał się do rozmowy.

— Czy to mogą być Fenicjanie?

— Tak, panie.

— Zwyczajni kupcy, pewnie.

Kalias wzruszył ramionami.

— Chyba tak, ale może być i łódź strażnicza.

Mówiąc to patrzył bystro w twarz Nehurabheda, ale starzec nie drgnął nawet.

— Skąd łódź strażnicza tutaj? — zapytał tylko.

— Fenicjanie mają swoje załogi i swoje łodzie strażnicze na obydwóch krańcach zatoki. Jeśli wyda im się coś podejrzanym albo jeśli zależy im na pościgu — mogą wysłać łódź.

— Ale przecież nie mogli nas widzieć.

— Jeśli my widzimy łąd, to i z łądu mogli nas widzieć.

— Cóż z tego? Czyż za każdą łodzią będą posyłać pogoń?

— Nie, ale jeśli widzieli nas rano, to znaczy, że opuściliśmy Kartaginę w nocy, a to jest podejrzané.

— To prawda, ale to jeszcze za mały powód.

— A jeśli otrzymali rozkaz z Kartaginy, żeby się mieć na baczności?

Tu Kalias spoglądał znów uważnie na Nehurabheda, ale znów zawiódł się. Rysy starca były nieruchome i doskonale spokojne.

Nehurabhed uśmiechnął się lekko.

— Sądysz więc, Greku, że to pościg wysłany za mną?

— Nic nie sędzę, panie, ty możesz wiedzieć lepiej. Nehurabhed pokręcił przecząco głową.

— To niemożliwe — rzekł — wreszcie jakim sposobem Kartagina mogłaby zawiadomić swą straż na przyładku?

— Konni wysłańcy mogą przebyć drogę z miasta do faktorii w kilka godzin.

— W takim razie dopiero teraz mogłaby wyruszyć pogoń.

— Oni jadą prędko, ci na łodzi.

— Ale wyruszyli co najmniej przed pięcioma godzinami.

— To prawda, ale nie wiem dobrze, ile czasu trzeba na przebycie końmi drogi z miasta do krańca zatoki. Przy tym ludzie mówią, że Fenicjanie umieją inaczej jeszcze przesyłać sobie wiadomości na odległość.

Nehurabhed podniósł na niego wzrok, tym razem trochę jakby zaciekawiony.

— Tak, panie. Podobno zapalają światła nad morzem po kolei we wszystkich osadach przybrzeżnych — i tak dają sobie znać z faktorii do faktorii, jak potrzeba.

— Widziałem w nocy zapalone ognie daleko za nami na południu.

— Czemuś mi nie mówił, panie?

— Światło było bardzo dalekie, przy tym rozjaśniało się już; nie byłem pewny.

Zamilkli. Kalias kręcił się niespokojnie. Nehurabhed odszedł, usiadł nieruchomo, przymrużył oczy.

I znów było pozornie wszystko jak przedtem. Łódź szła leniwo, ledwie chwiejąc się na pogodnej fali, woda pluskała, bulgotała przy burcie. Żagiel to lekko załopotał, to znów zwisał bezwładnie. Upał trwał. Słońce przechylało się już ku zachodowi. Ale obca łódź była z każdą chwilą bliżej.

— Za godzinę będą tu — rzekł cicho sternik.

— Dościgną nas przed nocą, o bogowie!

Kalias przybladł nieco, zaczął wyłamywać sobie palce.

— Może to zwykli kupcy, może to zwykli kupcy — powtarzał gryząc wargi.

Melikles podszedł ku niemu. I on był blady. Oczy jego drżały, przez chwilę zdawało się, że wybuchnie dziecinnym płaczem, ale opanował się; twarz jego stała się twarda, spokojna.

— Macie broń? — zapytał.

Kalias spojrzał nań zdziwiony.

— Tu broń na nic się nie zda — odpowiedział powoli.
— Samych wioślarzy jest tam ze dwudziestu, załogi z dziesięciu, a nas pięciu.

Melikles zmarszczył brwi, spuścił głowę, oczy pociemniały mu jakby z gniewu. Nie ustępował.

— Przysiągłem — mówił przytłumionym głosem — że nie pójdę drugi raz w niewolę. Gdy byłem tam w Kartaginie, na łańcuchu, prosiłem Zeusa, by mi dał zginąć z mieczem w ręku. Zeus wysłuchał mnie. Daj mi broń, panie.

Zapanowała cisza. Kalias patrzył uważnie na chłopca. Kręcił głową.

— Dobrze, żem mu nie dał zginąć — myślał. Nie odpowiedział od razu. W gruncie rzeczy wcale jeszcze nie był pewien czy to korsarze, czy Kartagińczycy. To, że płyną w jednym kierunku za nimi — to oczywiście nic nie znaczy. Przypominał sobie ze swej wieloletniej żeglugi liczne takie zdarzenia, w których największe obawy okazywały się niepotrzebne.

— To mogą być jacyś spokojni żeglarze — rzekł.

— A jeśli nie?

— Namyślimy się wtedy, co czynić. Na wszystkich bogów, nikt nigdy nie zarzucił tchórzostwa Kaliasowi. Ale walczyć można tylko wtedy, gdy da się zwyciężyć albo choćby skórę ratować.

— Ja chcę zginąć!

— A ja nie. Mam jeszcze czas. Na to mądry Hermes stworzył pieniądze, żeby się można wykupić w razie czego. Na ciebie nie żałowałem drachm, a na siebie bym żałował!

Chłopiec zamilkł, popatrzył spode łba na Kaliasa, ale widać było, że zamiaru nie zmienił.

A Grek utkwiał oczy w odległą jeszcze, ale rosnącą w oczach barwę. Była długa jak żmija, niska i wąska,



dwa niskie maszty z szerokimi kwadratami żagli rozpostarte były raczej dla formy przy takiej zgnilej ciszy. Łódź szła tylko siłą wiosłarzy, musiało ich być dwudziestu, a może i więcej.

— Już widać wiosła! — krzyknął Kalias, tupnął nogą i poczerwieniał z gniewu.

— Przekleństwo na tę moją nędzną łódź i na tę parszywą pogodę, i na cały ten wyjazd. O bogowie! Patrzcie! Reszta wiatru już ustaje. Żagiel zwisał jak brudny worek. Na Hermesa! — Już nas dojeżdżają. Żeby trochę wiatru, moglibyśmy doczekać się nocy i zwać w ciemności. Żeby trochę!

Rzeczywiście morze pociemniało wyraźnie. Noc wprawdzie była jeszcze daleko, ale słońce zaszło już za chmurę roztopiając się jakby w szarym dymie otaczającym zewsząd horyzont. Przez ten dym światło zachodu przedzierało się brudnożółtawym odblaskiem, dziwnym i tajemniczym.

— Burza idzie — szepnął sternik.

— Niech idzie prędko! — krzyknął niemal Melikles.

— Idzie — powtórzył Kalias — ale czy zdąży na czas?

Rzucił jeszcze raz okiem na obcą łódź i na chmurzący się widnokrąg. Niebo ciemniało powoli, a łódź szła bardzo prędko.

— O Posejdonie — zawołał wznosząc ręce w górę — o wszechpotężny władco mórz, o bracie najwyższego, ratuj nas, dzieci swoje! Nie podobna, abys chciał oddać nas w poniewierkę obrzydłym Fenicjanom albo barbarzyńskim zbójom, którzy kpią sobie z ciebie, z ciebie, wszechpotężny, i nie ofiarowali ci nigdy ani jednej jałówki, ani jednej, zważ to, sprawiedliwy Boże!

Odpowiedział mu daleki grzmot. Zrobiło to wrażenie, ale grzmot był bardzo daleki.

Kalias pokręcił głową.

— To na nic — rzekł. — Burza będzie za godzinę, a oni tu będą za pół, prędzej nawet.

Istotnie barkę widać było jak na dłoni. Żagle zwisały wprawdzie bezsilnie, ale maćki wiosel poruszały się rytmicznie, nadając łodzi pęd coraz większy; wyglądała jak groźny żuk.

— Łotrzy, zbóje, bandyci, ścigają nas! — krzyknął Kalias. — Patrzcie, jak się śpieszą.

Począł szarpać brodę z wściekłości, ukląkł, powyciągał ze skrzyni stare, zardzewiałe miecze, ale nie wiedział, co robić. Ścigający nie byli w tej chwili dalej niż o dwa tysiące kroków.

— Przepadliśmy — mrucał — jesteśmy zgubieni, o wielki Zeusie!

— Jesteśmy ocaleni — odpowiedział nagle sternik podchodząc śpiesznie do steru.

Wszyscy spojrzeli nań ze zdziwieniem. Łódź zahamowana szerokim wiosłem steru wykręciła raptownie, tracąc resztę biegu.

— Co czynisz? — ryczy Kalias.

Sternik nie odpowiada, głową tylko wyciągniętą wskazuje na północ i zabiera się prędko do rozluźnienia węzłów na bocznych rzemieniach trzymających dół żagla. A morze od północnej strony, spokojne dotąd i gładkie, pokrywa się nagle drobnymi białymi liniami pian zbliżających się szybko, szybko do nieszczęsnej łodzi. Chwila jeszcze i nagle potężny poryw wiatru chwyta żagiel, maszt trzeszczy od gwałtownego naporu powietrza i łódź jakby smagnięta batem rusza nareszcie naprzód. Ale barka cudzoziemska, nieprzygotowana na niespodziany zryw wiatru, kładzie się niemal na boku, zachlystując się wodą przez burtę. Krzyki i wrzaski przerażenia dochodzą nagle aż do uszu Greków. Niedługo jednak, bo potężna fala wiatru oddala ich teraz bardzo szybko od

prześladowców. Mijają długie chwile, zanim obca barka wyprostowuje się znowu z nastawionym właściwie żaglem.

Ale teraz pościg byłby już daremny. Wreszcie nie czas teraz nikomu myśleć o pościgu. Wicher wzmacnia się nieustannie. Niebo ciemnieje. Mgła idącej ulewy zasłania horyzont. Szare, brudne obłoki mkną naprzód przed ciemnogrnatową ścianą sunącej nawałnicy. Fale rosną z minuty na minutę, idąc razem z żaglowcem z nisko nawisłymi chmurami. Wszystko — cały świat rusza nagle oblakany, niewstrzymanym biegiem na południe. Maszt trzeszczy pod naporem wiatru. Łódź, rozchlustując dziobem jak młotem grzbiety fal, zaczyna zachlystywać się wodą, więc Kalias wraz z Meliklesem opuszczają żagiel do połowy, zluźniają liny boczne, żaglowiec i tak sunie z niepojętą szybkością. Gwałtowna ulewa pokrywa wreszcie wszystko dokoła, siecze na ukos, zacina; cały świat niknie za ścianą deszczu, widać tylko najbliższe fale biegnące tuż przy burcie, rwane wiatrem, rozbryzgane, spienione. Ściemnia się teraz z każdą chwilą, błyskawica nagle rozdziera niebo; grom jeden, drugi, trzeci. Groźna północna burza targnęła morzem.

Deszcz i wiatr są lodowato zimne i ręce trzymające sznury kostnieją z zimna. Sternik trzyma rudel, Melikles wraz z Libijczykiem wylewają nieustrudzenie czerpakiem wodę dostającą się do łodzi. Bredzą po kostki w wodzie ochlapywani raz wraz tumanem piany, odpychani od burty do burty nagłymi podrzutami łodzi. Ręce zgrabiałe z zimna czepiają się w ciemności desek, sznurów; wszystko chwieje się, chybocze, drży. Wypaść w rozszałaby mrok za burtę — to śmierć. Ale Melikles zna burzę, zna zwariowany taniec pokładu, zaciska zęby, tacza się, upada na dno, podnosi się i znów pada, ale nie ustaje w pracy. Jeszcze trochę i jeszcze, i jeszcze. Woda zbiera się znów, nie braknie jej, ale i sił nie zbraknie. Rośnie

w nim zawziętość i dzika radość zmagania się ze strasznym żywiołem.

Ejże, wodo, ej, burzo! — nie damy się!

Nieznajomy starzec chciał też pomagać, ale potknął się niemal natychmiast na rozchybotanej łodzi, runął i omal nie zwałił się w ciemność za burtę. Wówczas Melikles dał mu sznur, aby przywiązał się do ławy przy dziobie statku i starzec zrezygnował z dalszych prób współpracy.

Godziny mijały. Burza szalała wciąż. Kalias odebrał rudel z rąk skostniałego sternika i odał pieczę nad żaglem Meliklesowi. Z początku patrzył z niepokojem, jak młody chłopak da sobie radę z żaglem, ale — po chwili przestał się lękać. Melikles mimo młodego wieku był już doświadczonym żeglarzem. Ręka jego była pewna, ramię silne, oko uważne.

— Chciałbym, aby mój syn był kiedyś taki — myślał Kalias.

Koło północy burza ustała i wiatr trochę osłabł. Kalias, nie chcąc, aby wiehura zaniósła ich zbyt daleko na południe, zaryzykował zwrot i znów z zadowoleniem stwierdził sprawność młodego chłopca przy przerzucaniu żagla.

— Stanowczo wart jest tych sześćdziesiąt drachm — mruczał do siebie.

Niebezpieczeństwo minęło.

Gdy rozwidniło się, nie zobaczono na widnokręgu żadnego żaglowca, żadnego śladu zbójcekiej łodzi. Nic dookoła, tylko morze niespokojne jeszcze, pocrane grzbietami fal, rozdarte czasem białą szramą piany, ale już niegroźne, już coraz łagodniejsze, zwykłe. Mocny, równy, boczny wiatr niósł ich teraz wprost do celu, na północ, do brzegów Sycylii.

— Zaraz po przybyciu do Syrakuz ofiarujemy jałówkę Posejdonowi, albowiem on to nas uratował — mó-

wił Kalias. — On zesłał burzę, aby nas ocalić z rąk korsarzy. Zaiste strach pomyśleć, co by się z nami stało, gdyby... — Tu zamilkł. Rozwahał przez chwilę. Po czym, ponieważ żał mu się się zrobiło trochę pieniędzy, które trzeba będzie wydać na cześć Posejdona, zwrócił się do obcego człowieka.

— I ty, panie, powinienes się przyczynić do kupna tej jałówki, albowiem i ciebie to ratował potężny brat Zeusa.

Ale Nehurabhed pokręcił głową.

— Jest jeden Bóg, wielki i dobry — odparł powoli — on broni zawsze szlachetnych i dzielnych, a ofiar mu żadnych nie trzeba.

— Jakże zwie się ten Bóg? — zapytał Melikles.

— Ahura-Mazda, czyli sprawiedliwy — odrzekł starzec.



Tego samego dnia o tej samej rannej porze w pałacyku naczelnika straży miejskiej w Kartaginie toczyła się ważna narada.

Asarhan, arcykapłan świątyni Molocha, i członek wielkiej rady fenickiej Hiram, naczelnik straży w mieście, i Barkas, jeden z najbogatszych kupców Kartaginy, siedzieli milcząc.

Pierwszy Hiram poruszył się niecierpliwie.

— Gdzie jest ten pies? — zapytał Barkasa.

— Zaraz będzie.

— To Grek?

— Grek.

— Pewny?

— Zarabia u nas dobrze i jest dość mądry, żeby nie tracić tych zarobków.

Hiram kiwnął głową.

— Trzeba mu będzie obiecać niemało.

Twarcz starego kupca przedłużyła się.

— I po co to wszystko, po co, Asarhanie? Miałeś go w ręku, tego Persa.

— To nie był Pers, tylko Med.

— Wszystko jedno. Niech zaraza wydusi wszystkich Medów i Persów. Tracić teraz tyle pieniędzy, żeby go znaleźć. A miałeś go w ręku.

— Miałem, ale najwyższa rada mówiła, żeby go nie więzić.

— Ale każała uważać.

— Straż miała nakazane, żeby nie wypuszczać go przez bramę.

Barkas wzruszył ramionami.

— A on uciekł przez mur. Trudno było to przewidzieć? Co? Zaprawdę, starość, Asarhanie, nie zaostrza bystrości umysłu.

Asarhan powstał gwałtownie.

— Hiramie, nie pozwalaj w twoim domu obrażać dostojników fenickich.

— A jeśli ten dostojnik zachował się jak niemowlę?

— Barkas!

Asarhan uderzył pięścią w stół.

— Hiramie, mówię to do ciebie, bo ten pies, choć mój krewny, nie jest wart ludzkiej mowy. Powiedziano mi, żeby tego Meda traktować jak gościa i nie robić mu krzywdy. To co ja miałem robić? A teraz wszyscy na mnie, że pozwoliłem mu uciec. I książę, i najwyższa rada. Wszyscy na mnie. A kazali przedtem uważać go za gościa.

— Kazali, bo to poseł i kapłan.

— Arcykapłan, ale posłem właściwie nie był.

— Jeśli nie był, to po co z nim tyle zachodu? Kto by się o niego upomniął?

— Hiram. Teraz ty mówisz jak dziecko. A gdyby mu się co stało, pojechałbyś potem do Medii?

— Ja nie mam tam żadnego interesu.

— Ty nie, ale bracia nasi, Fenicjanie z Tyru, Cypru, Sydonu.

— Jakby zniknął, kto wiedziałby dlaczego?

— Jakby nasi kupcy ginęli potem w Medii, to też nikt nie wiedziałby dlaczego.

— Rozumiem, ale można było go zatrzymać.

— Tak, na Molocha, i trzeba było to zrobić. Ale najwyższa rada nie kazała go więzić, a teraz wszystko na nic.

— A właściwie, po co go więzić?

— Bo on za dużo wie i za dużo się kręci.

— Po co on tu przyjechał, ten Pers?

— To nie Pers, tylko Med.

— Wszystko jedno, ten kapłan.

— Nie kapłan, tylko arcykapłan.

— To jedno lichy — wtrącił się Barkas.

— Wcale nie jedno. — Asarhan uczuł się dotknięty.
— Jest wielka różnica między kapłanem a arcykapłanem. Ty nie słyszałeś nigdy, Barkas, o arcykapłanach chaldejskich?

— Słyszałem. Podobno mądrzy dosyć.

— Dosyć? Dla ciebie za dużo nawet. A o magach medyjskich słyszałeś?

— Niewiele.

— O bogowie! On nie słyszał o magach. Ty wiesz? Oni są jeszcze mądrzejsi od Chaldeczyków, oni wiedzą więcej od mędrców Egiptu, oni znają takie sztuki, od których głowa puchnie i strach o nich myśleć. Rozumiesz, Barkas?

— Rozumiem. Nie wiedziałem, że gdzie indziej arcykapłani są tacy mądrzy.

— Barkas!

Hiram wmieszał się prędko do rozmowy.

— Nie powiedzieliście mi, dlaczego ten Pers się tu kręci.

— Ten Med?

— Ten Med.

— Hiramie, o tym nikt nie powinien wiedzieć.

— Dobrze; ale ja nie jestem nikt, a jeśli wy wiecie, będę wiedział i ja.

— Hiramie, to, co mówię, musi wpaść jak kamień w głębokie morze.

— Niech będzie.

— Więc on, ten Med, przyjechał tu, żeby robić zgodę między Fenicjanami a Grekami w Egipcie.

— Po co, co jego to obchodzi?

— On chce, żeby Egipt był silny.

— Co mu do tego? Czy on jest Egipcjaninem?

— Nie, ale Egipt jest sprzymierzeńcem Medii. To jest polityka — rozumiesz?

— Nie rozumiem. To bardzo dalekie kraje. A co nas to obchodzi, że on chce robić zgodę w Egipcie?

I Asarhan, i Barkas zerwali się z miejsc.

— Jak to, co nas to obchodzi. Ty tego nie rozumiesz, Hiramie? — mówili jeden przez drugiego. — Ty nie rozumiesz, że z Grekami musi być raz koniec? Albo my, albo oni. Na Molocha, na straszną Astoreth, albo my, albo oni. Kto zabiera nam cały handel na morzu? — Grecy. Kto zakłada kolonie, faktorie, osady? — Grecy. Kto wkręca się wszędzie tam, gdzie dotąd byliśmy tylko my? Kto buduje więcej statków, niż my? Kto zabiera nam zarobki?

— Kartagina jest bogata.

— A jaka by była bogata, gdyby nie Grecy! Już przed 50 laty kręcili się wszędzie na północy, ale jeszcze nie było ich u nas w Afryce, tu, w Libii. A teraz? Zapytaj się Barkasa, ile on rocznie traci od czasu, jak się rozrasta ta ich parszywa, grecka osada, żeby ją żywy ogień spalili — w Kyrenie. Połowa statków ze wschodu nie dojeżdża do nas, tylko zostawia swoje towary w Kyrenie albo w Barce. A spytaj się braci naszych w Egipcie, co u nich słychać. To samo. Kto dawniej rządził w Egipcie?

— Egipcjanie.

— Dziecko jesteś, Hiramie! — Egipcjanie! Może kiedyś, dawniej. Ale potem rządili nasi bankierzy, nasi skarbnicy, nasi doradcy jego świątobliwości faraona. Nawet potem, kiedy przyszli Asyryjczycy, też braciom naszym nie działa się źle. A teraz! Strach mówić. Greków już jest tam więcej niż Fenicjan i pchają się ciągle ze wszystkich stron. A najwięcej do armii, do wojska. — I dla kogo teraz wszystkie dostojęństwa, pałace, zaszczyty? Dla nich, dla ich oficerów, wodzów, żeby ich mór pobili, dla Greków. Asarhan ma słuszość. Nie można dłużej czekać. Albo my, albo oni.

Hiram wzdrygnął się.

— Wojna — szepnął.

— Tak. Trzeba raz skończyć z nimi i w Egipcie, i w Kyrenie, i w całej Libii.

Hiram jęknął.

— Wojna to straszna rzecz.

— Hiramie, ty jesteś dowódcą straży i boisz się wojny.

— A kto się ma jej bać? Ty? Ty będziesz siedział w domu, Asarhan też. A ja?

— I ty też. Nie bój się, Hiramie. Nikt cię nie wypycha na Greków. My nie jesteśmy od tego, żeby się bić. Niech to robią inni.

— Kto?

— Egipt.

Hiram kiwnął głową. Twarz jego rozjaśniła się zwolna.

— Jak tak, to co innego. To po fenicku, to jest ostrożnie i rozumnie. Etruskowie biją się za nas na północy, korsarze też za nasze pieniądze prześladują Greków wszędzie na morzach, a Egipcjanie niech walczą w Libii. To rozumiem. Ale co ma do tego ten Pers?

— Ten Med?

— Ten Med.

— Mówilem ci już, Hiramie. On chce zrobić zgodę między nami i Grekami w Egipcie, a my chcemy wojny, bo teraz najlepsza pora. Ten Med, jak jedzie tam do Egiptu, to psuje wszystko, co my naprawiamy, a naprawia wszystko, co my psujemy. On zna faraona, nomarchów, on dużo wie, on jest tam zupełnie niepotrzebny. A teraz on tam wróci.

— To źle.

— Bardzo źle.

— I nie trzeba było go puszczać. Lepiej było zabić.

— Po co? Trzeba go było tylko trzymać dotąd, aż się tam wszystko zacznie, w Egipcie. Wtenczas niech sobie jedzie zdrów. Zabijać niedobrze, bo to kapłan — arcykapłan.

— Wielka rzecz, arcykapłan — wtrącił Barkas.

— Barkas, ty jesteś głupszy od młodego psa. Ty nie wiesz, co może taki arcykapłan. Ty słyszałeś, co spotkało jednego naszego księcia na Cyprze? On podejmował u siebie takiego właśnie mędrca, Chaldejczyka, i chciał się go pozbyć. Dawał mu co dzień na obiad pieczeń z tu-czonych psów.

— To co? To bardzo dobre mięso.

— Ale Chaldejczycy tego nie jedzą, może im nie wolno, może nie lubią — nie wiem. I ten kapłan też nie chciał jeść; zresztą grzeczny był, nic nie mówił, jednego dnia nic, drugiego nic, ale na piąty dzień miał dosyć i wyjechał. Tylko na odjeźdźnym powiedział temu księciu: „Widzę, dostojny panie, że bardzo lubisz psie mięso. Niech więc odtąd wszystko, co jesz, przypomina ci ten przysmak“. I odjechał. I wiesz ty, Barkasie — minęło od tego czasu wiele lat, a on, ten książę, ile razy coś je, to tak, jakby psie mięso jadł. Najpierw kucharzy zmieniał wciąż, teraz dał spokój. Schudł biedak, zmizerniał. Widziałem go. Mówił, że nawet, jak winogrona je, to mu psim lojem zalatują.

Barkas pokręcił głową.

— To jest świńska zemsta — rzekł. — Nie wiedziałem, że oni to potrafią.

— Mniejsza o to. Teraz mówimy o tym Medzie. Jak go zatrzymać? On już nie jest w Kartaginie.

— A nie jest — potwierdził Asarhan — ładnie twoja straż pilnuje portu.

— Asarhanie — rzekł smutno Hiram — ty dostałeś wymyślanie od najwyższej rady, ja też już dostałem. A co ja jestem winien? Zawiadomiłem o zbiegu wczoraj o świcie naszą strażnicę na wschodnim przylądku. Spostreegli jakąś łódź, wysłali najszybszą galerę, ale burza przeszkodziła im w pogoni. I co tu sobie wypominać swoje zmartwienia. Niech lepiej Barkas powie, co teraz robić.

— Więc tak — rzekł Barkas. — Dzisiaj jeszcze pojedzie ten mój znajomy Grek razem z twoim służącym, Asarhanie, z tym służącym, który zna tego Meda. Pojadą statkiem, który rusza do Syrakuz.

— Dlaczego właśnie tam?

— Najwyższa rada mówiła, że on na pewno uciekł do Syrakuz.

— Dobrze, i co dalej?

— W Syrakuzach twój służący pozna tego Meda i wskaże go mojemu Grekowi, a ten już zaopiekuje się nim dalej.

— Co to znaczy: zaopiekuje się?

— To znaczy — robi wszystko, żeby ten pies nie dojechał do Egiptu.

— Zabije go?

— Nie. Lepiej nie. Najwyższa rada mówiła, żeby lepiej tego nie robić. Chyba w ostateczności.

— Więc jak on go zatrzyma?

— To już jego rzecz. On mówi, że on to robi. On jest chytry i ma swoich znajomych w różnych portach greckich.

— Znajomych, Greków?

— Greków. Ale przecież ty wiesz, że oni nie trzymają się razem, żrą się jedni z drugimi, a każda najmarniejsza miłościna robi, co się jej podoba.

W tej chwili do komnaty wszedł służący Hirama.

— Panie — rzekł — ten człowiek, Grek, przyszedł i czeka w przedsionku.

— Dobrze; wpuść go tutaj.

Asarhan podniósł się z miejsca.

— Wychodzę — rzekł. — Nie przystoi mojej dostojnej powadze rozmawiać z tak nikczemnym psem. Wy wiecie już wszystko, co potrzeba. Zaraz przyślę tu służącego, który znał tego Meda i pojedzie szukać go do Syrakuz.

— Dobrze; powiedz mi tylko jeszcze, Asarhanie, jak się nazywa ten Pers?

— Ten Med?

— Ten Med.

— Nazywa się, ale to nie ma żadnego znaczenia, bo on może zmieniać nazwy jak sandały. Nazywa się — Nehurabhed.



Syrakuzy ówczesne składały się z dwóch części. Jedna, położona na małej wyspie Ortygią zwanej, była właściwym, starym miastem założonym przed kilkuset laty i pamiętającym bodaj czasy Odysseusza. Wyspę tę można by też nazwać półwyspem, odciętym od lądu wąskim kanałem; wielka brama — Pentapylon — jedyna prowadziła do miasta. Druga część grodu leżąca już na lądzie, na szerokim półwyspie, oddzielonym od Ortygii wąskim przesmykiem, była nowsza i większa, różniła się też od tamtej znacznie.

Ortygia zabudowana była ciasno, tak ciasno, jak żadne z miast greckich, uliczki były wąskie, kręte, tak że dwa wozy gdzieś tam tylko mogły się minąć. Nie było tu żadnych winnic, ogrodów; podwórka, niezbędne we wszystkich domach greckich, tu były bardzo małe; w dzielnicach uboższych, zamieszkałych przez ludność najemną, robotniczą albo wprost niewolną, domy były dwu- i trzypiętrowe, stojące zwarcie obok siebie. Nawet przed starym ratuszem „buleuterionem“ plac był wyjątkowo mały, nie odpowiadający ważności wielkiego miasta. Wszystko podporządkowane było jednemu celowi, żeby jak najwięcej domów i ludzi zmieścić na małej przestrzeni wyspy. Jeden tylko skrawek koło źródła i sadzawki Are-

tuzy opasany był wieńcem zieleni: palm różnych, rododendronów i pigw.

Istotnie wyspa sama przez się zabezpieczała mieszkańców świetnie od napaści ze strony lądu. I dlatego każdy chciał być na wyspie. Położenie to zarazem zdecydowało bezwzględnie o rozwoju i przyszłości miasta. Ortygia mogła być zaatakowana i zdobyta tylko z morza, wszystkie więc wysiłki mieszkańców musiały iść w kierunku zapewnienia sobie bezpieczeństwa właśnie na morzu. Od samego początku swego istnienia, przez wieki całe, Syrakuzy dążyły do tego, żeby stać się przede wszystkim potęgą morską, rozbudowywały wytrwale swą flotę, aż cel ten osiągnęły w zupełności; zostały jednym z największych portów handlowych i wojennych w całym ówczesnym świecie śródziemnomorskim. Dwa razy w ciągu dziejów skrzyżowały swą broń z największymi państwami morskimi: raz z Kartaginą, w kilkadziesiąt lat po opisywanych tu wypadkach, drugi raz z Atenami, w kilkadziesiąt lat później. W obydwóch razach wojny zakończyły się klęską wrogów Syrakuz, a daty tych klęsk stały się, rzecz nie przypadkowa, punktami zwrotnymi w historii całej Grecji.

W miarę rozwoju miasta maleńka Ortygia nie mogła pomieścić wszystkich mieszkańców i dlatego stosunkowo wcześniej powstała powoli druga część miasta już na lądzie stałym.

Ta część, rozbudowana szerzej i swobodniej, przewyższyła wkrótce wielkością i świetnością macierzystą wyspę. Domy tu były obszerniejsze i bogatsze; spomiędzy białych ścian, parterowych prawie zawsze budowli, wykwitały raz wraz kępy zieleni rosnących na podwórkach: palm, figowców, drzew oliwnych. Nowe miasto odgrodzone było murem od lądu Sycylii. Z Ortygią, od której dzielił je tylko wąski i płytki przesmyk morski, połączone było już wtedy sztuczną tamą, rozbudowaną potem

i umocnioną tak, że stała się ona prawdziwą chlubą budownictwa tych czasów.

Na południe od tamy między brzegami dwóch miast leżał właściwy port, zbiorowisko niezliczonej ilości łodzi, żaglowców, barek, wreszcie wielkich galer wojennych.

Do tego to portu, trzeciego dnia po przebytej groźnej a tak błogosławionej burzy, zawinęła maleńka łódź zbiegów z Kartaginy.

* * *

Dom Kaliasa położony był w zachodniej, nowszej, części miasta tuż w pobliżu morza i wielkich obronnych murów zamykających tu miasto od strony lądu. Łódź jego jednak przycumowana została w sporej odległości od domu, tam gdzie brzegi schodziły łagodnie ku morzu, umożliwiając wciągnięcie łodzi na ląd. Bliżej domu Kaliasa było to niemożliwe, brzeg bowiem urywał się tu stromym urwiskiem, a morze pełne było niebezpiecznych kamieni i raf.

Zbiegowie przybili o świtaniu i natychmiast niemal udali się do Kaliasa na tak zasłużony odpoczynek.

Dzień ten przespalili wszyscy nieprzerwanym snem.

Za to wieczorem, zgodnie ze zwyczajem, wszyscy sąsiedzi, wszyscy znajomi Kaliasa i znajomi tych znajomych i krewni, i krewni tych krewnych zebrali się wielką gromadą, aby posłuchać opowiadań przybyłego. Przyszli taką masą, że pomieszczenie ich w małym domu albo równie małym podwóreczku domu Kaliasowego byłoby niemożliwe. Rozsiedli się więc przed domem tuż przy morzu, na małym jakby tarasie skalnym, gdzie kto mógł — na żwirze, na kamieniach, na urwisku skalnego zbocza, schodzącym do morza. Przynieśli z sobą wino, pszenne lub jęczmienne placki, częstowali przybyłych śmiejąc się i żartując. Otoczyły ich dzieci wielkim kołem, nadstawiając ciekawie uszu.

Kalias, najważniejsza w tej chwili osoba, usiadł na środku, na wielkim głazie i rozpowiadać jął długo i szeroko wszystkie swe ostatnie przygody, ubarwiając je przy tym sownie. Grecy kochali się w takich opowieściach, cieszyli się nimi jak dzieci, nie bardzo zważając przy tym, czy wszystko zgadza się z prawdą. Jedno tylko było wstydem dla opowiadającego, a to, gdy wydał się nudny, gdy nie potrafił zająć słuchaczy. W tym wypadku jednak niebezpieczeństwo nie groziło. Kalias nawet wtedy, gdy nic go naprawdę nie spotkało, potrafił o tym niczym mówić niezmiernie zajmująco, a cóż dopiero teraz, gdy naprawdę tyle przeszedł i przeżył. Wszyscy zwiedzieli się już jakoś o tym i dlatego przyszedli dość tak gromadnie. Częstoowano go też suto winem, aby nie zaschło w gardle, klaskano w ręce, zarzucano pytaniami. A Kalias podniecony tym przyjęciem, rozgrzany winem, patrząc na rozplamienione oblicza słuchaczy gadał, dodawał, przekreślał, mówił to, co było i to, co mogło być, i to, czego wcale nie było.

I tak, według niego, po wyjeździe z Kartaginy spostrzegła ich łódź strażnicza w porcie i ścisnęła parę godzin i tylko dzięki jego, Kaliasa zręczności i dzięki ciemnej nocy — udało się im ucieść cało. Mówił przy tym tak przejmująco o szczegółach pościgu, o tym, jak słyszeli już głosy i widzieli światła osaczających ich barek kartagińskich, że nie tylko wszyscy słuchacze, ale i sam Melikles drżał z podniecenia i ciekawości. A Kalias opowiadał dalej o spotkaniu z łodzią korsarską.

— Rozbójnicy — mówił — byli tak już blisko, że zaczęli obrzucać nas strzałami z łuków. My oczywiście też nie byliśmy bezczynni i ja sam (wiecie przecież, jak strzelam) dogodziłem nieźle jednemu z tych łotrów. Dostał tak, że nawet krzyknąć nie zdążył. Przechylił się tylko przez burzę i runął w wodę. Na Hermesa, mówię wam, to był strzał, towarzysze!

Groza i przejęcie słuchaczy doszły jednak do szczytu, gdy Kalias pokazał chiton swój rozdarty przez strzałę korsarską (w rzeczywistości rozerwał go już w Syrakuzach przy wciąganiu łodzi na ląd).

Wszyscy byli wzruszeni; Nehurabhed, który pojawił się w drzwiach domu i przysłuchiwał opowieści, kręcił tylko głową z podziwem.

A Kalias, mówiąc przede wszystkim o sobie, nie szczędził jednak przy tym słów pochwały i dla sternika, który tak w porę spostrzegł nadchodzący wiatr i uratował tym może łódź od zatonięcia, i dla Meliklesa, który pierwszy porwał za broń i dobrze pomagał potem podczas burzy, i dla nieznanego starca, który chciał walczyć razem z nimi.

Gdy skończył, powstał krzyk i hałas. Wszyscy brali go w ramiona, ściskali, wypytywali o najbardziej przejmujące szczegóły.

— Dawno nie słyszeliśmy takiej opowieści — przyznawali zgodnie.

Potem musiał z kolei Melikles opowiadać, jak dostał się do niewoli, jak walczył, jak był ranny, jak pracował i cierpiał u swych nieludzkich panów — Kartagińczyków, jak wreszcie próbował ucieczki i na okrutną śmierć był skazany, jak w ostatniej chwili uratował go Kalias i tajemniczy cudzoziemiec. Nie opowiadał, rozumie się, tak świetnie jak Kalias, ale prawdę znać było w jego słowach i słuchacze nie szczędzili mu też słów współczucia i uznania.

Rozgadali się potem wszyscy. Stary jakiś Grek opowiadał o niedawnej bitwie z Etruskami, którą stoczył, gdy w drodze z Massalii do Kum musiał lądować przy etruskich brzegach. Ktoś drugi mówił znów, jak w takiejże bitwie z Etruskami przed dwoma laty dostał się do niewoli i uciekł z niej do ludu Ramnów blisko Etrusków siedzącego. Mówił o wielkim mieście tych Ramnów, które

nazywano Rama, czyli Roma, a które było prawie tak piękne jak Syrakuzy.

Większość słuchaczyw znała te opowieści, ale słuchała ich chętnie drugi raz; cóż bowiem mogło być miłszego dla Greka, jak przeżywać w ten sposób dalekie podróże, poznawać obce kraje, lądy, zwalczać niebezpieczeństwa i przeszkody.

Noc już zapadła, księżyc wzeszedł nad zatoką, a wzgórza tonące w gąszczach winnic i gajów oliwnych roztopiały się już w mroku, a oni gwarzyli jeszcze, wspominając stare dzieje, kpiąc po trosze i żartując z siebie. Dopiero chłód, ostry chłód nocy, bo to była przecież późna jesień, wypędził ich do domów.

* * *

Rozpoczęły się odtąd dla Meliklesa dni pracowite, ale spokojne, pełne jednostajnych robót przy łodzi w porcie. Mozolne naprawianie łodzi, zszywanie żagla, wiązanie rozdartych sieci, skręcanie lin, zbijanie wiosel — te zajęcia wypełniały mu cały dzień. Pracy miał dużo, a Kalias wymagający był i porywczy. Ale Melikles radosny był wciąż i szczęśliwy. Roboty, które miał wykonywać, znał wybórnie. — Syn żeglarza i rybaka, bratanek cieśli okrętowego, obeznany od dzieciństwa z tym właśnie życiem, wszedł od razu w jego tory i pomagał Kaliasowi naprawdę dużo i rzetelnie.

Nie uchroniło go to od kilkakrotnych wybuchów gniewu Syrakuzanczyka, bo Kalias bez takich wybuchów żyć by nie mógł, ale nie były one nigdy zbyt groźne. Zawsze, gdy chłopiec zbyt już do serca brał te objawy niezadowolenia, Kalias wypogadzał się łaskawie, żartował i poklepując go po ramieniu powtarzał:

— No, nic, chłopcze. Jak będziesz dłużej u mnie, u Kaliasa, nauczysz się wszystkiego. — Traktował go jednak z każdym dniem lepiej, a co wieczór niemal mówił do Nehurabheda:

— Zaprawdę dobrze się stało, żeśmy uratowali tego smyka.

Tajemniczy cudzoziemiec pozostał bowiem przez cały ciąg pobytu swego w Syrakuzach gościem Kaliasa.

Grek był z tego wyraźnie zadowolony, po pierwsze dlatego, że gościnność taka oczywiście nie była bezpłatna, po drugie, że obecność takiego człowieka dodawała jego domowi blasku i znaczenia. Rozповідаł też wszystkim na prawo i lewo o Nehurabhedzie, tłumaczył z tajemniczą miną, że jest on na pewno kimś bardzo niezwykłym, pewnie posłem, a może nawet księciem, a może wielkim kapłanem albo arcykapłanem, albo wróżbitą, a najpewniej wszystkim tym razem w jednej osobie. Odnosił się więc do niego z niezmierną grzecznością, zwłaszcza przy ludziach, żeby wszyscy widzieli, jakiego to on, Kalias, dostojnika ma w swoim domu. Nehurabhed przyjmował to jak zawsze milcząco i obojętnie, co tym bardziej podnosiło jego znaczenie. Grek nie wiedział o nim zresztą wiele więcej niż przedtem, doszło jednak jakoś prędko do jego wiadomości, że starzec bywa i w ratuszu, i w pałacu rady zarządzającej, i u samego Praksilaosa, zastępcy nieobecnego tyrana Syrakuz.

Zaprawdę to był ktoś nie byle jaki.

Melikles rzadko widywał Nehurabheda, spędzał bowiem całe dnie na łodzi, a nawet sypiał na niej co drugą noc, układając maty na szerokiej ławie przy rufie. Ilekroć jednak spotkał starego człowieka, ten zawsze wypytywał go starannie, jak mu jest, co robi, na jak długo zobowiązał się pracować jako robotnik u Kaliasa.

Chłopiec patrzył na niego z takim samym szacunkiem i lękiem jak przedtem, ale z uczuciami tymi łączyła się teraz w sposób dziwny coraz większa, ślepa, dziecienna niemal ufność. Żałował też szczerze, że stary człowiek wyjeżdża za parę dni z Syrakuz, w dalszą drogę do Grecji czy do Egiptu; z przykrością myślał o nadchodzącym rozstaniu.

Tymczasem zaszedł wypadek, który wstrząsnął znów losem chłopca i wytrącił go z kolei drogi, na którą ledwie wchodzić zaczynał.



Było to szóstego czy siódmego dnia po ich przyjeździe do Syrakuz. Zbliżał się wieczór — najulubieńsza pora dnia. O tej porze Melikles kończył już robotę, miał tylko pilnować znajdujących się na podpokładzie sieci, żagli, beczek — do nadejścia nocującego na łodzi Libijczyka. Wychodził wtedy zawsze na wyższy brzeg, niedaleko, o kilkadziesiąt kroków, tak żeby nie tracić z oczu swej łodzi. Przystawał na kamiennym wzgórku, skąd widać było z jednej strony port, z drugiej — mały, leżący między murami plac. Ten plac to było teraz najważniejsze miejsce w Syrakuzach dla Meliklesa, ku niemu biegły niestrudzenie wszystkie jego myśli i marzenia. Na placu tym zbierali się co wieczór wracający z pracy chłopcy, tacy jak on albo starsi trochę, których zwano efebami.

Otaczali kołem plac, dwóch z nich zrzucało odzież i stawało do walki, do zawodów. Inni przyglądali się im nie szczędząc rad, pochwał i oklasków.

Przechodzący nie opodal starsi, siwi już rybacy, żeglarze, spracowani marynarze i robotnicy stawali tu nieraz całymi gromadkami, aby chwilę chociaż popatrzeć na zawodników. Tu bowiem w tych ulicznych agonach kształcili się nieraz świetni zapaśnicy, których imiona roz-

brzmiewały potem nawet w świętych gajach olimpijskich. Wszyscy ci patrzący i starzy, i młodzi, znali się dobrze na każdym ruchu, wiedzieli, co wolno, czego nie wolno, nie trzeba im było żadnych sędziów. W zapasach takich nie można było bowiem robić żadnej krzywdy, nie wolno tu było kopać ani szczypać, ani rąk wylamywać. Walczyć trzeba było nie bólem i krzywdą, ale siłą i zręcznością.

Inna rzecz, że w roznamiętnieniu walki, w pasji spowodowanej przegraną dochodziło nieraz do prawdziwej bijatyki bez żadnych już prawideł i bez opamiętania. Wybuchy jednak takie zdarzały się rzadko, bo marzeniem chłopców było oczywiście, aby wszystko odbywało się jak na prawdziwych igrzyskach, a na tych takie nieopanowanie namiętności było największą hańbą dla zawodnika.

Melikles pamiętał takie same widowiska z ogrodów w Milecie i z placów w kolonii Partenope. Oczy płonęły mu z ciekawości.

A chłopcy syrakuzańscy spostrzegli go też prędko — i dalej oczywiście wyzywać go do walki. To było straszne.

Melikles dygotał cały z ochoty do takiej próby, ale iść przecie nie mógł, bo miał nakaz pilnować łodzi i nie mógł tracić jej z oczu. — A tu jak na złość wśród tłumu chłopców byli i tacy, którzy słyszeli jego opowieść po przyjeździe, i ci kpić zaczęli, że to niby dwóch korsarzy zatłukł, a teraz pokazać, co naprawdę umie, to się boi. W gębie tylko taki mocny — powiadali.

Melikles drżał słysząc te zniewagi, zaciskał pięści, odgryzał się, jak tylko umiał, obiecywał solennie sobie i im, że się z nimi porachuje. Na razie jednak nie mógł zrobić nic innego, tylko czekać. Żeby ten Libijczyk wcześniej przyszedł, mógłby zdążyć jeszcze stanąć do walki. Wtenczas pokazałby im, tym piecuchom, co on potrafi.

Tymczasem na placu nastąpiła znów ciekawsza walka i uwaga odwróciła się od niego. Wisząca w powietrzu awantura przycichła. Melikles zwrócił się niecierpliwie

w stronę domu Kaliasa, skąd miał przyjść Libijczyk. Nagle drgnął. Dźwięk nienawistnej mowy fenickiej uderzył o jego uszy. Dwóch ludzi, przepchawszy się przez krąg otaczający zapaśników, rozmawiało tuż nie opodal.

Jeden z nich miał wyraźne, ostre rysy fenickie, drugi był zapewne Grekiem.

— Jest stary, siwy, wysoki, ma dużą brodę — wygląda jak arcykapłan — mówił Fenicjanin. — Poznasz go z łatwością.

— Zakryj lepiej twarz, bo i on cię może poznać — odpowiedział jego towarzysz.

Przeszli obok. Melikles zaniepokoił się.

W Kartaginie osłuchiwał się trochę z mową swych okrutnych panów, tak że rozumiał teraz sens dosłyszanych słów. Tak mu się zdawało; nie był zupełnie pewien. I nie wiadomo dlaczego przyszło mu od razu na myśl, że tamci dwaj mówią o jego opiece, o starcu, o Nehurabhedzie.

Po chwili namysłu ruszył za nimi.

Dwaj nieznajomi szli w stronę bramy przybrzeżnej, a zarazem w stronę domu Kaliasa. Za chwilę dołączył się do nich trzeci — duży, barczysty chłop, odziany nędznie, wyglądający na zwykłego włóczęgę, pół-żebraka, pół-opryszka, jakich wielu wałęsało się w rozległym porcie. Rozmawiali półgłosem, stojąc.

Melikles przybliżył się do nich; obrzucili go niechętnym spojrzeniem. Ruszyli znów. Chłopiec zatrzymał się; rozmyślał.

Właściwie skąd przyszło mu na myśl, że tu chodzi o Nehurabheda. Przywidziało mu się. Zresztą trudno. Kazano mu pilnować łodzi, nie może więc odejść nigdzie dalej.

Zawrócił na łódź. Usiadł na burcie straciwszy nagle cały zapał do przyglądania się zawodom. Nie był spokojny. Ta nienawistna mowa fenicka! I dlaczego ten Fenicjanin

miał zakryć sobie twarz, dlaczego bał się poznania. To nie było w porządku.

Zapadał już zmierzch, gdy Libijczyk przyszedł nareszcie. Melikles był wolny, mógł robić z sobą, co chciał. Wyszedł na brzeg. Zawody skończyły się już, a młodzi zapasnicy rozchodzili się po mieście. Ale Melikles nie zwracał na to teraz uwagi, szedł śpiesznie brzegiem do domu Kaliasa. Nagle przed sobą tuż ujrzał idących teraz ku niemu tych samych trzech ludzi: Fenicjanina, Greka i tego ostatniego, o wyglądzie zwykłego opryszka.

Gdy ujrzał ich, usłyszał znów wyraźnie wymówione wyrazy:

— Tak, to ten sam!

To mówił Fenicjanin.

I znów Melikles nie mógł oprzeć się wrażeniu, że mówią o Nehurabhedzie.

Nie namyślał się tym razem, zawrócił śpiesznie ich śladem. Żeby to mógł usłyszeć dobrze, o czym mówią albo zobaczyć, dokąd idą.

Zmierzchało się już i stawało się z każdą chwilą ciemniej. Ludzi jednak kręciło się jeszcze sporo i można było bez zwrócenia uwagi iść wśród nich nie tracąc tamtych trzech z oczu.

Nieznajomi doszli do wielkiej tamy łączącej nowe miasto z Ortygią, przeszli mimo niej i szli dalej wybrzeżem na północ. Melikles starał tuż przy tamie. Zawahał się. Dotąd wydawało mu się, że nie mógł być zauważony. Ale teraz było gorzej, bo za tamą ludzi było znacznie mniej, wybrzeże strome tutaj, urwiste, było prawie puste. Za to ściemniało się coraz bardziej. O sto kroków nic już nie było widać. — Zawrócę — pomyślał Melikles — co mi tam! — Ale ciekawość przemogła. — Jeszcze chociaż kilka kroków — powtarzał sobie — może zobaczę, dokąd skręca... — Nie odszedł jednak nawet dwóch stadiów, gdy musiał zwolnić kroku. Idący przed nim trzej nieznajomi



zatrzymali się, chwilę jakby naradzali się z sobą; wreszcie jeden z nich oddalił się od pozostałych i zawrócił do tamy. Dwaj inni poszli dalej.

Melikles zawahał się; przyjrzał się bacznie nadchodzącemu. Tak. To był ten sam oberwany włóczęga, którego minął już dwukrotnie. Pewien był, że teraz ten minie go także, nagle jednak opryszek zmienił kierunek i przystąpił wprost ku niemu.

Melikles zdumiony zachował się w tył, chciał odskoczyć; w tej chwili jednak dostał straszne uderzenie pięścią w twarz, zachwiał się i runął na ziemię. Padł zaledwie o kilka kroków od skraju urwistego brzegu.

— Na przyszły raz będziesz, szczeniaku, mniej ciekawy — usłyszał nad sobą głos.

Podniósł się z trudem; w głowie huczało mu. Na policzku czuł krew, w uchu piekący ból, ale pasja była sil-

niejsza od bólu. On, Melikles, dałby się tak sponiewierać jak pies?

Nie namyślając się rzucił się za nieznanym z pięściami. A tamten zatrzymał się zaraz.

— Mało ci, chcesz jeszcze? — rzekł.

Schwycili się w pół, szczepili pazurami jak niedźwiedzie, zatoczyli się w jedną stronę, w drugą.

Opryszek chłop był duży, barczysty i silny.

Melikles mniejszy znacznie, wychudzony głodem, przygarbiony od dźwigania ciężarów w niewoli. Ale mocy i on miał dość, o wiele więcej, niż zwykli chłopcy w jego wieku. Dlatego właśnie, że tak wcześniej i tak ciężko pracować musiał i walczyć, ciało jego zahartowane było jak najlepsza etruska broń, a mięśnie giętkie jak u rysia.

Włóczęga mylił się sądząc, że będzie miał łatwą robotę z tym szczeniakiem.

Szamotał się długi czas z chłopcem, sapiąc i charcząc z wściekłości, sięgnął wreszcie po nóż, w tej chwili jednak potknął się i zwałił przez podstawioną nogę Meliklesa. Zaklął ciężko. Padł, a raczej padli obaj, tarzając się po kamiennym nabrzeżu jak gryzące się psy. Opryszek wziął jednak górę wreszcie, zwałił się na chłopca całym ciężarem, gniótł go potężnie, przemagał. Przyciągnął żelaznym uściskiem jego głowę do samej ziemi, dusił niemal, nie puszczał, bił. Melikles czuł, że słabnie, dobywał z siebie ostatnich sił, klęcząc zgięty w kablak przepychał swego strasznego przeciwnika, targał nim wściekle, nieprzytomny, nie widzący nic wokół.

Nagle krzyk straszny wyrwał się z piersi obydwóch. Ziemia skończyła się pod nimi.

Nie można walczyć bezkarnie na samym skraju przepaści.

Melikles puszcza swego wroga, chce chwycić za brzeg; palce osuwają się po gładkiej ścianie urwiska. —

Spada jak kamień. Ścisł przerażenia w piersiach. Uderzenie ostre o powierzchnię wody i za chwilę drugie, tępe o dno. Ból i huk, i wstrząs odbierają na chwilę przytomność. Ale brak tchu przywraca ją zaraz. Melikles wydobywa się na wierzch, wpółślepy z grozy. Czepia się brzegu jedną ręką; druga jest w tej chwili jednym płonącym bólem. Otrząsa się, przytłumienie. Spogląda w górę. Nad nim — strome urwisko wysokie na kilku chłopów, gładkie jak ściana. Za nim — morze. Woda sięga ledwie do ramion, ale kołysze się, faluje, chlupocze między kamieniami. Stopy osuwają się wciąż po śliskim dnie. Ból w ramieniu staje się straszny. Melikles czuje, że nie ustoi tak długo. Rozgląda się z rozpaczą po tonącym w ciemności brzegu. Tam, o kilkadziesiąt kroków — urwisko nie jest tak strome, schodzi łagodniej ku morzu, tam... Tak, to jedyna droga. Nie czekając już dłużej rzuca się w wodę, płynie. Jest wybornym pływakiem. Ale teraz musi płynąć jedną tylko ręką. Nogi, kolana też są jak zmiażdżone. — Trudno. Zaciska zęby. Posuwa się jakoś. Do zbawczego brzegu dociera ostatkiem sił. Ledwie może wydostać się na zawalony głazami ląd.

Tam podbiega do niego dwóch chłopów. Melikles patrzy na nich oczami współprzytomnymi z bólu i zmęczenia. To są ci sami chłopcy, którzy wzywali go do walki na placu, kpili zeń i szydzili. Poszli potem za nim, bo chcieli przydybać go, zmusić wreszcie do mocowania się, a nie, to nabić po prostu. W ten sposób byli świadkami całej walki, prawdziwej, śmiertelnej walki. Drżą z przejęcia. Ale są teraz całą duszą po stronie Meliklesa. Patrzą nań z zachwytem. Pomagają mu wydostać się na górę po skalnym rumowisku.

— Chcieliśmy ci pomóc — mówią jeden przez drugiego, ale było już za późno. Machnęliście takiego kozła. Na Herkulesa! To był plusk! — Co się stało z tamtymi?

— Nie wiadomo. Nie wypłynął.

— Aleś mu dał bobu! Czego on chciał od ciebie — ten drab? Dalesz mu naukę. Zuch z ciebie, Milezyjczyku. Melikles nie słyszy już tych słów.

— Zaprowadźcie mnie do Kaliasa, do domu Kaliasa — szepcze z wysiłkiem — ja już... ja już nic nie wiem, nie wiem, nie mogę...

Ciemność zasłania mu oczy, czepia się ramion swych towarzyszy, osuwa się bezwładnie do ich stóp.

* * *

Odzyskał przytomność już na podwórku w domu Kaliasa.

Greki stał nad nim zdumiony i przerażony jednocześnie. Za chwilę przyszedł i Nehurabhed.

— Co się stało, kto, jakim sposobem? — pytali obaj.

— Zobaczyłem jednego Fenicjanina, wydawał mi się znajomym, poszedłem za nim za tamę. Tam napadł mnie jakiś pijany włóczęga, ciężki, silny jak niedźwiedź, walczylem i... i... spadliśmy obaj w morze.

— Co się z nim stało?

— Nie wypłynął.

Kalias pokręcił głową. Dalsza rozmowa urwała się, bo Nehurabhed, widząc stan chłopca, zakazał pytać go więcej. Wziął się za to zaraz do badania jego potłuczonych rąk i nóg.

Przy nastawianiu zwichniętego ramienia Melikles omdlał znowu, ocucił się już na posłaniu w swej alkwie. Czuł się rańniejszy. Ból w ramieniu ustał zupełnie. Spojrzał przytomniej.

Nehurabhed siedział przy nim.

— Nie ci nie będzie — rzekł surowo — nie nie złamałeś: kości całe. Lepiej ci?

Melikles kiwnął głową. — Dużo lepiej. Nie boli nic.

— Tak. Za parę dni będziesz zdrowy jak przedtem, Udało ci się, ale na drugi raz nie próbuj takich sztuczek.

Głupiec! Kalias jest wściekły na ciebie i ma słuszość. O mało nie stracić życia w głupiej pijackiej burdzie.

Melikles poruszył się gwałtownie.

— To, panie, nie było zupełnie tak, jak mówiłem.

— Jak to?

Melikles opowiedział po kolei wszystko od posłyszanej przypadkiem rozmowy do niespodzianej napaści opryszka.

Nehurabhed siedział nieporuszony. Ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy.

— Dlaczego nie powiedziałeś o tym od razu Kaliasowi?

— Nie wiem — może nie chciałbyś tego, panie. Wołałem najpierw powiedzieć o tym tobie.

Nehurabhed podniósł na niego oczy i przez chwilę patrzył badawczo.

— Tak, rozumiem — rzekł zwolna. — Nie wiem, czy podejrzenia twoje były słuszne — nie wiem, czy oddałeś mi istotnie przysługę. W każdym razie chciałeś mi ją oddać. I to jest ważne.

Przymrużył oczy, a po chwili mówił dalej:

— I to dobrze, żeś nie mówił nic Kaliasowi. Ten człowiek rzeczywiście za wiele mówi, zdumiewająco wiele — nawet jak na Greka.

Zamilkł, oparł głowę o rękę i siedział długi czas zamysłony.

— Jak długo zobowiązałeś się pracować u Kaliasa?
— rzucił wreszcie pytanie.

— Półtora roku.

— To długo. Czy nie chciałbyś wcześniej zobaczyć swojej matki?

Melikles złożył ręce. — Ach, panie — szepnął tylko. Stary człowiek pokiwał głową.

— Gdybyś pojechał ze mną — rzekł z namysłem — to — może nie byłoby to zupełnie bezpiecznie, chociaż...

nie przypuszczam. Zresztą taki chłopak, jak ty potrafi znaleźć niebezpieczeństwo nawet na równej drodze tu, w Syrakuzach. A tutaj rodzina tego opryszka, który nie wypłynął, może też mścić się na tobie. Tak. Więc — gdybyś pojechał ze mną... Ja wprawdzie jadę teraz do Egiptu, ale stamtąd... Tak czy owak najdalej za pół roku będę w Mniejszej Azji. Tam trafisz łatwo do swoich. A w drodze przydałbyś mi się... może. Właśnie taki chłopiec, jak ty.

Melikles aż poderwał się na posłaniu. Drżał z przejęcia.

— Jak to byłoby możliwe, panie, jak? Przecież Kalias...

Nehurabhed podniósł się.

— No, nic nie wiem jeszcze, chłopcze, nic nie wiem. Zobaczę, namyślę się, rozważę. Tymczasem leż spokojnie i wypocznij. Musisz być prędko zdrowy.



W pewnym momencie chory Melikles ocknął się, przebudzony gwarem dochodzącym spoza kotary. Musiał spać długo i mocno, czuł się bowiem wypoczęty i rześki. — Przez szczelinę sączyło się teraz inne światło — złotawe światło lamp oliwnych. Był wieczór. Niezwykły gwar licznych, zmieszanych głosów zdziwił go. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że to dzisiaj miała być u Kaliasa biesiada, że przyjść mieli liczni goście i przyjaciele, by wieszczerzać razem, pić wino i gwarzyć.

Melikles odróżniał wyraźnie poszczególne głosy.

Ktoś opowiadał długo przejmującym głosem o Delfach, o największej, czczonej w całej Helladzie, świątyni Apollina, odnawianej teraz z całym przepychem, przy udziale wielu państw greckich.

Mówiono o skarbach, które płyną ze wszystkich stron dla uświetnienia tego prawdziwego miasta boga; sławiono bojażność Solona — prawodawcy Aten; zdumiewano się wystąpieniem Krezusa, młodego króla Lidów, który, chociaż nie-Grek, przysłał też Delfom wspaniałe dary.

Wróciła potem rozmowa znów do Solona, do jego wielkiego dzieła urządzenia i uporządkowania Aten.

— Czym były Ateny dotąd — mówił ten sam przejmujący głos. — Miastem, jakich wiele, lichszym bodaj od

Miletu, mało co większym od Koryntu, od waszyen Syrakuz, od Tarentu w Wielkiej Grecji. — A dziś? Rozszerzane są ulice, powstają nowe domy, rośnie miasto, rośnie port w Pireusie, wzrasta dobrobyt obywateli. I dlaczego? Dlatego, że nie pozwolono garści bezlitosnych panów, bogaczy, wyzyskiwać tysięcy chłopów, jęczących pod ciężarem długów, że wykupiono ich, wyzwolono na zawsze od gniotącej zmory niewoli, że uczyniono z nich znowu ludzi.

Solon. Tak. Oto człowiek. Oto mędrzec zaiste. Samo to, co uczynił ucząc, jak wychowywać młodych Ateńczyków — rozślawi imię jego na całą Helladę.

— A wiecie, pono w Atenach zaczęto spisywać i zbierać razem święte pieśni Homera — odezwał się głos jakiś.

Tutaj wybuchła wrzawa. Wielka opowieść o losie Troi, przekazywana dotąd ustnie z pokolenia na pokolenie, teraz dopiero spisana być miała przez kapłanów i ludzi biegłych w piśmie.

W pewnej chwili nastąpiła cisza.

A potem usłyszał Melikles czarowne, znane wszystkim Grekom strofy, nieśmiertelne dzieje grodu Priama.

Melikles siadł na posłaniu i odchylił zasłonę.

W megaronie skromnego domu Kaliasa, oświetlonym dość skąpo światłem dwu lamp oliwnych, siedziało przy stole kilkunastu biesiadników. Jeden z nich recytował młodym, śpiewnym głosem skandując rytmicznie wiersze, inni trwali w uroczystej ciszy, zasłuchani, jakby zagrożeni w modlitwie.

Melikles przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą; widział Kaliasa, widział i Nehurabheda, który, jako dostojny gość, chociaż cudzoziemiec, brał udział w biesiadzie. Na honorowym jednak miejscu, za środkiem stołu, siedział inny mężczyzna, którego postać zarazem potworna i groźna — uderzała niezwykłością. Ogromna,

łyśa głowa była niemal wbita w ramiona i sterczący na plecach garb, ręce zbyt długie, o palcach jak szpony drapieżne, drgały nerwowo, oczy czarne, patrzące spod krzaczastych brwi, paliły się żarem. Był to przybysz z dalekiej Grecji, Arkesilaos z Koryntu, wielki mistrz sztuki garncarskiej, malarz i artysta.

Ku niemu kierowały się wszystkie spojrzenia; ilekrót on przemówił, milkli wszyscy. Kalias usługiwał mu przed innymi, dumny z zaszczytu, jaki spotkał jego skromny dom przez odwiedzinę takiego gościa.

Gdy przerwano śpiewną recytację poematu, poczęto znów wychwalać dzieło Solona:

— Ateny staną niebawem na czele wszystkich miast — mówił Arkesilaos — jak święta olimpijskie stają się dziś drugą duszą Hellady.

Spierano się tedy, które miasto, które państwo greckie, ze wszystkich jest najważniejsze. — Część była za Atenami, kilku sławiło bogaty Milet radując tym serce Meliklesa. Młodzi jednak wychwalać jeli Spartę, która i na większości igrzysk pierwsze zajmuje miejsce i w wojnie jest dotąd niezwyciężona. — Zmarszczył się na to Arkesilaos, zasepił, milczał przez chwilę, rzekł wreszcie:

— Kto z was był w Sparcie? — Odpowiedziało mu milczenie. Arkesilaos uśmiechnął się wzgardliwie — gryzł przez chwilę wargi, jakby w nich słowa chciał zamknąć, cisnące się na usta. Wybuchnął nagle z niehamowaną dłużej namiętnością:

— Sparta to hańba Grecji! Gdzie jej miasta, jej świątynie, czymże wsławiła się, jakich wydała mężów?

Znów zaległo milczenie.

— Likurg — szepnął ktoś.

— Likurg — to zbrodniarz! — odrzekł porywczo starzec.

Szmer przeszedł przez zebranych.

Likurg był czczony jak święty mąż zesłany przez bogów, wielbiony jak Tezeusz, niemal jak mityczny Herakles.

Stary człowiek, widząc wrażenie, jakie wywołały jego bluźniercze słowa, odrzucił hardo głowę, powiódł płomiennymi oczami po biesiadnikach, i przejmującym szeptem, który wywoływał dreszcz, rzekł: — Jestem Spartaninem, o — Syrakuzanie! Jestem Spartaninem — powtórzył po chwili, a gdy nikt nie podnosił głosu, ciągnął dalej: — Tak jest, przyjaciele, urodziłem się w Sparcie, samej Sparcie, pochodzę ze znanego tam znakomitego rodu. I wychowywałem się w tej Sparcie — szczęśliwy dzieciak — bawiłem się, cieszyłem, igrałem wraz z gronem rówieśników, jak oni zdrów, silny, rumiany i — prosty. — Miałem już przeszło 4 lata, byłem taki jak twój najmłodszy dzieciak, zacny Kaliasie — właśnie taki — kiedy przyszło nieszczęście. Padające drzewo przygniotło mnie, czy uderzyło konarem. Przynieśli mnie do domu ledwie żywego. Długie dni, długie tygodnie leżałem bez ruchu, bez przytomności. Czuwała nade mną matka nie śpiąc, nie jedząc. Aż — powoli, powoli, niezmiernie powoli — zacząłem wracać do sił. Do sił, ale nie do zdrowia — przyjaciele — nie do dawnego zdrowia. Na plecach zaczął się tworzyć garb. Matka moja patrzyła na to z jakimś nieludzkim przestraczem, który i mnie malca przejmował lękiem. Nie pozwalała mi wychodzić z domu, ukrywała przed ludźmi. Byłem dzieckiem, nie wiedziałem o niczym. Nie wiedziałem, że nie mam prawa żyć. Byłem kaleką. W Sparcie nie wolno żyć kalekom. Takie prawo, o Syrakuzanie, prawo bogom równego Likurga. Tak. Słyszeliście wszyscy o skale, skąd stręcane są niedołężne dzieci, kalecy, ci wszyscy, którzy mogą być ciężarem dla wielkiego, szczytnego, och, wielbionego państwa Spartan. To miała być moja droga.

Nie wiedziałem o tym oczywiście, bawiłem się jak dawniej. Za to matka moja płakała całe dnie, nocami spała tuż przy mnie, obejmując mnie ciasno rękami. Kiedy budziłem się, widziałem jej oczy wpatrzone we mnie, oczy czarne, nieruchome, straszne. Bałem się wtenczas matki mojej. Któregoś dnia dowiedziała się, że mieli przyjść po mnie. O Kaliasie! O Syrakuzanie! Pomyślcie, kiedy wyciągają się do was te drobne, kochańe rączki, z dziecinną ufnością, z wiarą, z uśmiechem na różowych ustach — pomyślcie! — byłem taki sam — dla matki mojej.

Arkesilaos przerwał, zaczerpnął oddechu, drżącą ręką podniósł do ust czarę z winem, wypił do dna. Po chwili mówił dalej:

— Nocą wyszła ze mną. — Nocą. — Tak, po kryjomu, nie wzięła ze sobą służebnej, niewolnicy, nie wspomniała nikomu, nawet mężowi. Jakże mogłaby powiedzieć, zdradziłby ją każdy, doniósłby, że jest ktoś, kto śmie naruszyć święte prawa państwowe, kto sprzeciwia się wyrokom bogom równego Likurga. Zuchwalstwo takie nie do pomyslenia było. Och, matko moja! — Rzuciła dom, gdzie wzrosła, męża, rzuciła resztę dzieci, których (wiedziała o tym) nigdy już nie mogła zobaczyć, o Syrakuzanie, pomyślcie, pomyślcie — rzuciła własne dzieci na zawsze. Ale te dzieci były bezpieczne, zdrowe, nie groziło im nic. A ja...

Szła na oślep, przed siebie, w świat. Wędrowaliśmy tak długo, dnie i noce. Kiedy zmęczyłem się, brała mnie na ręce i szła, szła, byle naprzód. Silna była, wytrwała jak lwica, Spartanka zaiste. Nie zachodziliśmy nigdzie do wsi, do ludzi, nocowaliśmy w lasach, w jamach, rozpadlinach, gdzie popadło. Czym żyliśmy, jak stało się, że nie rozdarły nas dzikie zwierzęta, nie schwytali gorsi od zwierząt strażnicy — nie wiem.

Doszliśmy do Koryntu. Nie skończyła się tam niedola matki mojej. Pracowała ciężko. Ona — córka magnata,

była wyrobnicą w porcie, gotowała jeść niewolnikom, prala im szmaty, szorowała pokłady na żaglowcach przyjezdnych. Zaprawdę żadna niedola ludzka nie była jej obca. Nie rozumiał tu jej nikt, nie znał, nikt ręki pomocnej nie podał. Podejrzewano, że to zbiegła skądś niewolnica. Sama była. Sama jedna. Nagrodą jej jedynie było, że gdy wieczorem wracała śmiertelnie znużona, mogła objąć uściskiem drobne, biedne ciało, mnie, swego kalekiego syna. Zaprawdę biedniśmy byli oboje, poniewierani przez los i ludzi.

I tak mijaly lata, o Syrakuzanie, lata długie. Żyliśmy jakoś. Miałem ledwie 10 lat, gdy zacząłem pracować u Lysiasa — garncarza. Odtąd powoli zaczęło się zmieniać wszystko. Stałem się z czasem najdroższym uczniem mistrza. Wysyłał mnie do Etrurii, do Wolsków, do Wej, uczyłem się sztuki Etrusków, poznawałem ich tajemnice.

Uśmiechnął się, pokiwał głową, rzekł znowu:

— A teraz, wiecie teraz, że znaczy cokolwiek imię moje w Koryncie, ba, i w Milecie cenione są wazy moje, i w Atenach, i tutaj, w waszym czcigodnym grodzie. Nikt tylko nie wie o tym, że zawdzięcza te wszystkie czarki ozdobne, amfory, kratery i hydrie nie mnie, nie mnie niegodnemu, ale matce mojej, bez której od wielu lat leżałyby kości moje roztrzaskane w ojczystej, niezrównanej, boskiej, świętej ziemi spartańskiej.

Przerwał. Nastąpiło milczenie.

— Tak — odpowiedział dopiero po dłuższej chwili głos jakiś — prawda, że srogie są prawa Spartan i nie-ludzkie, jednakże przyznać tu trzeba, że naród ich jest bohaterski i mężny.

Arkesilaos wzruszył ramionami.

— Tak — odrzekł — ale wszak i tygrys jest dzielny, i lew, i pantera nie da się nigdy wziąć żywcem, ba! i korsarze, ci, którzy was napadają — dzielnymi są ponoć wojownikami. Czy wielbimy ich przeto? nie! — tępiemy jak

zarazę. Sparta jest chorobą Hellady, jest wrzodem na jej pięknym ciele. Powiedziałem. Nie cofnę tego. Nikt z was nie zna Sparty, jak ja ją znam. Po dziesięćkroć, po sto-kroć opowiadała mi matka o dalekiej ojczyźnie mojej. Spartanie są dzielni — mówicie. — Tak! Czy wiecie, przy-jaciele, jak nabywają oni dzielność swoją? Gdy chłopiec ma 14—15 lat — musi wejść do lotnych oddziałów, wy-syłanych w lasy, aby wylawiać zbiegłych niewolników. Może ich z łuku zastrzelić albo mieczem ściąć związa-nych, jak zechce. Niezręcznie to im idzie nieraz, cóż, trudno, drobne ręce nie są jeszcze dość silne i wprawne. Za to każdy dobry cios oklaskiwany jest żywo przez star-szych, przez zebranych licznie rówieśników. — Litość. Kto mówi o litości? Nikomu nie przyjdzie nawet do głowy błagać o litość w Sparcie. To jest szkoła dzielności — prawda? Piękna szkoła zaiste. Może zechcecie i wy tak uczyć dzieci swoje?

A dalej, prawda, widzę tu u ciebie, Kaliasie — a prze-cież nie jesteś bogaczem, ten oto piękny krater etruski, dziwnie szlachetny w liniach, a tam widzę kotarę piękną, starą wprowadzie i zniszczoną, ale jakże przepysznie barwną — wspaniale to dzieło dalekiej Syrii, Chaldei może.

Ale w Sparcie, wielkiej Sparcie nie mógłbyś, zacny Kaliasie, mieć tych ładnych rzeczy. O nie. Nie pozwala na to prawo, prawo surowe. I słusznie! Po co wojowni-kowi sprzęt ładny, szaty piękne, wszystko, co cieszy oczy, — po co? Może tylko odciągnąć uwagę od jednej rzeczy, istotnie ważnej, a tą jest: zabijać i rządzić.

A ty, Epiktecie, który tak bronisz Sparty, masz pono piękną winnicę i ogród, pełen kwiatów, i źródło w kamień rzeźbiony ujęte — i każdy czas wolny ogródkowi swemu poświęcasz — szczęśliwce. Ale w Sparcie, przyjacielu, nie — tam nie mógłbyś mieć tych wszystkich śliczności. Po co? Można by przy nich łatwo zapomnieć o jedynym

celu wojownika, jedynym wielkim celu, a tym jest: zabijać i rządzić.

I w świątyniach się podobno kochacie, o Syrakuzanie, w posągach stawianych w gajach, przy źródłach. Lubicie w cieniu kolumn zbierać się i gwarzyć o prawdach nieśmiertelnych, o bogach. Na próżno szukalibyście ich w mężnej Sparcie. Po co tam one? Zapatrzeć się wśród nich mógłby człowiek, zamyśleć, zamarzyć o rzeczach wielkich — i zwątpić może na chwilę w tę jedną, jedyną prawdę, którą jest, wszak wiecie już: zabijać i rządzić.

Arkesilaos roześmiał się krótkim, urywanym śmiechem.

Nagle powstał, głowę w tył odrzucił, ręce potężne wyciągnął przed siebie.

— Błogosławiona niech będzie matka moja — zawołał — błogosławiony niech będzie garb mój i nędza moich lat dziecinnych, i głód, i kalectwo! Czymże bym został bez nich? Żołnierzem bezdusznym w czasie wojny, dozorcą niewolników w pokoju. — Spartaninem byłbym, o przyjaciele, Spartaninem; — co za nędza! Jakże mi żal nieznanych braci moich i ojca mego! — Nic, co jest godnym człowieka, nie jest im znane.

Zamyślił się, zamilkł, przymknął oczy, twarz rozjaśniała mu się zwolna.

— Czy wiecie — mówił teraz zmienionym cichym głosem — czy wiecie, jaka była moja największa troska przez wszystkie dni mego życia? Oto Spartanie głoszą, że dlatego niszczą bez litości kaleki, garbusów, jak ja, ponieważ sami bogowie nie mogą na nich patrzeć bez wstrętu. Trapiłem się tym niemało, przyjaciele. Gdy wychodziły spod rąk moich owe wazy, dzbany, krater, na których tylekroć malowałem czyny mego najukochańszego boga, drżałem, że może on, Apollo słoneczny, gardzi mną, brzydotą moją i wszystką pracą rąk moich. Tak, przyjaciele. I oto teraz, wiecie, mówiliśmy właśnie o Del-

fach; oto teraz zwrócili się do mnie kapłani Apollina delfickiego, abym wykonał dla nich, dla ich świątyni — sakralne amfory, misy, kruże — wszystko co służyć ma ku czci, ku ofierze, ku modlitwie — dla Apollina. O Syrakuzanie!

Nie wzgardził więc widać promienny bóg pracą moją, przebłagałem go snąć za mój kształt kaleki tymi setkami kształtów, które wyszły spod palców moich, spodobały mu się moje rysunki, ornamenty, malowidła.

Mówił coraz ciszej, zapatrzył się daleko przed siebie oczami niewidzącymi.

— A może — szeptał jeszcze ledwie dosłyszalnym głosem — może... (kto wie, kto wie, co widzą, co czują bogowie) — może spodobało mu się nade wszystko serce mojej matki.



W kilka dni później odjeżdżał Melikles razem z Nehurabhedem na pokładzie tarenckiego statku do Tarentu, do tzw. Wielkiej Grecji.

Był już zupełnie zdrow, wypoczęty i silny.

W doli jego zaszła znów ważna zmiana.

Przestał być robotnikiem u Kaliasa, stał się natomiast służącym czy raczej uczniem i towarzyszem podróży Nehurabheda. Stary człowiek, widząc jak bardzo chłopak tęskni do swoich, postanowił mu dopomóc, a jednocześnie skorzystać z jego uczciwej pomocy w ciężkich trudach dalekiej podróży.

Po krótkich targach zawarto z Kaliasem korzystną dla wszystkich stron umowę.

Nehurabhed zwrócił Kaliasowi zapłacone za Meliklesa pieniądze — nie wszystkie zresztą, bo Kalias z rzadką u niego wspaniałomyślnością zrzekł się części kwoty wydanej na okup chłopca.

Sprytny Grek żałował szczerze Meliklesa, raz dlatego, że go polubił, po wtóre dlatego, że nauczył się go cenić jako dobrego i oddanego pracownika. Rozumiał jednak, że stary człowiek ma takie same prawa do usług chłopca, a chciał być w zgodzie z Nehurabhedem. Przede

wszystkim jednak z wrodzoną sobie ostrożnością obawiał się, że prędzej czy później sprawa z zaginięciem tajemniczego opryszka wyjdzie na jaw, a w tym wypadku wołał, aby Melikles nie był w jego domu.

W tych warunkach rzecz cała poszła gładko. Z zawartej umowy zadowoleni byli wszyscy, a najwięcej oczywiście Melikles. Ten drżał cały z przejęcia, ciekawości i zachwytu.

— Taka droga niezwykła, z takim panem i towarzyszem, a jego cel, coraz bliższy — Milet i matka. Na Zeusa, czegoż chcieć więcej?

Kalias był na brzegu żegnając się z nimi serdecznie. Był podniecony, rozmowny nad zwykłą nawet miarę.

Gadał i śmiał się tyle, że wszyscy zwracali nań uwagę. I istotnie miał być z czego zadowolony. Otrzymał on stanowisko kierownicze na jednym z wielkich statków żaglowych, przewożących towary między Sycylią a Egiptem. Miał być pomocnikiem dowódcy statku. Był to dowód dużego uznania i dla jego zdolności żeglarskich, i dla sprytu kupieckiego. Kalias starał się od dawna o to stanowisko; roboty na takim dużym statku było wprawdzie znacznie więcej, ale i zysk, chociaż szedł do podziału między właściciela barki a jej dowództwo, był o wiele większy.

Nie bez znaczenia wreszcie dla zawsze ostrożnego Kaliasa było to, że podróż na takiej wielkiej barce była znacznie bezpieczniejsza i pewniejsza, niż przemykanie się wśród gniazd korsarskich w małej łupinie bez załogi i bez możliwości obrony.

Od ostatniej przygody Kalias nauczył się cenić wartość potężnej barki, z załogą liczącą kilkudziesięciu ludzi, marynarzy, wioślarzy, robotników, którzy wszyscy byli zaopatrzeni w broń i gotowi na odparcie napaści.

— Korsarze musieliby się sto razy namyśleć, zanim odważyliby się uderzyć na taką łódź — mówił.

Za kilkanaście dni mieli wyjechać w pierwszą podróż do Egiptu. Kalias, podniecony szerokimi horyzontami świata, który się przed nim otwierał, namawiał gorąco Nehurabheda, aby pojechał z nim razem. Puszył się przy tym niezmiernie; chwalił siebie i swój, jak mówił, statek, który jest niewątpliwie najlepszym statkiem w całych Syrakuzach. Wiedział on, że stary cudzoziemiec ma zamiar jechać do Egiptu, a oto nadarzała się sposobność, żeby pojechać jego, Kaliasa, statkiem, pod jego znakomitą opieką i jego wytrawnym dowództwem.

Ale Nehurabhed nie chciał czekać tych kilku dni; w odpowiedzi na potok słów Greka pokręcił tylko przecząco głową, pożegnał się jednak z nim uprzejmie, życząc, ażeby się jeszcze kiedy spotkali w Egipcie czy gdzie indziej.

Rozstali się. Barka odbiła od brzegu.

I oto Melikles jest znowu na pełnym morzu, znowu słyszy szum fal, plusk wiosel, łopotanie żagli. Rozgląda się z miną znawcy po pięknej barce tarenckiej, przypatra się załodze, towarzyszom podróży.

W pewnej chwili zaniepokoił się.

Jeden z jadących wydał mu się jakby podobnym do nieznanomego Greka, który przed dziesięcioma dniami prowadził po fenicku, podsłuchaną przez Meliklesa, rozmowę. Przyglądał mu się długo, ale nie był pewny. Nie, nie był pewny. Ludzie są tak do siebie podobni.

* * *

Jechali wzdłuż wschodnich brzegów Sycylii zawijając po drodze do wszystkich większych miast greckich. Podróżowano jak zawsze wzdłuż brzegów, tak aby nie tracić ani na chwilę lądu z oczu. Od zwyczaju tego odstępowano niezmiernie rzadko i często żeglarze woleli stracić kilka dni na opłynięcie zatoki, a nie próbowali skrócić sobie drogi przez porzucenie linii brzegu.

Za to podróżując w ten sposób poznawano dokładnie wszystkie miasta, miasteczka, wsie nawet, leżące po drodze, wszystkie załomy lądu — cały opływany kraj.

A kraj, przez który wiodła teraz droga barki tarenckiej, zaprawdę wart był widzenia.

Zaraz drugiego dnia po wyjeździe z Syrakuz ujrzał Melikles na horyzoncie, daleko w głębi lądu, olbrzymi masyw górski Etny.

Strome jej stoki, szaroniebieskie w mgle oddalenia, przechodziły bliżej morza w rozległe, falujące łagodnie wzgórza, pokryte ciemną zielenią lasów i jasną zielenią polan. Ale szczyt góry pokryty był śniegiem i błyszczał w słońcu jaskrawą, zimną białością. Z samego wierzchołka wznosił się ledwie widoczny z dala szary oddech dymu.

Melikles znał już podobną górę w Neapolis na brzegu latyńskim, patrzył jednak zawsze na tajemnicze zjawisko z podziwem i zabobonną trwogą.

— Oto dom boga Hefajstosa, władcy ognia, straszego syna Zeusowego, zaprawdę dom godny boga.

— Czy może być coś większego, groźniejszego, bardziej dumnego — szeptał ze czcią, wpatrzony w błyszczący jak tarcza szczyt.

A Nehurabhed spoglądał też z uwagą na cudny widok i cień jakby przesunął się po jego twarzy.

— Są góry znacznie jeszcze wyższe i groźniejsze — rzekł powoli — i rozległe bardziej, i piękniejsze.

— Góry wyższe jeszcze?

— Tak, Meliklesie. Chmury nawet nie mogą dotrzeć do ich szczytów i zatrzymują się na czarnych lasach, okrywających stoki. A wyżej stoją nagie skały, niedostępne dla ludzi, dla chmur nawet i tylko orły śmiały wdrzeć się w ten kamienny, olbrzymi świat.

— Musi tam być strasznie, panie!

Starzec pokręcił przecząco głową, ale nie odpowiedział nic. Po dłuższej dopiero chwili szepnął ledwie dosłyszalnym głosem: — Tam jest ojczyzna moja.

* * *

Trzeciego dnia podróży osiągnęli Messenię, kolonię założoną niedawno przez wyrzuconych ze swego kraju Messeńczyków, nieszczęśliwych sąsiadów wojowniczej Sparty. Tam ujrzał Melikles znane sobie brzegi latyńskie, tam rozdzielały się wielkie ówczesne drogi żeglugi, tam była słynna na cały świat cieśnina, wiecznie burzliwa i gniewna, gdzie według opowieści ukrywały się czatując na żeglarzy dwa potwory straszliwe Scyllą i Charybdą zwane. Droga ich jednak nie wiodła przez tę cieśninę.

Do Tarentu przybyli bez żadnych przygód. Zaraz po przyjeździe zajęli się odszukaniem w rojnym i bogatym porcie jakiegokolwiek łodzi, która kierowałaby się na południe wzdłuż brzegów Grecji: do Krety i dalej do Egiptu.

Tutaj jednak okazały się trudności.

Żeglarze, którzy dopiero co wrócili z Grecji, przynieśli groźną wieść, że w Atenach, Koryncie i innych miastach wybuchła zaraza, ospa, prawdziwa plaga tych czasów. Straszna choroba pojawiała się co kilkanaście, kilkadziesiąt lat, prawie zawsze tylko w porze zimowej. Nie umiano się bronić przed nią i, gdzie przeszła, ginęły setki ludzi, tysiące nosiły na całe życie potworne ślady zeszpecenia. W Tarencie samym było już podobno kilka wypadków, o czym mówiono ze drżeniem w sercu. Opowiadano sobie przesadne jak zwykle wieści o rozmiarach choroby we właściwej Grecji i to odstraszało żeglarzy od wyjazdu w zarażone strony.

W tych warunkach po dłuższych dopiero poszukiwaniach wśród gromady łodzi, mniejszych i większych barek, udało im się z pomocą dowódcy statku, który ich przywiózł, odnaleźć żeglarzy wybierających się tam, na

wschód do Grecji i dalej na południe. Żeglarze ci byli to bogaci kupcy i zarazem właściciele statku: Sosias — Tarentyńczyk i Philolaos — Spartanin. Barka ich należała do największych w porcie.

Wioślarzami byli w niej sami niewolnicy. Załogę stanowili częściowo Tarentyńczycy, częściowo Spartanie. Żeglarz — Spartanin było to w tych czasach rzadkie zjawisko, Spartanie bowiem w przeciwieństwie do wszystkich innych Greków nie lubili żeglugi, na morze puszczali się niechętnie, z kraju rodzinnego wyruszali rzadko. Założyli też tylko jedną kolonię zamorską poza właściwą Grecją. Kolonią tą był właśnie Tarent — i tu tylko między Tarentem a Gythion, jedynym większym portem Sparty, zdarzały się łodzie z częściową lub całkowitą załogą spartańską.

Barka Sosiasa i Philolaosa udawała się z transportem wina i oliwy, przeznaczonym dla Egiptu, jednakże towar miał być dowieziony przez nich tylko do Herakleion na Krecie, a tam przeładowany na statki egipskie. Kupcy jednak zapewniali Nehurabheda, że statek egipski zgodzi się z pewnością zabrać ich z sobą dalej do Afryki.

Dogadzało to Nehurabhedowi, jak również i to, że wyjazd miał nastąpić już nazajutrz, wczesnym rankiem.

Stary człowiek wyraźnie śpieszył się teraz i każdy dzień zyskany w podróży był dlań ważny. W tych warunkach zawarto prędko umowę.

Dopiero po jej zawarciu dowiedział się Nehurabhed, że załogę barki stanowią częściowo Spartanie i wiadomość ta wywołała jakby zmarszczkę na jego czole. Nic jednak nie powiedział i decyzji wyjazdu nie zmienił.

* * *

Do wieczora było jeszcze daleko; podróżnicy wyszli więc na brzeg z zamiarem zwiedzenia miasta. Zaraz jednak na wstępie Melikles dowiedział się, że to dziś właśnie,



jako w ostatni dzień świąt ku czci Demetry — bogini ziemi — odbywają się tuż za miastem, przy świątyni Demetry, wielkie, uroczyste igrzyska i świąteczna choreja, poważny korowód taneczny, połączony z pieśnią i muzyką.

Święto takie odbywało się corocznie w porze, kiedy dzień jest najkrótszy, a noc najciężej panuje nad światem. Święto było poważne, niemal ponure, przypominało bowiem, że o tej porze cała ziemia zamiera, że wszystko, co zielone, świeże i młode ginie pozornie, schnie, niszczeje. Mit o córce Demetry, boskiej Korze, porwanej przez bóstwa podziemne, zaginionej w głębiach śmierci, przedstawiony był w hymnach i pieśniach o niemal żałobnym, pogrzebowym tonie. Ale zakończenie uroczystości było inne, jasne, pogodne. Oto przecież, od dzisiejszego dnia zwiększa się dzień, przybywa życiodajnych promieni słonecznych, zbliżać się zaczyna wiosna, rośnie nadzieja odrodzenia, zmartwychwstania całej natury, aż oto przyjdzie dzień, że świat odżyje, zieleń pokryje znów pola i lasy, ziarna wykwitną kwiatem i plonem i Kora, młodziutka Kora, przybędzie znów do stęsknionej matki-ziemi, aby być razem przez długie miesiące wiosny, lata, jesieni.

Święto obchodzone było w całej Grecji, najuroczyściej jednak właśnie w Tarencie, który podobnie jak Sy-



rakuzy na rolnictwie opierał swą moc, z ziemi żyznej czerpał bogactwo, Demetrze więc przed innymi bogami winien był cześć oddawać.

Całe miasto było jak wyludnione.

Melikles prędko wywiedział się, gdzie odbywają się igrzyska i pośpieszył tam, pożegnawszy Nehurabheda, który nie chciał, czy nie mógł podążyć za nim.

Mimo jednak całego pośpiechu, nie zdążył już na igrzyska. Gdy przybył na miejsce, gdy przecisnął się przez zebrane tłumy, rozwijała się już właśnie święta procesja, obchodząca w uroczystym pochodzie świątynię Demetry.

Na czele pochodu szli kapłani i kapłanki w białych, wełnianych szatach, z wieńcami złotymi na głowach — dalej fletniści wygrywający na cienkich piszczałkach smutne, jednostajne, melodyjne tony, dalej szli zawodnicy, zwycięzcy w dzisiejszych igrzyskach. Tutaj szepty i szmery rozlegały się w tłumie, pokazywano sobie najlepszych zawodników, wymieniano imiona, wywoływano ulubieńców. A oni przechodzili z podniesioną głową rytmicznym, młodzieńczym krokiem, niosąc wieńce dębowe na czołach. Dalej szli inni zawodnicy, którym los nie pozwolił na zwycięstwo, ale którzy samą walką swoją, wy-

siłkiem ofiarnym, złożonym w darze bogini, zasłużyli na to wyróżnienie w procesji. Oddzielnie szła grupa zawodników dorosłych, oddzielnie młodzi chłopcy szesnasto-osiemnastoletni, których zwano efebami.

Dalej posuwała się znów grupa muzykantów — fletnistów i kitarzystów, za nimi zaś, zamykając pochód, szły szeregami, trzymając się za ręce, młode dziewczęta z przodownicą na czele. Dziewczyny były ubrane w powłóczyście, lekkie szaty, ramiona miały nagie, głowy odkryte, włosy ujęte przepaską.

Jedyne to było święto w Grecji, w którym wolno było brać udział kobietom, święto matki-ziemi-rodzicielki, jedyna uroczystość, w której na równi z mężczyznami wolno im było tańcem, pieśnią i zawodami czcić boginię swoją.

Szły tanecznym, powolnym korowodem, pół idąc, pół płynąc, przeginając gibkie postacie w takt melodii podawanej przez fletnistów. Twarze były przejęte, uroczyste, choć czasem jeszcze dziecinne, po dziecinnemu ciekawe i rozbawione.

Młode dziewczęta, które, jak i wszystkie kobiety w Grecji, nie wychodziły nigdy na ulicę same z odkrytą twarzą — w ten jeden dzień mogły ukazać bez wstydu oblicze swoje. Uśmiechały się dumnie idąc, nucąc pieśń półgłosem, pewne swej urody, swej ważności w tym dniu uroczystym. One — córki Demetry właściwe, one, dzieciutki przysze jej losów, odwiecznie tych samych.

Melikles zapatrzył się cały w ten obraz. I gdy wszyscy przeszli, gdy tłum rozchodził się już do domów i wieczór, prędko zimowy wieczór zapadał nad miastem, on, wracając do portu, miał wciąż jeszcze przed oczami ten obraz, widział gibką, wysmukłą postać przodowniczki, koryfejki, poważne, głębokie oczy jednej dziewczyny, rozbawione, dziecinne — drugiej, przypominał sobie spoj-

rzenie jakieś nieśmiałe, które spotkało się przelotnie z jego zachwyconym wzrokiem.

— Nieporównane są te święta ku czci Demetry! — gorąco opowiadał spotkanemu Nehurabhedowi — wspinała procesja, zgrabni jak bóstwa efebowie, pyszni zwycięzcy w zawodach, a jakie piękne, jakie cudownie piękne są młode Tarentyjki.

— Tak, tak — powtarzał z głębokim przekonaniem — wszystko było przedziwnie piękne!

Nehurabhed przyglądał mu się z uśmiechem.



Byla noc. Melikles i Nehurabhed spali na pokładzie statku, bo wyjazd miał nastąpić przed świtaniem, o pierwszym brzasku dnia.

Nad głowami, tuż nisko, rozpostarty mieli dach z żaglowego płótna, osłaniający zarówno od wiatru jak i od deszczu, który rozpadał się od wieczora i mżył nieustannie, zimny, przenikliwy, przykry.

Melikles rozbudził się w środku nocy i nie mógł zasnąć. Czuwał. Ogarnął go niezrozumiały niepokój. Wydawało mu się, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Było to głupie uczucie, które przyszło nie wiadomo skąd. Wpatrywał się nieufnie w otaczającą go ciemność. Naokół rozlegały się chrapania, poświsty śpiącej załogi. Nie opodal na maszcie paliło się łuczywo skąpym, migotliwym światłem. W porcie daleko odzywały się głosy nawołujących się strażników. Wszystko było tak, jak trzeba na pokładzie statku w nocy. A jednak? Chłopiec nie mógł z początku pojąć przyczyny dziwnego lęku.

W pewnej chwili zdał sobie jednak sprawę, że statek ten przypomina mu trochę barkę korsarską, na której został porwany przed laty z drogi do Massalii. Był wprawdzie znacznie od tamtego większy, ale tak samo czarny, odrapany, stary.

Melikles, syn żeglarza, bratanek cieśli okrętowego, znał różne rodzaje statków, większych i mniejszych łodzi; znał je tak, jak nikt. Przyrównywał nieraz w myślach piękną, ale delikatną małą łódź do słabej dziewczyny, mocny, wspaniały żaglowiec — do rosnącego męża, zuchwałego w swej woli zdobywczej, naładowaną ciężką galerę do powolnego tragarza objuczonego towarem.

A ta barka, na której był teraz — była jak stara, wielka wiedźma — czarna, ponura i zła. Tak, właśnie taka. To nie była łódź, której można było zaufać.

I dowódcy statku byli tacy sami.

Spartanin Philolaos wychudły, długi, pochylony na przód, o twarzy ostrej, z nosem jak dziób krogulca, z wysokim łysiejącym czołem, małą kozią bródką, z oczami drapieżnika — gdy stał tak teraz na pokładzie w świetle luczyna, otulony szerokim płaszczem, robił wrażenie wygłodniałego sępa czekającego na łup.

A Sosias, stary, pół siwy, pół lisy, z niespokojnymi latającymi oczkami przypominał mu chwilami ohydnych kupców fenickich.

Melikles wzdrygnął się. Próżno wmawiał sobie, że Philolaos i Sosias byli znanymi na cały Tarent kupcami i żeglarzami, że dowódca statku, na którym jechali z Syrakuz, mówił o nich bez żadnego uprzedzenia. Niepokój nie ustępował.

W pewnej chwili na środku statku ktoś poruszył się z luczynem w rękę. Zatrzeszczały deski. Jakiś człowiek wszedł na statek. Philolaos, dowodzący barką, oczekiwał go widocznie, podszedł do niego szybkim krokiem.

Luczyno skwierczało i chwiało się w wilgotnej mgle, przy świetle jego Melikles dojrzał jednak wyraźnie twarz przybysza. Drgnął. Człowiek, który wszedł teraz nocą na statek i który rozmawiał tak poufale z Philolaosem, to był znów ten sam tajemniczy Grek, który towarzyszył im

w drodze z Syrakuz do Tarentu, który przedtem rozmawiał po fenicku w porcie syrakuańskim.

Tak, tym razem nie mylił się, to jednak ten sam człowiek. Ale co on robi tutaj, czy będzie jechał znowu wraz z nimi, o czym rozmawia teraz z Philolaosem żeglarem.

Zaniepokoił się. O czym rozmawiają oni teraz? Przyciszyli głos. Miał przeczucie, że mówią o nich, o Nehurabhedzie.

Podniósł się. Na czworakach wypelzł spod płótna, posuwał się cicho, czołgał nieledwie, przemykał się poza rzędami beczek, tuż przy burcie — blisko, blisko, jeszcze bliżej. Słyszał już głosy, ale nie mógł odróżnić słów. Jeszcze krok. Zatrzymał dech w piersiach. Dalej iść niepodobna, bo beczek nie ma, a łuczywo rzuca na pokład krąg światła. Wyteżył słuch. Na szczęście łuczywo w dżdżystym powietrzu, siekane kropelkami mgły, syczało, przygasało, ledwie się tłąc.

— Nie powinien dojechać do Egiptu — mówił przybysz — to szpieg, uciekł z Kartaginy. Moi przyjaciele feniccy obiecali zapłacić 500 drachm, żeby tylko go zatrzymać.

— Co mam z nim zrobić? — zapytał Philolaos.

— Zajechać zamiast do Herakleion do Aforii, osady fenickiej na Krecie i oddać go tamtejszym strażnikom — to wszystko.

— Co przyjdzie z tego Kartagińczykom i czy Fenicjanie zatrzymają go?

— Na Hermesa! Fenicjanie zatrzymają go i wynagrodzą dobrze — ciebie, Philolaosie i Sosiasa, i mnie; jest on bowiem zarówno wrogiem Kartaginy, jak i wszystkich innych Fenicjan.

Philolaos kręcił głową.

— To dobrze, ale co powie na to Sparta, co powiedzą moi zwierzchnicy w Gythion?

— Nie potrzebujesz im nic mówić, ale nawet, jeśli się dowiedzą, nie rzekną nic. Sparta robi teraz doskonałe interesy z Fenicjanami i chce być z nimi w zgodzie. Wiem o tym na pewno. Co zresztą ją obchodzi jeden głupi cudzoziemiec!

— Nie wiem, co on obchodzi Spartę. Ale wiem, że handlują ciągle z Egipcjanami, a jeśli ten człowiek jedzie do Egiptu, a nie dojedzie, może być o niego awantura.

— Kto zrobi tę awanturę?

— Egipt.

— Egipcjanie wiedzą o wszystkim tylko tyle, ile im doniosą kupcy feniccy. Czego ty się boisz, Philolaju?

— A jeśli to poseł? Wygląda jak ktoś ważny, jak wielki kapłan.

— Posłem nie jest. Zresztą nie będziesz go przecie zabijał. A co zrobią z nim Fenicjanie, to ich rzecz.

Philolaos kręcił głową. Nie był jeszcze zupełnie przekonany.

— Nie lubię interesów, których nie rozumiem.

— A rozumiesz 100 drachm?

— Nie.

— A dwieście drachm?

Philolaos zamyślił się. — Rozumiem, że 200 drachm to bardzo mało — rzekł krótko. Suma ta jednak robiła na nim wrażenie.

— A dwieście pięćdziesiąt drachm?

— Będę musiał nadłożyć dwa dni drogi z Knossos do Aforii.

— Za każdy dzień stracony dostaniesz 125 drachm. Na Hermesa! Obyś nigdy nie robił gorszych interesów.

Philolaos zgadzał się. Sępia jego twarz zaostrzyła się jeszcze bardziej, oczy zabłyśły chciwością, palce drgały nerwowo jak pazury rysia. Przymrużył oczy.

— A ile ty sam zarobisz?

Zaczęli targować się gwałtownie o podział przyrzeczonych przez Kartagińczyków pieniędzy; kłócili się przy tym zażarcie, przyciszonym szeptem, który przypominał warczenie psów.

Melikles wychylił się mocniej, z nagłą łuczywo poruszone podmuchem wiatru rozrzuciło snop iskier, rozwidniło się na chwilę, chłopak cofnął się, za późno jednak. Spostrzeżono jego cień. Rozmowa urwała się. Philolaos podniósł się z miejsca. Melikles jak mógł najprędzej przesliznął się z powrotem między beczkami, doczołgał się, nie bardzo już zważając na hałas, do swego legowiska, położył obok Nehurabheda i przykrył chłajną.

W tej chwili wszedł Philolaos z łuczywem w rękę, długo i przenikliwie patrzył na Nehurabheda. Stary człowiek spał snem sprawiedliwego chrapiąc mocno. Philolaos przyjrzał się z kolei skulonemu pod płaszczem Meliklesowi, pokręcił głową i odszedł.

Melikles leżał jeszcze dłuższy czas jak zdrętwiały. Potem zaczął szarpać za rękaw Nehurabheda — raz, drugi i trzeci. Starzec rozbudził się wreszcie, usiadł na posłaniu, od razu przytomny i trzeźwy. Chłopiec przerywanym ze wzruszenia głosem, przyłożywszy usta do ucha starego człowieka, jął mu opowiadać wszystko, co słyszał.

Starzec wysłuchał uważnie, milczał chwilę. — Tak — rzekł wreszcie. — Musimy natychmiast opuścić statek. — Dźwignął się z miejsca.

Zaczęli zbierać rzeczy pośpiesznie, po omacku.

Na barce budził się już ruch.

Odzywały się głosy wzywające załogę do wstawania. Na dole pod pokładem, gdzie spali nieszczęśliwi niewolnicy — wioślarze, rozległy się okrzyki dozorców, przekleństwa, postękiwania, rozmowy. Trzeszczały deski. Parę świateł migotliwych zajaśniało w ciemności. Gdy Melikles z Nehurabhedem wyszli spod płótna, ujrzeli na wschodzie jaśniejący lekko pas nieba. Zbliżał się dzień.

Z nagle wysoka postać Philolaosa stanęła przy nich. Za nim stali Sosias i tajemniczy przybysz „przyjaciół Fenicjan“.

Nehurabhed bez słowa skierował się ku pomostowi łączącemu łódź z brzegiem.

Philolaos zastąpił mu drogę. — Co chcesz uczynić, panie? — zapytał.

— Muszę przed odjazdem porozumieć się z dowódcą barki, który mnie przywiózł z Syrakuz — odpowiedział Nehurabhed.

— Nie ma na to czasu — rzekł Philolaos — w tej chwili ruszamy.

— Możesz, panie, posłać swego służącego do tarenckiego statku, on przybiegnie prędzej — wtrącił Sosias.

Nehurabhed pokręcił głową.

— Muszę koniecznie iść tam sam.

Zapadło długie milczenie. Trzech Greków porozumiewało się z sobą oczami.

— Nie możemy czekać ani chwili — ozwał się wreszcie Philolaos.

— W takim razie nie mogę jechać z wami; wyruszę innym statkiem — rzekł już ostrym głosem Nehurabhed.

Nelikles przysunął się bliżej.

Zamiast odpowiedzi, Philolaos odwrócił się i zawołał gwałtownie do stojących nieopodal swych ludzi: — Zdejmować pomost i odbijać!

Nehurabhed wsunął rękę w fałdy swej szaty na piersiach, twarz jego zadrgała dziwnie, wargi zacisnęły się. Kilku marynarzy otoczyło ich z zaciekawieniem. Deski pomostu wciągnięto z hukiem na pokład, odczepiono cumy, zwoje lin przerzucono na łódź.

Statek drgnął. Czarna szczelina pomiędzy burzą a brzegiem poczęła się zwiększać.

Odbijali.

Nehurabhed stał jeszcze chwilę bez ruchu.

Twarz jego uspokajała się zwolna, stała się znowu nieruchoma, jakby wykuta z kamienia.

— Jestem więc waszym jeńcem? — zapytał.

Philolaos skłonił nisko głowę przed nim. — Skądże, dostojny panie? — rzekł z uniżoną czołobitnością — ty, jeńcem? Jesteś najczcigodniejszym gościem, jakiego kiedykolwiek miałem zaszczyt wieść na swoim statku. Jesteś tak dostojnym gościem, że nie chcę się ciebie pozbyć, nie chcę oddać honoru przewiezienia ciebie jakimkolwiek innemu statkowi.

Skłonił się znowu.

— Wszystko, czym może służyć biedna łódź moja, jest do twego rozporządzenia.

Nehurabhed nic nie odpowiedział.

Wzruszył wzgardliwie ramionami — i odwrócił się. Patrzył daleko za burzę.

Poza poranną mgłą, nierozjaśnioną jeszcze wchodzącym leniwie dniem — oddalały się, niknęły bręgi Tarentu.



Melikles siedział z Nehurabhedem na dziobie statku, który szedł naprzód całą siłą czterdziestu wiosel.

— Stało się źle — mówił starzec — stało się źle. Tak jest zawsze, kiedy ktoś za prędko robi, zamiast myśleć.

Pokiwał smutnie głową. — Gdybym udał, że nie wiem o niczym, mógłbym może bez wzbudzenia podejrzeń wyjść na brzeg w najbliższym porcie pod jakimkolwiek pozorem. Tak, a teraz nie pozwolą mi wyruszyć na krok z barki aż do Aforii.

— Co teraz robić? — zapytał Melikles.

— Przede wszystkim dobrze się namyśleć — odrzekł starzec.

Po chwili Melikles pytał znów: — Kim jesteś, panie i czy prawdą jest, co mówił ten łotr do Philolaosa?

Nehurabhed rozejrzał się bacznie naokół.

Nie odpowiadał zrazu nic; nasłuchiwał.

Stojący nie opodal żeglarze, zajęci szyciem żagli, rozmawiali głośno. Mówili o tym, co niepokoiło teraz wszystkich, o straszliwej zarazie, o ospie. Któryś z nich rozpowiadał donośnie, jak ta potworna choroba szerzy się zwłaszcza w ludnym Koryncie, jak przybyły niedawno stamtąd wielki żaglowiec tarencki musiał wysadzić na ląd

dwóch podróżnych, którzy zachorowali w drodze. Pozostawiono ich, jak to było w zwyczaju, na łasce losu, gdzieś u najbliższych brzegów. Żeglarze narzekali, że jadą w tamte strony, klęli na swój los, pocieszali się jednak, że nie mają zajeżdżać do większych portów. — Może dobry Zeus ochroni nas od tego nieszczęścia — powtarzali pośpie.

Uspokoiwszy się, że nikt z załogi nie zwraca na nich uwagi, starzec podniósł wzrok na Meliklesa.

— Słuchaj, chłopcze — rzekł — powinienem ci dawno już to powiedzieć, bo wiem, że mnie nie zdradzisz. Nie wiedziałem, że podróż ze mną może być dla ciebie niebezpieczna. Tak. W gruncie rzeczy i teraz niebezpieczeństwo nie grozi tobie, i sędzę, nikt nie będzie ci przeszkadzał w opuszczeniu statku.

Starzec rozmyślał przez chwilę.

— Tak, nawet powinienś to zrobić — rzekł — nie masz po co narażać swojej skóry razem z moją.

Melikles zerwał się z miejsca. — Nie odejdę od ciebie, panie, za nic, nie opuszczę cię teraz, nie mów mi nawet o tym — rzekł porywczo.

Nehurabhed popatrzył na niego długo. — Najpierw siadaj i słuchaj — rzekł. Rozejrzał się jeszcze raz naokół. Potem jął mówić powoli, z wielką powagą w głosie.

— Nie jestem szpiegiem, jestem wysłannikiem i posłem króla mego, potężnego władcy Medów i Persów Astiagesa, syna Kiaksaresa. Niech imię jego będzie rozślawione na cały świat.

— Tak — mówił dalej — byłem w Fenicji, byłem u sławnego Solona w Atenach, Aiakesa na Samos, a teraz w Kartaginie i w Syrakuzach i muszę być w Egipcie u dostojnych kapłanów, doradców jego świątobliwości faraona Apriesa. Czeka tam na mnie drugi poseł mego władcy, który wyruszyć miał niedługo po mnie, wprost do Egiptu w uroczystym poselstwie, z darami.

Starzec przerwał na chwilę, Melikles odsunął się od niego z lękiem, zdumiony dostojeństwem swego pana i towarzysza.

— Oto człowiek, który rozmawia z największymi książętami tego świata — myślał.

Zaniemówił z wrażenia, nie mógł słowa wydobyć z zaciśniętego gardła. Patrzył na Nehurabheda, jakby go teraz dopiero zobaczył. — I z takim to człowiekiem spałem dzisiaj pod jednym płaszczem, bogowie, co za śmiałość! — mówił do siebie w duchu.

Starzec ciągnął po chwili dalej: — To wszystko mówię ci dlatego, chłopcze, żebyś wiedział, że podróż ze mną nie jest tak prosta i łatwa i że nie możesz czuć się ze mną zupełnie bezpiecznie. Przekonałeś się o tym już zresztą najlepiej. Tak. Dlatego radzę ci jeszcze raz: wysiądź w najbliższym porcie — i nie wracaj na statek. To wszystko.

Melikles nic na to nie odrzekł. Dopiero po dłuższej chwili ośmielił się zapytać:

— Panie, przecież wysłańców, posłów czy heroldów nie wolno więzić ani zabijać.

Nehurabhed wzruszył ramionami.

— Toteż ja nie sędzę, żeby Fenicjanie mnie zabili — nie, nie przypuszczam, żeby ośmielili się to uczynić. Nie zabija się posłów. Tak. Co prawda nie jadę w jawnym poselstwie, nie mam przy sobie orszaku, nikogo zgola. Ale nie zabija się także kapłanów. Jestem kapłanem. Więc nie grozi mi śmierć, chyba nie.

Mogą mnie jednak zatrzymać miesiąc, pół roku, rok, ile będzie trzeba i puścić dopiero wtenczas, kiedy się ktoś o mnie upomni albo kiedy im się spodoba, albo... — zamilkł na chwilę — albo nie puścić wcale. Zdarzają się i takie rzeczy.

Pokiwał głową.

Długi czas trwała cisza.

— Co teraz robić? — pytał znowu Melikles.

— Mówilem ci już, chłopcze. Trzeba dobrze się namysleć — odparł spokojnie stary człowiek — mamy przed sobą dużo czasu.

* * *

Ale rada ta nie podobała się chłopakowi. On chciałby już coś czynić, coś przedsięwziąć. Rozważał zuchwale plany ucieczki, wyrwania się z bronią w rękę albo przedostania się nocą wpław do brzegu. Ten ostatni pomysł zarzucił zresztą natychmiast, bo Nehurabhed nie umiał pływać.

Chłopak błakał się po całym statku, to podchodził do rudli, do dwóch wielkich i szerokich jak pletwy wiosel, które zgiętymi drewnianymi uchwytyami tkwiły w rękach sternika, to patrzył spode łba z nienawiścią w sercu na spartańskich i tarentyjskich żeglarzy wspinających się po linach na maszt. Ci zresztą nie spostrzegali chłopca nie zwracając na niego uwagi.

Wszystko na barce szło swoim trybem, jakby nigdy nic nie zaszło. Nehurabheda traktowano uprzejmie, istotnie jak poważnego gościa, ten zaś trzymał się z daleka od wszystkich, zachowując dumne i wzgardliwe milczenie. I tak mijały godziny.

Nad wieczorem ponure zdarzenie przerwało jednostajność leniwo ciągnącego się dnia.

Karano ciężką chłostą jednego z wioślarzy-galerników za jakieś przewinienie czy niedbalstwo. Krzyki i jęki nieszczęśnika przejmowały Melikleśa dreszczem zgrozy. Obraz niedawnej własnej przeszłości stanął jak żywy przed oczami; fala współczucia i oburzenia zalewała pierś. Ręce same zaciskały się kurczowo na myśl o bezbronności katowanego. Był teraz z nim, całą duszą z nim, wiedział, co tamten czuje, co myśli, czuł niemal fizycznie ból przecinanej skóry.

Zeszedł pod pokład do długiej niskiej, potwornie dusznej izby, gdzie przykuci za nogi do ław siedzieli dwoma rzędami przy ścianach wpólnadzy niewolnicy z rękami na drzewcach wiosel, głowami niemal dotykając pulapu. Jeden z nich szarpał się i wił pod razami rzemienego bata, wzywając w niezrozumiałych słowach ratunku czy litości.

Melikles z trudem hamując wrodzoną zapalczywość wszedł w wąski przesmyk między rzędami wiosłarzy i ośmielił się powiedzieć parę słów w jego obronie. Spojrzano na niego ze zdziwieniem. Nikt mu nie odpowiedział. Egzekucja zresztą została istotnie przerwana, bo jeniec zemdłał.

Melikles stał z pochyloną głową, potem powoli wracał na pokład. Po drodze zapamiętał, że wiosłarz piąty od wejścia, przygarbiony, chudy, z okrągłą głową w strąkach kudłów ośmielił się do niego odezwać; miał widocznie jakąś prośbę, mówił prędko łamaną mową grecką, z trudem dobierając wyrazów coś bełkotał o skrzyni, o pomocy. Melikles chciał się zatrzymać, zrozumieć go, wysłuchać, ale jeden z dozorców popchnął go niecierpliwie ku wyjściu, jednocześnie na zuchwałego jeńca padł cios czujnego zawsze bata.

Sternik przy rudlu dał rozkaz. Dozorca pilnujący wiosłarzy poddał miarowym głosem tempo: raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa. Wiosła poruszyły się, plecy wygięły wiecznie w tym samym ruchu, głowy zwolna przesunęły się w tył, zajęczały łożyska wiosel, plusnęła woda, statek ciężko ruszył naprzód.

* * *

Melikles leżał nocą z zaciśniętymi zębami. Myślał o tym, co widział pod pokładem, o tych poruszających się rytmicznie dziesiątkach głów, rąk, pleców ludzi, nie-ludzi. I tak godziny, dnie, miesiące, lata, wiecznie w tym

samym ruchu, wiecznie przy tym samym wiośle, przy tych samych deskach zamykających świat, przy tym samym łańcuchu — aż do końca, beznadziejnego końca. I nie można się nigdy wyrwać, nie można marzyć o ucieczce, nie można mieć żadnej nadziei nawet. Gdy statek idzie na dno, galernicy giną wraz z nim — i to jest jeszcze dola ich najlepsza. Gorzej jest wysychać całymi latami od gorąca, umierać z pragnienia, jęczeć pod razami batów, tracić powoli resztę sił wśród smrodliwych wyziewów ludzkiego potu i odchodów zawałających deski podpokładzia i czekać, czekać, czekać jak na jedyne wybawienie na haniebny kres haniebnej męki. A przecież mogła to być jego dola, Meliklesa, a przecież chciano go już sprzedać w Kartaginie na galery, wiedząc jak jest silny. Za młody był na wioślarza — i to go uratowało wtenczas.

Dreszcz zgrozy przejmował chłopca. Przeklinał tę chwilę, gdy wstąpił z Nehurabhedem na ten przeklęty statek. Przypominał sobie twarz nieszczęśliwego więźnia, który zwrócił się do niego z prośbą, błagalny błysk jego przekrwionych białek. Żeby chociaż jemu mógł pomóc. Żeby chociaż do niego mógł dotrzeć. Ale to było teraz niemożliwe. Na pokładzie czuwało przez całą noc dwóch lub trzech Spartan, którzy nie spuszczaali prawie oka z Nehurabheda. Na Meliklesa nie zwracali wprawdzie uwagi, gdyby ten jednak zaczął błądzić po pokładzie, obudziłby natychmiast ich czujność. Chłopak rozumiał, że nie wolno mu się narażać przez wzgląd na Nehurabheda. Zaprawdę musieli teraz myśleć przede wszystkim o własnych głowach, o własnym ratunku, nie bacząc co się dzieje pod ich nogami, pod cienkimi deskami pokładu.

O opuszczeniu starca nie myślał ani przez chwilę. Był mu przecież winien życie i więcej, niż życie — wolność. Przypominał sobie troskliwość starego człowieka, w czasie gdy ranny, chory leżał u Kaliasa w Syrakuzach. Był dumny z zaufania i przyjaźni, którą go obdarzał tak

wielki człowiek. Nie odstąpiłby go za nic. Z lękiem i smutkiem myślał o jego ciężkiej przyszłości w więzieniu fenickim. Gnębił się też tym, że stary człowiek wyglądał na zupełnie zrezygnowanego, na kogoś, kto pogodził się ze swym losem i nie próbuje z nim walczyć. — Nehurabhed jadł, jak zwykle, spał jak zwykle, przyglądał się pogodnie dalekim brzegom, koło których płynęli; był jak zawsze spokojny, nieruchomy, milczący.

Następnego dnia Melikles drżący z niecierpliwości zapytał znów Nehurabheda, co ma zamiar robić, czy namyślił się już, czy ma jakiś plan ucieczki.

Stary człowiek gładził długo swą piękną brodę.

— Może i mam — rzekł wreszcie.

Chłopak płonał z ciekawości.

Nehurabhed patrzył na zbliżający się brzeg.

Dojeżdżali do Sajos, ostatniego miasteczka na brzegu latyńskim; potem czekała ich wielka podróż na wskroś przez Morze Adriatyckie. W porcie tym mieli zatrzymać się parę godzin, odświeżyć zapas wody, dać krótki odpoczynek załodze.

Nehurabhed zamyślił się głęboko. — Tak, trudno, nie ma rady, nie ma innej rady — szeptał jakby do siebie. Potem zwrócił się do Meliklesa:

— Słuchaj, chłopcze — rzekł — zgadzam się, żebyś mnie nie opuszczał jeszcze teraz. Możesz mi oddać jedną przysługę.

— Wszystko, co każesz, panie — rzekł z gotowością chłopak.

— Dobrze więc, słuchaj! Gdy podjedziemy do lądu, oni wypuszczą cię, pilnują bowiem tylko mnie, a ty ich nie obchodzisz.

— Tak jest — rzekł Melikles.

— Pójdiesz więc na ląd, do portu i tam znajdziesz u jakiegokolwiek handlarza — krewetki, kupisz je i przyniesiesz.

— Krewetki? — zapytał zdumiony Melikles.

— Tak, takie morskie raczki — tłumaczył starzec.

— Wiem, co to są krewetki — odrzekł niecierpliwie chłopak — ale po co krewetki?

Teraz starzec spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Jak to po co, żeby je zjeść — wyjaśniał spokojnie.

Melikles zaniemówił z irytacji i milczał przez jakiś czas.

— Ale co mam czynić, żeby cię ratować, panie? — wybuchnął.

Nehurabhed wzruszył ramionami.

Dojeżdżali już do brzegu.

— Więc kupisz mi te krewetki — powtórzył z na-
eiskiem.

— Kupię — odparł z rezygnacją chłopak.

* * *

Meliklesa wypuszczono na brzeg rzeczywiście bez żadnych trudności. Kupił tedy krewetki i przyniósł je na statek, zaciekawiony, co dalej będzie. Miał jeszcze ukrytą nadzieję, że krewetki są potrzebne Nehurabhedowi do jakichś wielkich czarów, do sporządzenia jakichś odwarów cudownych, którymi odurzy, oszołomi swych strażników albo uczyni się niewidzialnym.

Ale starzec kazał mu je po prostu ugotować na wieszę, po czym spożył je starannie, z wyjątkowym jak na niego apetytem i położył się spać. Tak skończyły się krewetki, tak wykorzystany został ostatni pobyt w porcie latyńskim przed podróżą do właściwej Grecji. O świcie odbito od brzegu. Melikles był szczerze zmartwiony zmarowaną okazją, długo patrzył ze smutkiem na niknący w oddali ląd. Strapienie jego powiększał fakt, że stary człowiek nie czuł się dobrze.

Od rana już narzekał na ból głowy, na jakieś dreszcze, które go ogarniały; potem obiadu jeść nie chciał, nie

wstawał prawie ze swego posłania, kazał sobie parokrotnie przynosić wody, którą pił chciwie. Był rozdrażniony, niecierpliwy, uskarżał się na kołysanie statku, na trudy podróży. Było to dziwne tym bardziej, że starzec znosił dotychczas swój los z wyjątkowym spokojem i godnością, a podróż przebiegała normalnie.

Morze było spokojne, łódź kołysała się lekko, pogoda szara, dżdżysta, nie była jednak zbyt dokuczliwa.

Ale Nehurabhedowi wszystko było źle. Nad wieczorem dostał silnej gorączki, na twarzy miał wypieki, oczy szkliste, oddychał niespokojnie. W nocy nie dał spać Meliklesowi, wysyłając go raz po raz po wodę lub wino do picia, kazał sobie grzać wodę i robić okłady.

O ile przedtem był troskliwy o Meliklesa w czasie jego choroby, o tyle teraz sam wymagający był dla siebie, niecierpliwy, podrażniony, hałaśliwy.

Cała załoga wiedziała już o jego chorobie, omijała starannie miejsce, na którym leżał; Melikles tylko siedział tuż przy swym towarzyszu, gotów w każdej chwili przyjść mu z pomocą, patrzył na niego z niepokojem coraz większym.

Po przespanej jako tako nocy stary człowiek obudził się pozornie silniejszy, zaczął jednak bardzo narzekać na swędzenie skóry, drapał się po rękach, piersiach i twarzy; swędzenie nie ustępowało. Na dłoniach, na czole, na policzkach pojawiły się czerwone nabrzmiałe plamy. Melikles patrzył na to z przerażeniem. Stary człowiek też był wzburzony. Zakazał chłopcu zbliżać się do siebie. Oglądał długo swoje ręce, kręcił głową, wzdychając ciężko.

Melikles miał łzy w oczach. — Co to jest, panie, co to za choroba? — pytał ze drżeniem w głosie.

Nehurabhed nie odpowiadał dłuższy czas, zamknął oczy.

— Ospa — rzekł wreszcie cicho.

— Ospa! — krzyknął Melikles.

— Tak jest, nie ma wątpliwości — odpowiedział starzec złamanym głosem — niestety, nie ma wątpliwości. Jęknął glucho, przewracając się na bok.

— Chłopcze mój — ciągnął po chwili — nie podchodź teraz do mnie, trzymaj się z daleka. Pamiętaj, że masz po co żyć, że masz rodzinę, matkę. Nie wolno ci się zarażać. Ospa to straszna choroba.

Mówił głośno, powoli, przerywanym głosem.

Melikles rozplakał się. Stary człowiek patrzył na niego ze wzruszeniem.

— Przynieś mi teraz dzbanek z wodą, postaw nie-daleko, żebym mógł dosięgnąć ręką i odejść.

Melikles spełnił polecenie i usiadł nie opodal, gotów na każde skinienie.

Starzec drzemał; budził się, narzekając na dreszcze i swędzenie skóry, jęczał z cicha, tak mijały godziny.

Cały statek wiedział już o jego chorobie; raz wraz przychodził ktoś z załogi, zatrzymywał się w pewnej odległości i patrzył ponuro na leżącego starca. Plamy na rękach i twarzy widoczne były z daleka. Philolaos odszedł też, patrzył długo gniewnym, zatroskanym wzrokiem, pokręcił głową niespokojnie i odszedł.

Wrócił po chwili i zawołał na Meliklesa.

— To ospa — rzekł wskazując na chorego. Melikles zamiast odpowiedzi spojrzał z rozpaczą w niebo, skinął głową. Philolaos odszedł bez słowa.

Przed wieczorem na statku odbyła się narada. Cała załoga zgromadziła się na drugim końcu pokładu.

Rozprawiano półgłosem, Melikles jednak z poszczególnych usłyszanych słów domyślił się, że mówią o Nehurabhedzie.

Barka zbliżała się właśnie do brzegów Grecji. Górzy-ste, pokryte lasami brzegi dzikiego Epiru wyłoniły się wyraźnie po lewej stronie burty.

Philolaos kazał skierować łódź do brzegu. Podeszedł do Nehurabheda. Zatrzymał się w odległości paru kroków i rzekł twardo: — Musisz natychmiast opuścić statek!

Nehurabhed podniósł na niego błyszczące z gorączki oczy.

— Jak to? — zapytał drżącym głosem.

— Musisz natychmiast opuścić statek — powtórzył Spartanin. — Wysiadaj na ląd; przybijamy już do brzegu.

Nehurabhed dźwignął się z trudnością, oddychał ciężko.

— Nie wiem, czy będę mógł wyjść, jestem słaby — skarżył się starzec.

Philolaos tupnął nogą. — Wychodź natychmiast, zapowietrzony włóczęgo i niech będzie przeklęty ten dzień, w którym wszedłeś na mój statek. — Weź z sobą swego służącego, jeśli iść nie możesz.

— Panie — odezwał się Melikles z gorącą prośbą — pozwól nam zostać choć do jutra, widzisz, jak jest chory. A tutaj pustka dzika, znikąd pomocy, znikąd ratunku.

Ale Philolaos był nieubłagany. — Niech zdycha, gdzie chce, byle nie tutaj — warczał.

Nehurabhed wstał, chwiał się na nogach; Melikles chciał go podtrzymać, ale starzec odsunął się gniewnie, zmarszczył brwi i rzekł zmienionym głosem:

— Meliklesie, powiedziałem ci już, nie dotykaj mnie, odejdz ode mnie, pozostañ tu na statku, strzeż się zarazy, mój chłopcze, strzeż się zarazy. Mnie już nie pomożesz, a sam się zgubisz. Pamiętaj.

Głos załamał mu się. Melikles zaszlochał, ale nie chciał nawet słyszeć o opuszczeniu starca w takiej chwili. Szedł tuż za nim ze spuszczoną ponuro głową. Wszyscy rozstępowali się daleko przed nim.

Barka zgrzytnęła o żwir wybrzeża.

Spuszczono deski pomostu.

Chwiejąc się i dysząc ciężko zeszedł Nehurabhed na brzeg. Melikles podążył za nim.

Gdy tylko wyszli na ląd, ściągnięto czym prędzej pomost i łódź odbiła od brzegu.

Nehurabhed usiadł ciężko na kamieniu, spoglądając posępnie na odjeżdżający statek.

Zaledwie jednak barka zniknęła w szarzyźnie wilgotnej mgły, starzec podniósł się, otworzył szeroko ramiona i niespodzianie silnym głosem zawołał:

— Meliklesie, chłopcze kochany, pójdź w me objęcia!

Melikles objął starca wzruszony, przejęty, drżąc zarówno z rozrzewnienia jak i ze zwykłej ludzkiej bojaźni, że oto teraz już na pewno zarazi się od chorego. Zdumiony był też, że stary człowiek zapomniiał o zwykłej ostrożności.

A Nehurabhed trzymał go długo w krzepkim uścisku, wreszcie rzekł: — Jesteś bardzo kochany, bardzo dzielny, mój chłopcze, najlepszy i najdzielniejszy ze wszystkich chłopców, jakich znam. Tak, tak, Meliklesie. I nie bój się. Pamiętaj, że jeżeli kiedykolwiek mógłbyś zarazić się tą straszną chorobą, od czego niech cię Bóg ochrania, to w każdym razie nie ode mnie i nie w tej chwili.

Melikles odsunął się odeń.

— Jak to, panie — więc to nie ospa? — zapytał. Starzec pokręcił przecząco głową.

— A te plamy? — mówił dalej Melikles.

— Te plamy — odrzekł Nehurabhed przyglądając się swym rękom — to nic, to krewetki.

— Jak to, panie?

— Tak, tak — mój chłopcze. Ilekroć w życiu jadłem krewetki, zawsze byłem potem trochę chory, dostawałem takiej lekkiej gorączki i takich właśnie plam; ale to przejdzie prędko!

— Czemużeś, panie, w takim razie jadł to paskudztwo? — zawołał porywczo chłopiec.

Starzec spojrzał na niego surowo.

— Meliklesie, robisz prędko, a myślisz bardzo wolno. Dlatego jadłem krewetki, żeby mieć plamy; dlatego miałem plamy, żeby Philolaos myślał, że mam ospę, dlatego musiał myśleć, że mam ospę, żeby mnie wyrzucić na ląd. Zrozumiałeś?

Melikles podniósł wzrok na Nehurabheda, otworzył usta i stał tak długi czas jak skamieniały.

— O panie! — wyjąkał wreszcie — czemużeś mnie nie powiedział?

Nehurabhed pokręcił głową.

— Nie mogłem, mój chłopcze. Nie mogłem cię uprzedzić. Czyż byłbyś wtenczas tak szczerze zmartwiony, czyż rozpaczałbyś tak żarliwie, tak przejmująco?

Żał mi ciebie było, doprawdy, ale nie mogłem. Oczy masz takie czyste, szczerze oczy, które nic udać nie umieją, nic ukryć, przejrzyste oczy, jak woda w górskim potoku.

Pokiwał głową z uśmiechem.

— Dlatego zresztą tak cię lubię, mój chłopcze — dodał po chwili.



Nie czas jednak było cieszyć się teraz odzyskaną wolnością. Położenie rozbitków było w dalszym ciągu ciężkie, niebezpieczeństwo nie zmniejszyło się. Byli sami, sami jedni, bez broni prawie, bez żywności, porzuceni na łaskę losu w dzikiej, niezamieszkałej niemal przez ludzi, północnej części Grecji.

Zapadał zmierzch. Melikles rozglądał się nieufnie po tajemniczym wybrzeżu. Skaliste brzegi, poszarpane, urwiste — wznosiły się nad nimi jak ruiny rozwalonych twierdz. W przerwach między ścianami urwisk zsuwały się ku morzu osypiska piargów, zagradzając drogę po wybrzeżu gruzami kamieni i wielkich skalnych odłamów. Wyżej nad skalną krawędzią wznosił się las świerkowy czarny i groźny, przerośnięty kosodrzewiną. Zwarta gęstwa gałęzi, igieł, suchych badyli, poplątanych krzów tworzyła nieprzebytą ścianę, przez którą nie tylko człowiek, ale nawet promień światła przecisnąć się nie mógł. Przez cały dzień i noc na dnie lasu trwać musiał bezustanny mrok.

Melikles czuł grozę idącą od tego niedostępnego, zamkniętego w sobie świata. Wokoło była cisza, morze leżało nieruchome, słychać było tylko bezustanny szmer wody, ściekającej po kamienistych piargach.

Ciemniało. Zaczął padać śnieg, mokry, lepki, pomieszany z deszczem. Melikles i Nehurabhed szli wzdłuż morza, pragnąc znaleźć miejsce możliwe na nocleg. Stary człowiek jednak po przejściu zaledwie paru stadiów osłabł zupełnie; nie mógł iść dalej. Nie był wprawdzie tak ciężko chory, jak udawał przed Spartanami, czuł się jednak zmęczony przebytą gorączką, potrzebował paru bodaj dni odpoczynku.

Gdy doszli do pasa kosodrzewiny, która w przerwie między ścianami skalnymi schodziła do samego niemal morza, starzec osunął się bez sił pod ścianę lasu, Melikles zaś zajął się gromadzeniem gałęzi i rozpalaniem ogniska. Przesycony zimnym, wilgotnym powietrzem chrust zajmował się leniwie ogniem, przygasał, dymił, gasł i znów się rozpalał. Chłopakowi grabiały już ręce z zimna, w piersiach brakło tchu od ustawicznego rozdmuchiwania żaru, w końcu jednak upór jego został wynagrodzony, chrust buchnął żywym płomieniem, święty duch ognia rozjaśnił gęstniejący mrok. W pobliżu dyszącego żarem stosu zwinął się zmęczony gorączką starzec i zasnął niemal natychmiast twardym snem, podobnym do omdlenia. Melikles czuwał jeszcze czas jakiś dorzucając gałęzi na żar, pilnując, aby ognisko nie wygasło, w końcu i jego poczęła ogarniać senność, walczył z nią czas jakiś, ciepło jednak i cisza uspokajały go, skulił się w nogach starca, oparł głowę o jego kolana i zasnął, sam nie wiedział kiedy i jak.

Obudził się w pewnej chwili, z dziwnym poczuciem grozy i niebezpieczeństwa. Usiadł gwałtownie i począł nasłuchiwać.

Ognisko niemal przygasło, gałęzie zasypywane wielkimi płatami śniegu syczały i dymiły tylko, wokół panowały ciemność i cisza. Morze uderzało miarowo leniwymi falami o skaliste brzegi, chlupocząc i belkocąc między rozrzuconymi głazami. Cienie tych głazów, ledwie widoczne w mroku nocy, wydawały się jakimiś potworami, przy-

czajonymi w ciemności. Gdzieś w głębiach lasu odezwał się ponury jęk puchacza.

Chłopak czuł, że przejmują go dreszcz zgrozy.

Miał niewytłumaczoną pewność, że coś, coś okropnego, nienawistnego, zbliża się ku nim zwolna poza ścianą nocy, że podchodzi, czai się w mroku, jest tuż, tuż...

Nie mógł znieść naprężenia wszystkich nerwów, zbudził Nehurabheda rozdmuchując jednocześnie gorączkowo ognisko. Ale usiłowania jego były daremne. Dwie czy trzy suchsze gałązki zapaliły się mdłymi płomykami, reszta dymiała tylko i syczała w ciemności.

Z nagłą przerażającą wycie wilka rozdarło ciszę, ozwało się tuż za nimi, o kilkanaście zaledwie kroków, gdzieś w mrokach nocy.

Nehurabhed i Melikles zerwali się z miejsc. Z głębi lasu odpowiedziały wyciem inne wilki, tu i tam, bliżej i dalej, ze wszystkich niemal stron, straszliwa rozmowa trwała nieprzerwanie, wycie przeszło w ujadanie, niecierpliwy, zajadły charkot.

Nehurabhed i Melikles stali nieruchomo, bezradnie usiłując przebić wzrokiem otaczającą ciemność. W pewnej chwili ujrzeli parę fosforycznie błyszczących oczu wilczych. — Za nimi dalej na wybrzeżu błyskały niesamowitym światłem inne „latarnie“.

Melikles czuł, że włosy jeżą mu się na głowie, z piersi wydarł się krzyk; śmierć, okropna śmierć stanęła nad nimi. Krzyczeli teraz obaj chcąc głosem bodaj odstraszyć głodne bestie. Melikles, ściskając w ręku krótki miecz, pochylił się raz jeszcze nad ogniskiem usiłując daremnie rozdmuchać ledwie tłące się żarzenie.

W tej chwili czarny kadłub olbrzymiego wilczura wyłonił się z ciemności, warcząc dopadał do chłopca.

Melikles rzucił mu niemal w sam pysk garść dymiącego chrustu, kopnął nogą gasnące ognisko, gromada iskier błysnęła w ciemności, wilk odskoczył w tył. Ognio-

sko zasyczało ostatni raz, zasnulo się gęstym dymem i zgasło. Nastal zupełny mrok.

Melikles porwał starca za ramię. Ciągnął go ku morzu. — Co robisz? — wołał starzec. Ale Melikles wiedział, co robi. Trzymając krzepko starca za ramię dotarł w jednej chwili do morza, wszedł w wodę, zagłębił się w niej po kostki, po kolana, brnął dalej nie zważając na nic. Woda była lodowato zimna, mroziła krew w żyłach, ale chłopiec nie myślał o tym. Potykając się o podwodne kamienie, pogrążony po pas w wodzie, dotarł do ogromnego głazu nadbrzeżnego, tam mocną ręką pomógł przede wszystkim starcowi wydobyć się na wierzch, sam po nim wciągnął się na oślizgłą skałę.

Obsuwał się przy tym raz po raz, pokaleczył ręce do krwi, przemókł cały, ale straszliwa groza położenia dodawała mu sił. Stał wreszcie oparty plecami o głaz, podtrzymując jedną ręką Nehurabheda, wczepiony drugą w jakąś szczelinę skalną.

Przed nimi o kilkanaście zaledwie kroków poruszały się cienie wilków. Próbowaly wejść za uciekającym łupem w wodę, z chwilą jednak, gdy traciły pod nogami grunt, zawracały na ląd, charcząc i ujadając z wściekłości. Wilk umie pływać, ale nie umie walczyć w wodzie.

Zmęczone daremnymi próbami zasiadły wreszcie półkolem nad samym brzegiem i zanosły się rozpaczliwym wyciem, zawodzeniem, okropną skargą wiecznie zgłodniałych paszcz. I tak trwali naprzeciw siebie w ciemności długie minuty, godziny.

Chłopak przemoczony do nitki, skostniały z zimna, czuł jak całą skórę, aż do brzucha, ścisła mu lodowaty pancerz mrozu. Szczekał zębami, stał jednak bez ruchu wiedząc, że przy najmniejszym drgnieniu zsunąć się może

Co jakiś czas silniejsza fala obmywała mu stopy lodowatym poślizgiem, ale chłopak nie czuł już tego. Skórę

miał zdrętwiałą, kości tylko wykręcał mu ból, zimno wgryzało się weń coraz głębiej.

Meliklesa poczęła ogarniać rozpacz i wściekłość. Rosła w nim nieprzytomna chęć, aby rzucić się na brzeg z mieczem w rękę i raz zginać. Resztką woli powstrzymał się od tego szalonego kroku.

Grozę położenia powiększało to, że Nehurabhed osłabł zupełnie. Nie skarżył się, nie prosił ratunku, ale zwisł półomdlały na wierzchołku głazu i nie osunął się w morze tylko dzięki pomocnej dłoni Meliklesa.

Śnieg padał wciąż, w powietrzu była cisza, wilki zaprzestały wycia, rozłożyły się dokoła obozem, czekając.

Od czasu do czasu przerywał milczenie głuchy jęk puchacza, od czasu do czasu rozlegał się rozpaczliwy krzyk napadniętego znienacka zwierzęcia. W niedalekiej puszczy trwał cionocny straszliwy dramat, wszystkie potwory leśnej głuszy wyszły na żer, wszystko co bezbronne, słabe tuliło się do ziemi drżąc.

W pewnej chwili wydało się Meliklesowi, że cienie wilków znikły czy oddaliły się. Mogło to być jednak złudzenie. Śnieg pomieszany z deszczem mżył coraz gęstszy; ciemność zwiększyła się jeszcze. Melikles z trudem mógł odróżnić w mroku czarniejszą jeszcze od nocy linię brzegu. W oczach mieniły mu się cienie wilków, nadbrzeżnych głazów, bryzgi pian, falująca jednostajnie woda, wszystko mieszało się razem, nie odróżniał już nic; poczęło go ogarniać niehumanne zmęczenie, omdłałość, senność. Wczepiał się wówczas palcami w szczelinę skalną, aż do bólu, aż do zdercia skóry z rąk, aby nie stracić równowagi, aby bólem przywrócić odbiegającą przytomność.

Była to straszna noc, najstraszniejsza bodaj w całej podróży.

Po długich dopiero godzinach, które wydawały się wiekami, szary, brudny świt rozjaśnił wreszcie ciemności.

Śnieg nie padał już. Na wybrzeżu było pusto. Wilki znikły gdzieś, znalazły może inny łup w głębiach dzikiego łądu.

Wstawał dzień.

Melikles z trudem zlaźł w wodę; ruch przywrócił siłę zdrętwiałym mięśniom; pół wlokąc, pół niosąc przeprowadził starca na brzeg; rzucił się potem biegiem wzdłuż morza, powrócił i znów biegł, okładał się pięściami, bił co miał sił, szarpał, skubał palcami skórę, aż rozgrzał się i zadyszał. Zaczął wtedy rozcierać Nehurabheda mocno, mocno, coraz mocniej, aż i w nim ciepło zaczęło żywiej krążyć w żyłach. Starzec podniósł się wówczas i oparty o ramię chłopca ruszył naprzód. Roztapiający się w kałuże śnieg chlupotał na powierzchni. Szli przed siebie, brzegiem, byle dalej, byle dalej od tego strasznego miejsca. Co parę kroków stary człowiek przystawał, chwytał z trudem oddech w zmęczone płuca, zrozpaczony siedł jednak wciąż z zacięłą wytrwałością.

Ruch przywracał im życie, wstające słońce krzepiło nadzieję, wysuszało przemoczone szaty, owiewało zbawczym ciepłem.

Odpoczywali co kilkaset kroków; gdy starzec siedział wyдыхając zmęczenie, Melikles wdzierał się na wierzchołki urwisk patrząc stamtąd, czy gdzie nie ujrzy dymów płynących z ludzkich osiedli albo śladu przystani, albo łodzi — jakiegokolwiek znaku ludzkiej obecności w tej dzikiej głuszy. Wszystko na próżno. Do potwornego zmęczenia i zmarznięcia począł się dołączać głód. Od wczorajszego dnia nie mieli nic w ustach. Melikles znalazł na skraju lasu parę rozłożystych dębów i uzbierał dwie garście żołądź. Podzielił się nimi ze starcem oszukując tą nędzną strawą głód.

I tak szli, a raczej wlekli się cierpliwie przez cały niemal dzień.

Dopiero przed samym wieczorem, gdy myśleli już z rozpaczą o spędzeniu drugiej nocy na skraju puszczy —

Melikles spostrzegł drobną ścieżkę wiodącą w głąb lasu i świeże ślady stóp ludzkich.

Ruszył tym śladem, pozostawiając na wybrzeżu znużonego śmiertelnie starca. Po krótkim czasie dotarł do małej polany, na skraju jej stała drewniana nędzna chata. Był to właściwie zwykły szałas, zbity z nieobrobionych pni, pokryty mchem, zarzucony liściem i gałęziami, cały wrosnięty w ziemię, czarny i osmolony od dymu.

Spod pochylonych drzwi wysunął się na wołanie Meliklesa człowiek olbrzymiego wzrostu, zarosły tak, jak jego chata, z twarzą pokrytą brudem i gęstymi kudłami, pokrywającymi całą twarz, w której świeciły tylko oczy jak małe, czarne kawalki węgla.

Melikles w pierwszej chwili cofnął się sądząc, że zły los rzucił go, jak kiedyś Odysseusza, na pastwę jakichś cyklopów, satyrów czy złych bóstw leśnych. Ale olbrzym o ile był zdziwiony spotkaniem, o tyle nie przejawiał żadnych złych zamiarów. Z trudem porozumiał się z Meliklesem, mówił bowiem językiem dziwnym, na wpół barbarzyńskim, przeplatając słowa helleńskie obcymi albo zniekształcając je w szczególny sposób. Był to góral z pół-barbarzyńskiego szczepu Epirotów, dzikich górskich myśliwych, ukrytych w swej niedostępnej puszczy, groźnych i mściwych.

Ale olbrzym dowiedziawszy się, że człowiek, który potrzebuje pomocy, jest starcem i lekarzem, i kapłanem — zmienił się od razu. Sława niedalekich Delf tak była wielka, powaga kapłanów tak powszechna, że dziki góral bez słowa sprzeciwu, a nawet z pewną pokorną gorliwością ruszył wraz z chłopcem po Nehurabheda.

Noc już zapadała zupełna, gdy wrócili do chaty niosąc starca; a jeszcze w godzinę później obaj podróżni, napojeni gorącym mlekiem, nakarmieni i syci, zadowolony się niemal z głowami w niedźwiedzie i wilcze skóry, zasnęli kamiennym snem.

A w trzy dni później szli znów Nehurabhed wraz z Meliklesem brzegiem morza dalej na południe. Oba byli wypoczęci i zdrowi.

Żelazna natura młodego chłopca zniosła wszelkie trudy bez szwanku, zaś stary człowiek przyzwyczajony był w swym rodzinnym kraju do stokroć sroższej zimy i prawdziwych mrozów. Gorączka spowodowana zatruciem minęła bez śladu, z twarzy i rąk znikły nabrzmienia i krosty. Wszystko było już znowu dobrze.

Góral, dziki i groźny na pozór, odnosił się do Nehurabheda z pełną pokory uległością, odprowadził ich też daleko, wskazując dokładnie drogę do najbliższych osiedli. Okolica stawała się mniej dzika, bardziej nizinna, urodzajna, bardziej zaludniona. I powietrze już nie było tak mroźne, zima — nigdy tam nie nazbyt surowa — zelżała jakby łagodząc swe ostre tchnienie.

— Wszystko jest dobrze — mówił Nehurabhed do Meliklesa, wypoczywając po drodze na piaszczystym brzegu — dobrze, żeś mnie tak pielęgnował w chorobie, mój chłopcze, dobrze, że mnie wyrzucił Philolaos, dobrze, żeś mnie nie opuścił wtedy, o Meliklesie, bo gdyby nie ty, zginąłbym nie raz, ale dziesięć razy i od wilków, i od głodu, i od zimna.

Tak, tak, mój chłopcze — mówił cicho, kiwając według zwyczaju swą siwą, dostojną głową — to wszystko jest dobrze, zupełnie dobrze i tylko jedno stało się źle. Oto widzisz, Meliklesie, kiedyś, prędzej czy później, tutaj w Grecji czy tam w Azji, w Milecie przyjdzie się nam rozstać, przyjdzie taki czas; cóż, trudno, oczywiście każdy musi iść swoją drogą.

Ale wtedy właśnie, i to jest źle, Meliklesie, kiedy przyjdzie ten czas, kiedy przyjdzie ten czas — stary człowiek zająknął się — to, widzisz, to... to będzie bardzo smutna chwila — zakończył prędko.

Wkilka dni później dotarli wreszcie do pierwszej w tym bezludnym kraju lichej i marnej miejsciny, położonej nad brzegiem morza, w sąsiedztwie niedalekiej Akarnanii. Tutaj zatrzymywały się czasem statki idące z brzegów łatyńskich z Tarentu, Krotonu i Brundisium.

Nehurabhed nie miał nadziei natrafić w tak małym porcie na żeglarzy udających się w podróż na południe do Egiptu czy Krety, chciał się tylko dostać stąd jakimkolwiek żaglowcem do większego, ruchliwszego miasta, gdzie łatwiej byłoby znaleźć upragnioną sposobność. Tymczasem sposobność nadarzyła się wkrótce i to lepsza, niż mogli się spodziewać.

Oto na drugi dzień po ich przyjściu przybił do portu wielki statek wiosłowy, z kilkudziesięcioma ludźmi załogi, wioślarzy i marynarzy; przód statku był lekko tylko wzniesiony i zakończony rzeźbionym łbem ryby.

Na wybrzeżu zaroilo się w jednej chwili, osada ożywiła się, poruszyła, przekupnie oblegli łódź, wszyscy śpieszyli się, bo statek przybił tylko na parę godzin i zaraz wyruszał dalej.

Nehurabhed i Melikles pośpieszyli też na brzeg rozytując po drodze skąd i dokąd płynie przybyły właśnie

statek. — Idzie z Syrakuz, zdąży aż do Egiptu — odpowiedziano im.

Weszli na pokład żądając rozmowy z dowódcą barki. Jakie było ich zdumienie, gdy naprzeciw nich wyszedł — rozsuwając z władczą miną innych żeglarzy — nie kto inny, tylko dawny ich dobry znajomy, Kalias Syrakuzanin.

Kalias zmienił się trochę, nosił się obecnie z większą powagą, odpowiednią jego wysokiej godności zastępcy dowódcy tak dużego statku handlowego. Na widok Nehurabheda i Meliklesa — zdumienie odbiło się w jego oczach, przyjął jednak swych niedawnych gości z prawdziwą, nieudaną radością.

Nehurabhed wytłumaczył mu w paru słowach, że pokłóciwszy się z załogą spartańskiego statku wysiadł na ląd, nie chcąc dłużej jechać z niechętnymi mu ludźmi. O swym uwięzieniu, chorobie i wyrzuceniu na ląd nie wspominał ani słowem. Prosił natomiast gorąco Greka o zabranie ich do Egiptu.

Kalias zgodził się oczywiście bez wahania, pogadał jeszcze o tym z właściwym dowódcą statku, Sotionem, gdy zaś i ten nie robił żadnych trudności, mogli wreszcie obaj wędrowcy wyruszyć w tak upragnioną dalszą drogę.

* * *

Płynęli wzdłuż brzegów lesistej Akarnanii, pozostawiając po prawej stronie burty ledwie widoczny z dala ląd Itaki — ziemię rodzinną boskiego Odysseusza. Minęli wąską zatokę koryncką, rojącą się stale od licznych żaglowców, przepłynęli obok małego portu Elis, położonego niedaleko ujścia Alfejosu, świętej rzeki greckiej.

Tam nad Alfejosem, za pasmem wzgórz, które ledwie widoczną, siną linią odznaczały się na horyzoncie — leżały święte gaje Olimpii, najukochańszy, najbardziej czczony zakątek ziemi helleńskiej. Tam odbywały się

słynne na cały świat igrzyska, tam co lat cztery zbierali się wszyscy ci, którzy zdobyć mogli sławę swym miastom, krajom, wioskom, tam Grecy z Miletu i z Hellespontu i znad Morza Czarnego spotykali się ze swymi rodakami z Krotony, Neapolu czy Syrakuz i ze zdumieniem i radością stwierdzali po stokroć braterskie podobieństwo zwyczajów, pragnień, wierzeń. W przerwach między zawodami, właściwymi igrzyskami, trwały uroczyste nabożeństwa, pochody, procesje, śpiewy i tańce, tak że cały czas spędzony w pobliżu świętych gajów przemieniał się w jedną, czarodziejską bajkę.

Wszyscy, którzy kiedykolwiek byli na igrzyskach, a takich nie brakowało wśród licznej załogi statku, rozpamiętywali ze czcią i wzruszeniem uroczyste chwile spędzone w tych stronach, z utęsknieniem patrzyli na niedalekie brzegi, wspominali piękną świątynię bogini — matki Hery i nade wszystko czczone posągi ojca Zeusa w uroczystym świętym gaju na wzgórzach nad Alfejosem pod cienistymi konarami olbrzymich wieloletnich drzew. Kalias, przed wieloma laty, jako młodzieniec jeszcze, był wysłany przez rodzinne Syrakuzy do udziału w igrzyskach; teraz więc rozprawiał najgłośniej, mówił o rzekomo odniesionych zwycięstwach, chwalił siebie i zręczność swoją; a wszyscy wokół słuchali go ze skupieniem i uwagą należną zwierchnikowi.

Nie zajeżdżali jednak do portów, skąd wiodła droga do Olimpii, unikali w ogóle wszystkich większych miast, obawiali się bowiem, tak jak i Spartanie, zarazy, o której groźne wciąż krążyły wieści.

Podróżowano wolno; statek naładowany był po brzegi towarem, a Kalias nie przemęczał wioślarzy pracą przed czekającą ich wielką podróżą w poprzek Morza Śródziemnego.

Dnie mijały jednostajnie, urozmaicone czasem opowiadaniem, kłótniami, awanturami wśród załogi.

Kalias wodził rej w tej gromadzie ludzi, obowiązanych do posłuszeństwa; czuł się tu w swoim żywiole, rozkazywał, krzyczał, chępił się, przechwalał, kpił, szydził, drwił i wymyślał. Pełno go było wszędzie, był tam, gdzie trzeba i gdzie nie trzeba. Przy łada okazji wybuchał gromami, trząsł się, tupał nogami, twarz nabiegała mu krwią, zdawało się, że rzuci się z pięściami na winowajcę. W rzeczywistości nie skrzywdził nikogo, nie wyznaczał żadnej kary, wszystko kończyło się na wymyślaniu.

Zresztą załoga słuchała go śmiejąc się czasem po cichu; lubiła nawet jego awantury, chępliwe opowieści, suto zaprawiane łgarstwami. Przynajmniej nikomu nie nudziło się w tej długiej drodze.

A podróż dłużyła się rzeczywiście.

Na siódmy dopiero dzień oderwali się od brzegów greckich wyruszając na pełne morze, dziesiątego zaś dnia przed wieczorem przybili do legendarnej, słynącej z cudów, ziemi kreteńskiej.

Wylądowali w Heraklei, porcie leżącym obok Knossos, tego samego Knossos, które było przed wiekami stolicą ogromnego państwa, największej potęgi morskiej pradawnych czasów. Kiedyś stały tu wspaniałe zamki, rojące się od dworzan pałace, kiedyś pyszne sztuczne ogrody schodziły tarasami aż ku morzu. Teraz z dawnej świetności nie pozostało śladu.

Przed kilku wiekami najazd ludów z północy zburzył wielkie państwo, rozwalił w gruzy pałace i świątynie, спустoszył kraj. Kwitnąca bogactwem wyspa stała się pustynią, o której tylko legendy krążyły wśród mieszkańców dalekiej Grecji.

Opowiadano sobie cuda o skarbach ukrytych pod pałacami, o podziemnym labiryncie, strzeżonym przez potwora Minotaura, wywodzono ród największych bohaterów greckich od przodków kreteńskich chcąc ich opromienić sławą świetnego ongiś państwa.

Tymczasem sama wyspa nie mogła podźwignąć się z upadku. Zaludniła się wprawdzie powoli nielicznymi osadnikami z Fenicji, z Grecji i wysp jońskich, powstało kilkanaście wsi, parę osad, parę miasteczek; wszystko to jednak dalekie było niezmiernie od dawnej świetności.

Obecnie Herakleion, do którego zawijała barka Kaliasa, była to dość mizerna miejscina grecka z niewielkim portem, leżącym u ujścia rzeki. Stało tu zaledwie kilka żaglowców i łodzi, i jedna wielka barka wyróżniająca się zarówno potężnymi rozmiarami, jak i szarą, ponurą barwą swych ożaglowań.

Melikles od pierwszego rzutu oka rozpoznał w tej barce znany mu już aż nadto dobrze nienawistny statek spartański.

Nehurabhed poznał go również, ale nie przejął się tym zbyt. Spodziewał się zawsze, że spotkanie takie jest możliwe. Postanowił sobie na wszelki wypadek nie schodzić z pokładu podczas krótkiego, jak myślał, postoju.

Tymczasem stało się inaczej. Barka syrakusańska odniosła w drodze parę uszkodzeń, nieznaczących wprawdzie, ale wymagających naprawy. Sotion i Kalias zdecydowali, że lepiej napraw tych dokonać przed wielką drogą do Egiptu i że tu właśnie w tym cichym, spokojnym porcie najłatwiej będzie poświęcić parę dni na niezbędne roboty ciesielskie.

Przycumowali do brzegu o kilkaset zaledwie kroków od barki spartańskiej i mieli pozostać w tym sąsiedztwie przez szereg najbliższych dni. Melikles, który początkowo zaniepokoił się tym trochę, widząc, że Nehurabhed nie bierze do serca całej sprawy, przestał się nią zajmować. Istotnie byli teraz w zupełnie innych warunkach, nie u nienawistnych Spartan, ale wśród życzliwych Syrakuzńczyków, gdzie nic im grozić nie mogło.

* * *

Beztroski tedy i pełen ufności w świat i w ludzi wyruszył chłopiec najbliższego ranka z paroma młodymi żeglarzami na brzeg, na zwiedzenie miasta. Nie znalazłszy nic godnego uwagi w ciasnocie lichych, glinianych domków, wydostali się w górę, weszli na dawne pałacowe podwórza, wałęsali się długi czas po ruinach starych murów zamkowych, chodzili wśród resztek ścian, bram, obalonych kolumn.

Wyrzewające się na kamiennych popękanych schodach jaszczurki uciekały spłoszone ich młodym śmiechem. Gromady kóz i owiec patrzyły na nich bezmyślnie, skubiąc trawę w tych samych miejscach, gdzie przed wiekami wznosiły się pyszne sale kolumnowe, gdzie może wielki pan i władca morza i lądów przyjmował czołobitne poselstwa sąsiadów.

Na szczytach murów rosły drzewa rozsadzając głodnymi korzeniami kruszące się i bez tego ściany. Ze szczątków ścian, obdartych i szerniałych spoglądały czasem na Meliklesa dziwaczne malowidła, twarze ludzi czy bóstw nieznanых. Cały ten opuszczony, zamarli świat, rozsypujący się powoli w proch i gruz, tchnął smutkiem i przygnębieniem.

Ale Meliklesowi daleko było do smutku i przygnębienia. Cieszył się wiosenną zielenią traw zarastających gruzy, spoglądał z zachwytem na cudny widok, roztaczający się z potrzaskanych murów. Oto tam w dole, wśród kamienistych wzgórz, miasto, zatoka i port, a w porcie ich łódź, na błyszczącej w słońcu tafli wody, a dalej morze, morze błękitne i niebo błękitniejsze od morza. A tutaj z boku, na stoku wzgórza, i dalej w głąb lądu — las, coś za las przepyszny! Bujna podzwrotnikowa roślinność: palmy i figowce, akacje i rododendrony, cedry olbrzymie i platany, krzaki mimozy i krzewy różane, wszystko rosące razem, dziko poprzerastane, świeże, pachnące, so-

czyste. Szczątki to dawnych słynnych ogrodów królewskich, jedynie żywe dotychczas.

W Epirze, na północy Grecji trwała wciąż dokuczliwa zima, ale tu, w tym kraju wiecznego ciepła, zima jest właśnie wiosną, początkiem najżyźniejszego, najgwałtowniejszego rozwoju przyrody, skąpanej na przemian w potokach dżdżu i słońca.

A teraz słońce stało właśnie wysoko na niebie złote, przepyszne, gorące.

Melikles wraz ze swymi towarzyszami zbiegli z radosnym krzykiem w gęszcz leśny, rozgarniali rękami orzeźwiającą, wilgotną zieleń, brnęli przez nią na oślep w dół, nawołując się wzajem wśród płataniny gałęzi, aż wychynęli znów na słońce już na samym dole, przy ujściu rzeki wpadającej tu właśnie do zatoki.

Tam Melikles pierwszy zerwał z siebie ubranie, wbiegł w wodę, rozpluskał ją, rozbryzgał, znalazł wreszcie głębię, dał nura i ukazał się aż na drugim brzegu. Inni poszli wnet za jego przykładem. Teraz Melikles wzywał swych towarzyszy na zawody pływackie.

Zgodzili się myśląc, że pobiją go łatwo jako znacznie młodszego, efeba jeszcze, dorastającego dopiero chłopca. Melikles śmiał się z nich w duchu.

W Neapolis przed dwoma laty, gdy był naprawdę jeszcze dzieckiem, nie pozostawał daleko w tyle za najlepszymi pływakami miasta, teraz zaś był przecie nieporównanie silniejszy, rozrósł się, skrzepł, zwarł w sobie. O ranie otrzymanej w Syrakuzach zapomniał dawno, odżywił się, zmęźniał, patrzył z radością na prężne mięśnie, rysujące się pod gładką skórą, krew pulsowała w nim radosnym, silnym rytmem, czuł w sobie samą moc, samo zdrowie, samo życie.

Wygrał rzeczywiście w wyścigu pływackim, wygrał potem raz, drugi i trzeci, aż rozdrażnieni Syrakuzańczycy zaczęli go z żartów obsypywać grudkami piasku, obryzgi-

wać wodą, bić gałązkami wikliny. Rozdokazywali się przy tym jak dzieci, rozgrzali, bo woda była jeszcze dobrze zimna. Wracali potem razem, ze śpiewem, pół idąc, pół biegnąc brzegiem zatoki do statku.

W pewnej chwili Melikles spostrzegł, że przechodzą obok spartańskiej barki.

Z barki tej wychodzili teraz wolno długim szeregiem, jeden za drugim, ciężko obciążeni niewolnicy. Szli z trudem pod górę z workami na plecach, szli dysząc ze zmęczenia, składali towar w głębi lasu wśród zabudowań nadbrzeżnych i znów wracali po nowy ładunek. Kilku dozoruujących Spartan z batami w rękach pilnowało całej roboty.

Posępny korowód przechodził tuż przed oczami Meliklesa.

Chłopak drgnął, cofnął się mimo woli o krok, nagle wzrok jego spotkał się z oczami jednego z niewolników. Był to ten sam wioślarz-galernik, o wielkiej rozkudlanej głowie, który zwrócił się do niego z prośbą niedawno, tam, pod pokładem spartańskiego statku przy piątym okienku.

A tamten poznał go także. Przez chwilę w oczach nieszczęśnika zapalił się jakby błysk rozpacz czy błagalnej prośby. Przystanął na mgnienie oka, usta jego poruszyły się jakby, ale nie powiedział nic, przeszedł w milczeniu dalej, tylko zgarbił się jeszcze bardziej.

Melikles stał długi czas bez ruchu, potem powolnym, ciężkim krokiem ruszył naprzód.

Koledzy, żeglarze — Syrakuzańczycy prześcignęli go i kpiąc nawoływali teraz z daleka.

Chłopiec nie odpowiadał, nie słyszał nic, wracał z pochyloną głową, gryząc drgające wargi.

Z nastaniem nocy, gdy wszystko wokół pogrążyło się w sen i w ciszę, Melikles wypełził na pokład. Zdjął bezszelestnie ubranie, ukrył je za zwojem lin, prześliznął się przez burtę i powoli, aby nie czynić najmniejszego szmeru, zsunął się w ciemną toń wody.

Za chwilę płynął już całą siłą mocnych rąk ku spartańskiemu statkowi.

Czarny cień ogromnej barki rysował się przed nim wyraźnie na tle mrocznego nieba. Chłopak był już przy niej, kierował się ku przodowi statku. Zapamiętał już sobie dawniej, przy którym wiosle z kolei siedział nieszczęśliwy galernik. Teraz przyplłynął do tego miejsca i zatrzymał się, opierając dłoń o pokryte wilgotnym mchem deski okrętu.

Na pokładzie paliło się łuczywo, ale za burtą tuż pod statkiem panowała zupełna ciemność.

Melikles poczekał, aż oczy przyzwyczają się do mroku. Nashuchiwał. Wokół była cisza. Podniósł wzrok; widział niewyraźne otwory od wiosel: pierwszy, drugi trzeci, czwarty. Piąty — tak, to właśnie ten. Dźwignął się wolno z wody, zaczął silnymi palcami za szparę, potem zapukał ostrożnie raz, i znowu raz, i jeszcze. Serce waliło mu w piersiach jak młotem. Ktoś odpowiedział ledwie dosłyszal-

nym szeptem. Melikles podciągnął się obydwoma rękami w górę, przywarł całą twarzą do szpary wiosłowej. Teraz rozumiał, słyszał i był słyszany. Tak, to był ten sam jeniec, ten sam głos drgający bólem, choć teraz przyciszony, stłumiony, zduszony jakby.

Melikles odpowiadał z ustami przy samej szparze i tak rozmawiali długo, gorączkowo, nie mówiąc, nie szeptać nawet, ale oddychając do siebie słowami.

Po jakimś czasie chłopak zsunął się w morze i wyruszył ku swemu statkowi. Najwprawniejsze oko nie mogłoby odróżnić na ciemnym tle wody poruszającej się powoli głowy; najczulsze ucho nie mogłoby ułoić najmniejszego szmeru rozsuwanej ramionami głębi. Niespostrzeżony przez nikogo wrócił na statek syrakusański. Leżał obok Nehurabheda, ale nie spał prawie nic tej nocy; zmarznięty był, a jednocześnie rozgorączkowany wewnętrznie.

Rozważał po dziesięćkroć, po stokroć wszystko, czego się dowiedział, rozpatrywał bezładne plany ucieczki i ratunku.

Poznany niewolnik nie był Grekiem; był Tyreńczykiem (tak Grecy nazywali Etrusków), dostał się do niewoli greckiej przed siedmiu laty, od sześciu przeszło lat sprzedany na galery, jako wyborowy żeglarz i wiosłarz, przez cały ten czas przykuty niezmiennie do wiosła spartańskiego statku żył najstraszniejszym życiem galernika, życiem, które nawet u innych niewolników budziło litość i grozę. Nieszczęśnik łudził się dotąd nadzieją, że rodzina przyśle za niego okup. W pierwszych latach udało mu się, jak przypuszcza, przesłać do swego rodzinnego miasta wiadomość o sobie, teraz chciał też przez Meliklesa wysłać do swoich prośbę o ratunek. Sam już jednak nie miał żadnej nadziei, aby próba ta odniosła skutek. Melikles, który znał aż nadto dobrze zwyczaje panujące na targowiskach ludzkich, wiedział, że okup za niewolnika przy-

chodzi zawsze w pierwszych dwóch latach niewoli albo — nie przychodzi wcale. Tyreńczyk nie miał zresztą bogatej rodziny, co najważniejsze zaś, rodzina ta, sądząc z opowieści niewolnika, albo wyginęła w czasie tragicznej wojny, albo częściowo również dostała się do niewoli. W tych warunkach na ratunek z tej strony nie można było liczyć i Melikles mógł tylko odjąć nieszczęśnikowi resztę jakichkolwiek złudzeń.

Ale wtedy Tyreńczyk zwrócił się do niego z inną prośbą. Oto on przeżył już tutaj przeszło sześć lat, nie chce i nie może żyć dłużej. Chce uciekać. Wie, że to jest niemożliwe i że zginie. Tym lepiej. Niech się to raz skończy. W czasie tych paru dni na lądzie, kiedy rozkuwani są z kajdan dla noszenia ciężarów, musi próbować ucieczki. Spartanie dognają go i ukrzyżują potem albo zaćwiczą na śmierć, mówił Melikles. Ale Tyreńczyk nie chciał słuchać. Spartanie dognają go albo wytropią jak psa, tak, ale nie wezmą żywcem. Nie wezmą. Tylko dlatego musi mieć miecz, jeden zwykły, ostry miecz, żeby zabić chociaż jednego z łotrów, dozorców i zginąć z bronią w ręku, jak żołnierz, koniecznie z bronią w ręku. To była cała jego prośba, ostatnia, jedyna, o to błagał ze łzami w głosie. Niech mu ten miecz położą na górze, tuż za burtą, na pokładzie, między skrzyniami z towarem. Gdy będzie rano brał ładunek, chwyci za miecz i — i raz rozstrzygnie się wszystko i zakończy na zawsze.

Melikles odradzał mu ten rozpaczliwy krok, ale sam nie wiedział, co czynić. Jakże dobrze, jak strasznie dobrze rozumiał błaganie jeńca. Umrzeć mszcząc się, zadając razy, walcząc do ostatka tchu — ileż razy i on tak marzył, i on tak modlił się wyciągając związane ręce do Zeusa. Nie odmówił ani nie przyrzekł nic więźniowi. Powiedział tylko, że następnej nocy przypłynie znów. Wówczas coś postanowią.

Tymczasem nie postanowić nie mógł, nie wymyślić. Tyreńczyk mówił mu, że wszyscy galernicy gotowi są na każde szaleństwo, na każdy rozpaczliwy krok, aby tylko raz podle życie zakończyć. Meliklesowi przyszło na myśl, że może, gdyby uciekali wszyscy rozkuci z kajdan, w jednej i tej samej chwili, i rozpierzchli się na wszystkie strony, łatwiej przyszloby w takim zamieszaniu kilku bodaj więźniom skryć się i uciec.

W każdym razie należało przede wszystkim zbadać cały teren, rozpatrzeć okolicę.

Od samego rana Melikles ruszył na zwiady, obszedł cały port, całe wybrzeże, zbadał dokładnie las, w którym był już wczoraj, wyszedł na okoliczne wzgórza, rozpytywał pastuchów i górali o drogi.

Wrócił niemal zrozpaczony.

Jedyny większy, dający chwilowe bodaj schronienie, las, był to ten właśnie szczyłek parków królewskich. Za lasem tym i wszędzie dokoła ciągnęły się kamieniste wzgórza pokryte kępiastym jałowcem i karłowatymi krzakami tui, gdzie nawet kozy skryć się nie mogły. Prócz tego, żeby dostać się do lasu, trzeba było przebiec wzdłuż całego portu, wzdłuż wybrzeża, gdzie snuły się zawsze gromadki rybaków, miejscowych żeglarzy. Ci wszyscy bez wahania wzięliby udział w pościgu, choćby dla spodziewanej nagrody. Zнали zaś bez porównania lepiej wszystkie drogi i ścieżki, wszystkie gąszcze i skrytki leśne, mieli do swego rozporządzenia czujne psy i ściągłe konie, i muły.

Ucieczka w tych warunkach to niemal pewna śmierć — myślał Melikles. — Czy jednak miał prawo odbierać odwagę nieszczęsnym jeńcom?

W trosce swej postanowił zwierzyć się ze wszystkim Nehurabhedowi.

Tymczasem u wejścia na statek spotkał wracającego z miasta Kaliasa, czerwieńszego jeszcze niż zwykle, wzbu-

rzzonego bardziej niż zwykle, sapiącego głośno od hamowanej złości.

Oto spotkał się on przed chwilą z Philolaosem, który ośmielił się żądać od niego, Kaliasa, wydania Nehurabheda, jako szpiega i podejrzanego włóczęgę. Dowiedzieć się musiał skądś o jego pobycie na statku syrakuzkańskim. Mówił tedy Kaliasowi, że ma rozkaz od Sparty schwycenia i uwięzienia tego człowieka, widząc zaś, że argument ten nie trafia zupełnie do przekonania Syrakuzkańczykowi — ofiarował mu pieniądze za wydanie Nehurabheda. Kalias był tym dotknięty do żywego i odpowiedział ostro Philolajowi, że może w Sparcie wydaje się swych gości za pieniądze, ale w Syrakuzach tego zwyczaju nie ma.

— Podróżnik na moim statku, to gość w moim domu — mówił z dumą — a rozkazy spartańskie nie sięgają, dzięki Zeusowi, aż do Syrakuz. Przemówili się tedy mocno, a Philolaos już z pasją rzucił w oczy Kaliasowi, że przyjął na swój statek zarażonego, zapowietrzonego łazęgę, który roznosi wstrętną ospę po wszystkich portach Grecji.

Te ostatnie słowa wyprowadziły Kaliasa z równowagi. Wściekły był już nie tylko na zuchwale żądanie Spartan, ale i na Nehurabheda, że śmiał bezpośrednio po przebytej strasznej chorobie władować mu się na statek z obrzydłą zarazą w skórze i jeszcze sypiać sobie i jeść z nim razem i jego ludźmi.

Melikles zaniepokoił się; widząc zaś, że cała sprawa i tak wyszła na jaw, opowiedział Kaliasowi o wszystkim, o udanej chorobie Nehurabheda, o wyprowadzeniu przezeń w pole Spartan, o wyrzuceniu przemocą na ląd w Epirze.

Kalias z początku wcale słuchać nie chciał, potem patrzył z niedowierzaniem na chłopaka, potem ze zdumieniem, wreszcie gdy pojął całą prawdę, zaniemówił i milczał jakiś czas.

Nagle brzuch począł mu się trząść, rękami jął trzepać się po udach, poczerwieniał jak burak, aż parsknął niewstrzymanym, szerokim, gromkim śmiechem. Zakrzuszył się, aż łzy pociekły mu z oczu, wbiegł na statek, uściśkał Nehurabheda, który przyjął ten wybuch czułości z najwyższym zdumieniem, po czym wrócił z powrotem na ląd.

Pobiegł czym prędzej do zajazdu na wybrzeżu, gdzie spotykali się wszyscy żeglarze i robotnicy portowi. Zastał tam jeszcze Philolaosa z towarzyszami i gromadkę ze swej własnej załogi.

Teraz dopiero zaczął sobie używać. Naśmiewał się z bezgranicznej naiwności Philolaosa, natrząsał się i naigrawał, kpil i szydził, aż wszyscy wokół trzymali się za brzuchy. — Mieli go w ręku — krzyczał — mieli go w ręku, kazali mu wyjść, o zacni bogowie, jeszcze go namawiali, żeby prędzej. Może go jeszcze obdarowali na drogę, żeby tylko poszedł. O, łaskawcy! O, dobroczyńcy!

Philolaos był wściekły, Spartanie chcieli już rzucić się z pięściami na Kaliasa, ale Syrakuzanczyków było więcej i wciąż przybywali nowi, zwabieni niepowszednią wrzawą czynioną przez ich przywódcę. Spartanie wyszli tedy jak niepyszni, z hukiem i trzaskiem, klnąc, pomstując i złorzeczając — i na tym na razie skończyła się awantura.

Ale obie załogi patrzyły odtąd na siebie wilczymi oczami, a przy każdej okazji wybuchały drobne zatargi i kłótnie.

Nehurabhed, mimowolny sprawca całego zajścia, nie był zbyt zadowolony ze swej niespodzianej sławy. Również Sotion, właściwy dowódca statku, który, będąc chorym, nie ruszał się z pokładu, zły był, że sprawa zaszła tak daleko. Przyznawał, że żądanie Philolaosa było bezcelne, wolałby jednak uniknąć zatargu z groźnymi zawsze Spartanami.

Za to Kalias był w siódmym niebie. Policzył on sobie prędko i dobrze, że załogi obydwóch statków są mniej więcej równe, ale w razie awantury wioślarze jego, ludzie wolni i starzy znajomi z Syrakuz, staną za nim murem do walki, Spartanie zaś swych wioślarzy — niewolników do pomocy oczywiście nie wezmą. Był tedy dobrej myśli i nie żałował niczego.

Melikles, widząc jego zawziętość na Philolaosa, pomyślał, że może warto i jemu opowiedzieć o swych zamiarach ułatwienia ucieczki galernikom.

Przedewszystkiem jednak należało porozumieć się z Nehurabhedem.

Ale stary człowiek, dowiedziawszy się o co chodzi, począł mu odradzać samo nawet wdawanie się w rozmowy z niewolnikami. — Nie wiesz, chłopcze, na co się narażasz, nie wiesz, jak okropnie karze prawo za pomaganie w ucieczce niewolnikom. — Prosił go tedy o zaniechanie tych dziecinnych pomysłów, a w głosie jego drgał żywy niepokój i wzruszenie. Ale upór chłopca wzrósł jeszcze; na wszystkie tłumaczenia zaciskał tylko zęby i zaciął się w milczeniu. Nehurabhed odczuł to widocznie, bo powiedział już z urazą w głosie: — Nie myśl tylko, Meliklesie, że zawsze będę mógł cię ratować.

— Jednak tyś, panie, ratował mnie wówczas, czemuż mnie nie pozwalasz robić tego samego? — wybuchnął chłopak.

— Ratowałem cię według prawa i tak, że nikt nie mógłby nic mi zarzucić.

Melikles spuścił głowę.

A starzec mówił po chwili bardzo poważnie: — I cóż ty chcesz czynić, chłopcze? Uwolnić tych niewolników, jednego czy wielu. Wszystkich na świecie nie uwolnisz, nie wyratujesz z niedoli. Gdybyś jeszcze choć znał tych nieszczęśników i dlatego im właśnie chciał dopomóc, ale ty przecie nie znasz ich nawet.

— Ale znam niewolę — szepnął chłopak.

Stary człowiek położył mu ręce na ramionach, patrzył długo w twarz.

— Tak nie można żyć, Meliklesie — mówił z naciśkiem — tak nie można żyć — słyszysz?

Melikles nie odpowiadał wprost, patrzył nieruchomo w przestrzeń, i powtarzał z jakąś tępą rozpaczą: — Nie mogę ich zostawić już teraz, nie mogę!

Nehurabhed, chcąc przełamać upór chłopca, sam doradzał mu rozmówić się z Kaliasem. Pewny był sprzeciwu sprytnego Greka i nie pomylił się.

Kalias przede wszystkim nie rozumiał, o co idzie.

To, żeby ktoś troszczył się o cudzych niewolników, w dodatku nie Hellenów, nie mieściło mu się w głowie. Pojął wreszcie całą sprawę tak, że Melikles chce wyrządzić w ten sposób okropną psotę Spartanom i ta myśl dosyć mu się spodobała. Ale rozumiał, że pomysł jest niewykonalny, a może narazić chłopca na straszne niebezpieczeństwo. W kilku słowach wykazał jak na dłoni zupełne niepodobieństwo ucieczki.

— Niewolnicy — mówił — nie wszyscy rozkuwani są do robót, tylko część, najwyżej połowa — 20 do 25 ludzi. Pilnuje ich wprawdzie tylko trzech, może czterech, dozorców, ale cała załoga jest w pobliżu, gotowa na pierwszy sygnał straży. Co najważniejsze jednak i rozstrzygające zupełnie, to to, że galernicy nie umieją biegać. Czy ty widziałeś, Meliklesie, jak oni chodzą? — pytał.

Istotnie Melikles sam zwrócił uwagę, że chód nieszczęsnych galerników jest inny — niezgrabny jakiś, ciężki, nieporadny, jak kaczek na piasku.

— Oni nie umieją nawet porządnie chodzić — powtórzył Kalias. — Przez całe lata zapomnieli o jakimkolwiek innym ruchu prócz wiosłowania. Nie robią przecież całego życia nic, zupełnie nic innego, tylko ciągną i pchają wiosła. Na wodzie nie dogoniłby ich może nikt na świecie,

ale na łądzie złapie ich nawet dziesięcioletni chłopak. Rozumiesz, Meliklesie?

Melikles rozumiał dobrze, rozumiał też, że cały jego plan rozpada się w gruzy, ale zwrócił jednocześnie uwagę na co innego.

— A gdyby uciekli właśnie wodą? — zapytał.

— Jak to?

— Gdyby opanowali łódź i uciekli na niej?

Kalias wzruszył ramionami. — To może miałyby więcej sensu — rzekł po chwili — ale musieli by wtedy przede wszystkim pobić dozorców, po drugie odbić od brzegu i uruchomić łódź przed przybyciem załogi. Nie, to niemożliwe.

— Gdybyś ty, panie, pozwolił zabrać mi stąd z pięć, sześć mieczy i uzbroić choć kilku niewolników — mówił chłopiec z nieśmiałym uporem.

Ale Kalias oburzył się. — Ładne by to były rzeczy, żeby uczciwy, porządny kupiec i dowódca statku handlowego wdawał się w spiski z niewolnikami.

— Przecież nikt nie wiedziałby o tym — bronił swej sprawy chłopak.

Ale Kalias zakazał nawet wspominać sobie o tym. Zapowiedział mu też surowo, aby przestał raz na zawsze zajmować się takimi głupstwami.

I na tym urwała się rozmowa.

Ale w głowie upartego chłopca utkwiała myśl o ucieczce morzem, o opanowaniu barki. I gdy nadeszła noc, przekradł się znów do spartańskiej galery i rozmawiał długi czas z Tyreńczykiem.

Tym razem jednak nie wrócił niespostrzeżony.

Nehurabhed nie spał i oczekiwał go z niepokojem, chodząc po pokładzie. Gdy przyszedł, rzekł mu tylko z wyrzutem: — Gubisz się, mój chłopcze, pamiętaj.

Ale już mu nie odradzał więcej.

Następny dzień był brzemienny w wypadki. Przede wszystkim z samego rana kilku żeglarzy syrakuząńskich przyniosło na statek kawał zielonego, świecącego się kamienia, który znaleźli w ziemi tuż przy ruinach pałacu. Kamień wyglądał jak polerowany i stanowił część dużej zapewne kolumny, zarytej całkowicie w gruzach ziemi. Nehurabhed rozpoznał w nim bez trudu cenny odłam malachitu. Wartość całej kolumny mogła być dość znaczna, toteż natychmiast kilkunastu Syrakuzńczyków z łopatami, dzidami i siekierkami wyruszyło na miejsce odkrycia.

W chwilę jednak po nich zjawili się tam również i Spartanie z Philolaosem; sprowadzili z sobą chłopą z Herakleion, właściciela tego kawałka gruntu, na którym znaleziono kolumnę. Powołując się na prawo chłopą do tej ziemi zabraniali Syrakuzńczykom dalszego rozkopywania gruzów.

Licho wie, skąd Spartanie dowiedzieli się o wszystkim, może nie obcy całej tej sprawie był Nehurabhed, który przechadzając się w pobliżu statku po wybrzeżu z dziwną u niego gadatliwością rozповідаł od rana każdemu spotkanemu rybakowi o „wielkim odkryciu“ Syrakuzńczyków.

Tak czy owak, wybuchła znów awantura. Syrakuzanie ani myśleli ustąpić; wobec przewagi chwilowej Spartan ściągnęli posiłki ze statku.

Przyleciał sam Kalias z gromadą robotników — wioślarzy zatrudnionych przy naprawie łodzi. Wrzaski i krzyki podniosły się wówczas takie, że słyhać je było w całym porcie, choć odkopywany filar leżał na drugim końcu miasta.

Melikles słysząc to skoczył również z mieczem w ręku, pewny, że zastanie wszystkich w bitwie.

Na razie jednak bitwy nie było. Obie strony trzymały się w przyzwolonej odległości, grożąc sobie pięściami, mieczami, łopatami — czym kto mógł.

Za to wrzeszczano co niemiara, cała walka odbywała się na języki.

I tu okazało się, że nikt nie może dorównać Kaliasowi. Jego tubalny głos górował nad całą wrzawą; z rozwartych ust płynął niewstrzymany potok klątw, wymyślań i szyderstw.

Syrakuzanie stali oczarowani niezwykłym talentem swego wodza. Oto mistrz nad mistrze. Może godzinę wymyślać nie powtarzając ani razu tego samego przekleństwa. Co jakiś czas, gdy szczególnie trafne porównanie wzbudzało ogólny zachwyt, wybuchał gromki śmiech, potem krzyki rosły znów pod niebiosa. Philolaos nazywał wprawdzie też Kaliasa „obżartym wieprzem“, co rozjątrzyło bardzo Syrakuzńczyka, ale przecież widoczne było mimo to dla wszystkich, że w straszliwym pojedynku na języki właśnie on, Kalias, odnosił wspaniałe zwycięstwa.

Spartanie nie mogli znieść tak druzgocącej przewagi przeciwnika i zaczęli obrzucać kamieniami groźnego mówcę. Jeden z odłamków trafił w sam brzuch Kaliasa i przerwał potok jego wymowy. Trzymając się oburącz

za żołądek Kalias wycofał się z wolna z pierwszych szeregów.

Spartanie zapowiedzieli wówczas, że każdemu, kto się zbliży do rozkopywanej kolumny, rozwalą łeb kamieniem albo ustrzelą go z łuków, albo zadźgają mieczami. Syrakuzanie obiecali to samo Spartanom. Rozłożyli się tedy dwoma obozami, a w pośrodku nich leżała nienaruszona malachitowa kolumna.

Tak mijały godziny. W końcu obie strony zniecierpliwiły się i popowracały na statek pozostawiając tylko czaty, które miały natychmiast wezwać załogi, w razie gdyby przeciwna strona ośmieliła się dotknąć nieszczęsnej kolumny.

Czaty miały stać w ten sposób całą noc.

Kalias wrócił niesłychanie rozdrażniony.

Bolała go nazwa obżartucha, bolał brzuch od niegodziwego uderzenia, krew burzyła się w nim, w mózgu dojrzywał zamiar piekielnej zemsty. Chodził długo wielkimi krokami po pokładzie, wreszcie wezwał do siebie Meliklesa. Zaprowadził go w odludny kąt statku, rozejrzał się, czy nikt nie podsłuchuje, i odsapnąwszy srogo, rzekł:

— Meliklesie, dam ci te sześć mieczów. Niech Hades pochłonie Philolaosa, Sosiasa i wszystkich Spartan. Dam ci te sześć mieczów. To jest, nie dam ci, ale gdybyś chciał je wziąć, ukraść po prostu, bez mojej wiedzy i woli, to miecze te są w wielkiej skrzyni pod pokładem u dziobu statku.

Kalias poczuł się nagle wielkim, olśniewającym, genialnym, odkrył w sobie zdolności urodzonego wodza, strategosa, Agamemnona i Odysseusza jednocześnie. Oczy zabłysły mu ogniem. W paru słowach przedstawił chłopcu swój plan, plan zdruzgotania nędznego Philolaosa.

— Niech niewolnicy chwycą za broń — mówił — niech opanują łódź i odbiją od brzegu, i niech płyną sobie

na złamanie karku, gdzie chcą. Ale niech nie robią tego po wariacku, gdy cała załoga spartańska jest w pobliżu i na pierwszy krzyk wsiądzie im na karki. Nie. To byłoby beznadziejne. Muszą poczekać, aż zrobi się gwałt na górze za miastem przy tej przeklętej kolumnie. Dopiero gdy ujrzą, że cała załoga spartańska pobiegła tam, na ratunek swoim, niech zaczynają z dozorcami. Atak jednocześnie z dwóch stron — zrozumiałeś, Meliklesie?

Melikles zrozumiał i oczy zaświeciły mu jak wilkowi. A Kalias mówił dalej: — Czy tak, czy owak Philolaosa szlag trafi, a o to tylko chodzi. Spraw to, o wielki Zeusie, opiekunie sprawiedliwych, a ofiaruję ci jałówkę i póki życia wielbić cię będę.

— Pamiętaj tylko, Meliklesie — zwrócił się znów surowo do chłopca — że ja o niczym nie wiem, nie słyszałem nic o żadnych galernikach, żadnych mieczach, w ogóle nic. Gdyby cię złapali albo gdyby niewolnicy cię wydali, wyprę się ciebie, wyrzeknę, poświęcę bez wahania, niech cię zabiją, zakatrupią, wsadzą na rożen — wszystko mi jedno.

Tu pomyślał, że prawdopodobnie nie mógłby dotrzymać tej strasznej groźby, więc dorzucił z jeszcze większą złością:

— Wreszcie, czy cię wydam, czy nie, to moja rzecz, w każdym razie musisz tak robić, jakbyś myślał, że cię wydam.

Melikles skinął głową.

— A teraz milcz, odejdz i w ogóle nie zbliżaj się do mnie — dodał na zakończenie Kalias, odchodząc szybkimi krokami.

* * *

Losy były rzucone.

Tej nocy Melikles dwukrotnie podkraśniał się do spartańskiej galery.

Musiał być jeszcze ostrożniejszy niż zwykle, bo Spartanie wystawili straż. Obawiali się oni, że Kaliās w nocy spróbuje zawładnąć cenną kolumną i chcieli być w gotowości. Straż jednak stała na brzegu, wytężając cały słuch w głąb lądu, w stronę swej czaty wystawionej na drugim końcu miasta. Poza tym czuwali jak zwykle dozorczy przy galernikach pod pokładem.

Na samym pokładzie nie było nikogo. Noc była dżdżysta, spokojna, ale wyjątkowo ciemna. W tych warunkach Meliklesowi udało się bez wielkiego trudu, przewiesiwszy się przez burtę, wsunąć pomiędzy beczki cenny ładunek broni — w umówione z Tyreńczykiem miejsce.

Zrobiwszy swoje, wrócił czym prędzej na statek.

Kaliās spotkał go na pokładzie, ale nie zamienił z nim słowa. Kiwnęli sobie tylko głowami.

Nadszedł wielki dzień.

Wszyscy rozumieli, że zbliża się rozstrzygnięcie. Naprawy były dokonane, statek gotów, Sotion, chory, naglił do pośpiechu; odjazd miał więc nastąpić dziś jeszcze, najdalej jutro rano. Więc dzisiaj skarb malachitowy albo musiał być rozkopany, albo pozostawiony Spartanom.

Oczy całej załogi zwracały się na Kaliasa, ale ten zachował spokój i zimną krew. Jak prawdziwy wódz przed bitwą niczym nie zdradzał wzruszenia. Dopiero kiedy ujrzał, że na spartańskiej barce zaczął się normalny ruch i niewolnicy przystąpili do zwykłego noszenia towarów — uznał, że godzina wybiła.

Powoli, niepostrzeżenie ściągnął kilkunastu ludzi załogi na piaszczyste wybrzeże za statkiem, sprawdził uzbrojenie, objąwszy dowództwo — poprowadził tyłami miasta chyłkiem poza domami ku kolumnie na wzgórzu. Na statku pozostało kilkunastu wioślarzy i robotników. Ci mieli również miecze pod ręką, ażeby w razie czego bronić statku przed atakiem.

Kaliās nie zapomniał o niczym.

Melikles pozostał na statku chcąc widzieć wszystko z pokładu. Serce waliło mu w piersiach jak młotem; krew pulsowała w skroniach.

Przez długi czas trwała cisza, nie działo się nic. Wreszcie Melikles usłyszał jakby dalekie krzyki, a potem od razu w jednej chwili, jak na komendę, spośród zabudowań nadbrzeżnych wysypał się rój żeglarzy spartańskich. I oni też musieli być w gotowości, bo wybiegli niemal natychmiast, z bronią gotową w rękę i rzucili się wielkim pędem za miasto.

I znów była pozorna cisza, wszyscy taili dech w piersiach wsłuchując się w dalekie odgłosy na drugim końcu zatoki.

Melikles jeden patrzył na łódź spartańską. — Teraz, teraz, teraz powinni zaczynać; czemu zwlekają jeszcze. Bogowie, bogowie! Noszą dalej ciężary, popędzani batami dozorców, pokorni, zgarbieni, jak gdyby nigdy nic. A tu z daleka dobiega już wrzawa, gromki huk dalekiej walki.

Melikles wyłamywał sobie palce z rozpacz.

Nagle bliski, straszny krzyk rozdarł powietrze. Człowiek jakiś zepchnięty z pokładu spartańskiej galery zwałił się głową w dół w morze. Jednocześnie na wybrzeżu powstał nieludzki tumult; niewolnicy rzucali ciężary biegnąc hurmem ku barce. Na pomoście wrzała bitwa, błysnęły miecze, ktoś znów zwałił się w wodę, ktoś jęcząc wzywał pomocy, ktoś zeskokczywszy w morze płynął do brzegu. Galernicy przepychali się ku statkowi tłocząc się i gniotąc w pośpiechu. Za chwilę byli już wszyscy na pokładzie, zwalili pomost, odcinali i odrywali cumy.

Syrakuzaneczycy patrzyli na wszystko z najwyższym zdumieniem.

Jeden z dozorujących Spartan biegł z krzykiem do miasta.

Melikles zaciskał palce na burcie statku. Pot ściekał mu z twarzy.

— Zeusie, Zeusie, czy aby zdążą odbić od brzegu — szeptał przez zaciśnięte wargi.

Na spartańskiej galerze trwał gorączkowy ruch, gromadki ludzi biegały tam i sam bezładnie, spod pokładu wysunęły się wiosła. Wciąż jednak trwali przy brzegu.

Chłopak drżał jak w febrze.

Nagle ujrzał wracające z góry przez miasto szeregi żeglarzy spartańskich. Biegli bez tchu, na łeb na szyję, aby tylko zdążyć jeszcze na statek, pochwycić i zgnieść zuchwałych buntowników.

A barka wciąż stała w miejscu.

— Nie widzą ich chyba — myślał chłopak. Chciał krzyczeć, gryzł palce z bezsilnej wściekłości.

Nehurabhed położył mu rękę na ramieniu, zaciskając ramię aż do bólu, aż do zdrętwienia.

Spartanie dobiegali już. Ale wtedy właśnie łódź drgnęła nagle, zachwiała się i odepchnęła od brzegu. Wiosła zaczęły pracować. Odległość od lądu zwiększała się z każdą chwilą.

Chłopiec odetchnął ciężko.

Philolaos z towarzyszami biegali chwilę bezradnie, zaczęli wreszcie walić za uciekającą barką kamieniami, włóczniami, grotami dzid, czym popadło. Barka oddalała się coraz bardziej. Zrozpaczeni, wściekli wskoczyli do jednego z małych żaglowców, stojących na brzegu, chcąc płynąć w ślad za barką. Przeważyli małą łódź gwałtownym najściem, łódź się zachwiała i pograżyła w morze. Część z nich wydobywszy się wsiadła zaraz na inny żaglowiec, reszta biegła z krzykiem wzdłuż wybrzeża.

Pościg na małym żaglowcu, opatrzonym co najwyżej w dwie, trzy pary wiosel w bezwietrzny, cichy dzień

za wielką czterdziestowiosłową barką, był zupełnie beznadziejny.

A zbuntowana galera dotarłszy do środka zatoki uczyniła zwrot na miejscu i szła teraz całą siłą wprost na morze. Wiosła poruszały się z cudowną sprawnością.

Meliklesowi wydawało się, że widzi przy sterze znajomą postać Tyreńczyka. Sterowali wprost od brzegu, na otwarte morze, na północ. Gonili za nimi bezsilne krzyki ich dotychczasowych nieludzkich panów i władców. Ci rwali sobie włosy z żalu i wściekłości. Pierwszy raz w życiu nie mogli ofiar swych dosięgnąć batem. Cała pasja ich za to zwróciła się teraz przeciw Syrakuzanczykom, których posądzali o znowę z buntownikami. Gniew ich doszedł do szczytu, gdy ujrzeli wracające zza miasta gromady żeglarzy syrakuzkańskich z Kaliasem na czele. Kalias odkopał tylko część kolumny, przekonał się, że cały blok rozbity jest na kawałki i zdruzgotany, pozbierał tedy to tylko, co było wydobyte z gruzów i ruszył wraz z tym łupem i całą załogą cwałem z powrotem do statku.

Przybył istotnie w porę, Spartanie bowiem nie bacząc na nic chcieli na kimkolwiek wyrzucić swą zemstę. Było to istne szaleństwo. Kilku Spartan zginęło w walce z niewolnikami, część wyruszyła z żaglowcem na morze, reszta z Philolaosem na czele nie dorównywała liczbą nawet połowie Syrakuzanczyków.

I byliby Spartanie mimo całego męstwa drogo przypłacili wybuch wściekłości, gdyby nie Sotion.

Ten miał już dosyć całej awantury, zdumiał się, gdy usłyszał, że posadzają go o znowę z galernikami i wprost, jak leżał, z pościeli wybiegi na brzeg. Nie bał się Spartan, ale bał posądzenia o spiski z niewolnikami, bał się, że po całej bijatyce utraci na zawsze możność handlowania z Tarentem.

Wbiegł tedy między walczących już swych żeglarzy i pohamował ich zapal, z drugiej strony stary Sosias, wi-

dząc że w beznadziejnej walce stracić musi resztę załogi, powstrzymywał, jak mógł, Philolaosa.

W ten sposób i tym razem nie doszło do właściwej bitwy.

Sotion chcąc odwrócić podejrzenie, że umyślnie podburzył galerników, aby w zamieszaniu zawładnąć kolumną, kazał zaprzestać dalszych odkopywań i wracać na statek.

Kalias po krótkiej kłótni ze swym zwierzchnikiem musiał ustąpić, zresztą pragnienie zemsty jego zostało w pełni nasycone, a wartość rozbitej w kawałki kolumny była o wiele mniejsza, niż się spodziewał.

I tak skończyło się wielkie spotkanie Spartan z Syrakuzańczykami.

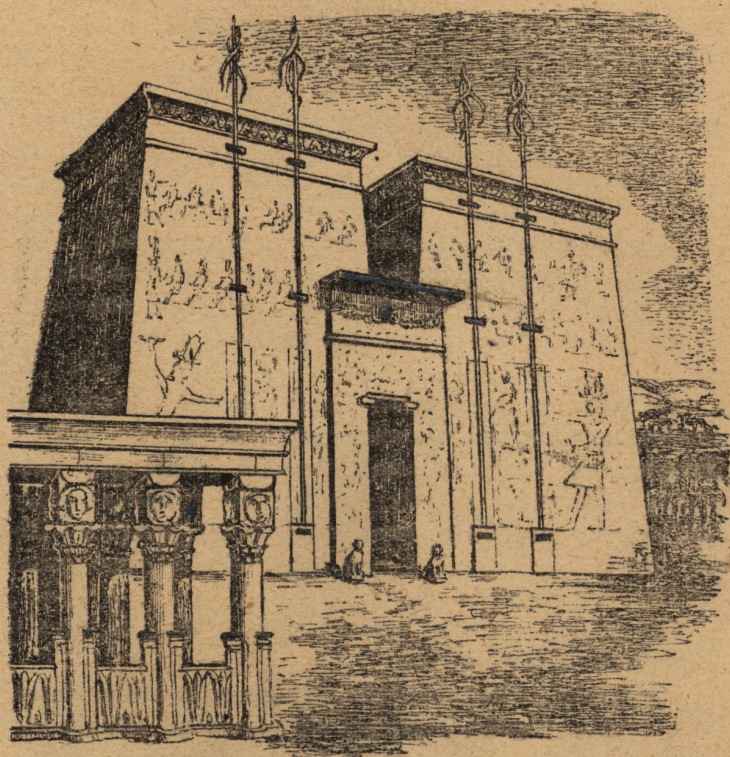
A w parę godzin później odbiła barka syrakusańska od brzegów „spokojnego, cichego“ portu w Herakleion.

* * *

Nehurabhed i Melikles stali przy burcie. Starzec spod oka, ale bardzo uważnie, przyglądał się chłopcu. A ten wyprostowany, jakby wyższy niż zwykle, patrzył przed siebie — w morze. Patrzył na północ, tam gdzie zniknęła w oddaleniu galera zbuntowanych wieślarzy. Co stanie się z nimi, dokąd dopłyną, gdzie zanieś ich niespokojna fala, czy rozproszą się po obcych brzegach, czy dotrą do swych miast i rodzin, co przyniesie im jutro — nie wiadomo.

To tylko wiadomo, że uchwycili znów ster, ster życia w swoje ręce, że mogą znów starać się, zabiegać, pracować o swoją dolę, że nie są już tylko haniebnym, okrcpnym splotem mięśni, pchanych cudzą wolą, że stali się znów ludźmi.

A człowiek któż jest, jeśli nie ten, który walczy o swój los. I nie tylko o swój — prawda, Meliklesie?



CZĘŚĆ II

Memfis — stolica Egiptu. Święte miasto bogów — i bogom równych władców wiecznego państwa. Miasto stare jak Nil i jak piasek pustynny, i jak odwieczna walka błogosławionej rzeki z demonem pustyni.

Melikles w pierwszych dniach swego pobytu był oszołomiony zarówno ogromem jak niezwykłością miasta. Chłopiec znał wielkie miasta. Przecież i Kartagina była wielka, przecież i tam były całe dzielnice zwłaszcza uboższe, zabudowane kilkupiętrowymi domami, przecież i Milet, i Syrakuzy, i nawet Tarent były rojne, gwarne, pełne zgłębionych placów i ulic.

Tu jednak wszystko było nie tylko wielkie, ale przede wszystkim odmienne.

Ogromna rzeka, niezmiernie długie nabrzeże portowe, ulice proste, wąskie, ciągnące się nieraz po kilkanaście stadiów, zabudowane ciasno trzypiętrowymi domami. Domy te nie różniły się od siebie, pokryte kiedyś jaskrawo kolorowymi tynkami, spłowiały teraz i odrapane — stały się jednakowo szare i brudne. Liczne z nich, niezamieszkałe od lat, puste, sterczały teraz stare, niepotrzebne nikomu, walące się powoli w gruz rozsypując się z każdym rokiem więcej, świecąc na zewnątrz pustymi dziu-

rami okien. Z bram i drzwi wysypywały się na ulicę rumowiska cegieł i gliny, jak piargi rozkruszonych skał.

Te ogromne szkielety dawnych ludzkich pomieszczeń, niespotykane w żadnym innym mieście, sprawiały przynębiające wrażenie.

Samo miasto nie zamierało jednak. Nie brak było na ulicach ludzi. Tylko nie było w nim zwykłego w wielkich portach zgiełku, szumu, hałasu. A jeśli słychać było czasem gwar, krzyki i klótnie — to z pewnością byli tam Fenicjanie albo Grecy, albo Syryjczycy. Sami Egipcjanie wyróżniali się nie tylko miedzianą barwą swej skóry, ale przede wszystkim spokojem. Nie śmieli się, ale co najwyżej uśmiechali, nie biegli, ale przyśpieszali kroku, nie krzyczeli, tylko podnosili głos. W oczach ich była jakaś senność, jakby znużenie, jakby obojętność dla wszystkich spraw tego świata. Ludność cała była uboga, pokorna, wynędzniała i smutna. Rzadko tu można było spotkać pojedynczo włóczących się przechodniów, za to coraz to przechodziły śródkiem ulic gromadki robotników pod komendą jednego człowieka z kijem. Jedni z nich nosili towary, drudzy prowadzili juczne zwierzęta, trzeci pchali wozy ładowne. Melikles sądził z początku, że wszystko to są niewolnicy. Mylił się jednak. Była to zwykła ludność miejska, zatrudniona przy robotach portowych, przy wyładowywaniu statków, przy naprawie kanałów i regulacji brzegów.

Życie ich jednak nie różniło się istotnie od życia niewolników. Od wieków każdy wysilek ich, każdy dzień wolny, każdy okrucieństwo i zdrowia, brany był z całą bezwzględnością przez wszechmocne państwo, potrzebujące nieustannie dla swych wielkich celów wszystkich zasobów pracy ludzkiej.

Powoli, powoli ludzie oduczeni zostali przez przewidyjących kapłanów od tego, aby żądać czegokolwiek dla

siebie, dla rodzin swoich. Posłuszni, karni, nie buntowali się nigdy przeciw wszechwładnym kapłanom i wysokim urzędnikom królewskim, brali w spokoju kije, które były powszednim chlebem w świętym kraju, i pracowali, pracowali, pracowali. Tylko oczy ich były coraz posępniejsze, siła i krwi coraz mniej, w twarzach była już tylko tępota i obojętność. Ludność zmniejszała się, kurczyła powoli, ale nieustannie. Egipt upadał. Doszło do tego, że dostał się w niewolę największych swych wrogów Asyryjczyków, z której wyzwolił się dopiero po kilkudziesięciu latach przy obcej pomocy, rękami i krwią najemnych żołnierzy greckich.

Do dawnej świetności wrócić już jednak nie mógł. Na zewnątrz wprawdzie, na pozór wszystko szło dawnym, odwiecznym trybem.

Kapłani i wysocy dostojnicy państwowi opływali w dostatki, mieli piękne pałace, ogrody, roje niewolników, wspaniałe lektyki, przepyszne rzeźbione łodzie.

Wojsko było dość liczne i dobrze uzbrojone, składało się jednak niemal w połowie z najemnych żołnierzy greckich, etiopskich, libijskich.

Porty były rojne, pełne okrętów, ale wszystkie te okręty, wszystkie składy, warsztaty okrętowe należały do przedsiębiorczych Fenicjan.

Przez nich również, przez obrotnych Fenicjan trzymane były w dzierżawie najżyźniejsze ziemie, najbogatsze majątki.

Melikles zdumiewał się spotykając w miastach, leżących bliżej morza, ogromne ilości cudzoziemców: Greków, Fenicjan, Libijczyków, Etiopów, Syryjczyków, Arabów, Żydów.

Tu w starożytnym Memfisie, położonym w głębi kraju, cudzoziemców tych było znacznie mniej, jednak i tutaj całe dzielnice zamieszkałe były przez obcych.

Egipska ludność miasta, uboga, przemęczona, patrzyła z zawiścią na tych wiecznie ruchliwych przybyszów o odmiennych obyczajach, strojach, mowie i religii.

A oni sami też kłócili się między sobą: Fenicjanin patrzył z nienawiścią na Greka, a Grek na Fenicjanina, raz wraz wybuchały spory i niesnaski.

Mądrość przebiegłych kapłanów i urzędników wielkiego króla utrzymywała, jak mogła, w karchach te obce sobie żywioły nie pozwalając tłumionej niechęci zmienić się w otwartą walkę.

* * *

Melikles stał w przedsionku wielkiej świątyni boga Ptah, najstarszej i najczcigodniejszej świątyni w Memfisie. Właściwie stał tylko jakby w przedsionku dziwnego, kamiennego miasta; świątynia bowiem składała się z kilkunastu wielkich świątyń połączonych kolumnadami, szerokimi schodami, wewnętrznymi tarasami wyższymi i niższymi, rozdzielonymi murami potwornej grubości z kwadratowymi wieżami, które wychodziły ponad płaskie dachy szarych, prostopadłych, olbrzymich ścian.

Chłopak czekał na swego mistrza, towarzysza i pana, na Nehurabheda, który udał się na naradę z świątobliwymi dostojnikami kościelnymi.

Czekając rozglądał się wokół z zabobonną trwogą. Nad nim wznosiły się dwa rzędy kolumn, ciężkich słupów kamiennych, stojących ciasno koło siebie. Kolumny te wypełniały zda się sobą całą przestrzeń, przytłaczając patrzących niezmiernym kamiennym ciężarem.

Skąpe światło padające od otwartych drzwi i otworów w powale nie rozjaśniało mroku. W świątyni było prawie ciemno, ponuro, cicho i pusto. Dwóch żołnierzy w służbie kapłańskiej stało nieruchomo u wejścia. W głębi przedsionka była brama, zawieszona od góry do dołu olbrzymią kotarą, migocącą w niepewnym świetle fioleto-

wopurpurowymi odblaskami, prowadziła cna do pierwszej „dolnej świątyni“.

Melikles podszedł bliżej, odsunął ciężką zasłonę i spojrział w głąb.

We wnętrzu panował również mrok, na podłodze tylko stały ogromne trójnożne znicze, żarzące się żółtymi płomykami. Od płomyków tych rozchodziło się blade światło, nieśmiało pełzając po szarych kolumnach, po kamiennej podłodze i po stopniach wielkiego posągu zajmującego środek świątyni.

Posąg z czarnego granitu wyobrażał nieznane bóstwo w pozycji siedzącej, ze złożonymi na kolanach dłońmi. Twarz bóstwa, ginąca na poły w mroku ogarniającym górę świątyni, patrzyła wielkimi kamiennymi oczami w przestrzeń z jakimś wszystko wiedzącym spokojem i doskonałą obojętnością.

W całej niezmiernej potędze, zawartej w granitowych rysach, było zarazem coś tak nieludzkiego, tak obcego naturze człowieczej, że Melikles uczuł dreszcz grozy i przerażenia. Po swoich, greckich bogach, którzy byli tylko jakby starszymi braćmi ludzi, po bogach, którzy mieli wszystkie ludzkie uczucia, ludzkie namiętności, gniewali się i cieszyli, mścili się i przebacжали jak każdy zwykły człowiek — oto bóg jakże inny, niepojęty, niezrozumiały, nieziemski. Melikles uczuł się nagle słaby, mizerny, wątpy wobec tajemniczej, wszechmocnej siły zamkniętej w milczącym kamieniu.

Spuścił zasłonę i cofnął się.

W tej chwili jakaś ręka dotknęła jego ramienia. Przy nim stał kapłan egipski, w długiej szacie spadającej do stóp. Milcząc dał znak chłopcu, aby szedł za nim. Melikles usłuchał sądząc, że to Nehurabhed wzywa go do siebie. Kapłan wywiódł go na zewnątrz świątyni i doprowadził do małego podwórka, zamkniętego zewsząd murami.

Zza murów tych, ze szczelin, znajdujących się tuż nad ziemią, dochodziły głosy jakieś, jakby jęki, jakby bolesne zawodzenia. Melikles wzdrygnął się. Kapłan dotknął znów jego ręki. — Tam jęczą ci, którzy chcieli poznać tajemnicę naszych świątyń — rzekł po grecku. Następnie odszedł.

Melikles zawrócił do przedsionka, ale już nie wszedł, stanął możliwie najbliżej wyjścia na plac przed świątynią. Drżał z niepokoju i podniecenia.

Oczekiwanie na mistrza i towarzysza skracał sobie przyglądaniem się wspaniałemu zaprzęgowi, który również czekał na placu przy bramie. Cztery niezwykle piękności białe rumaki z kitami barwnych piór nad łbami niecierpliwiły się, chrapały, zaprzęgnięte w jeden rząd do wozu — rydwanu lśniącego od miedzianych kół, obręczy i guzów nabijanych na czterech wąskich drewnianych kolumnach. Na tych podporach narożnych narzucona była błada zasłona jedwabna, niby dach czy baldachim najlżejszy, który ocieniał wnętrze wozu z wspaniałym siedziskiem wybitym czerwoną materią. Przy koniach dwaj woźnice, ubrani też barwnie i uroczyście, rozmawiali w obcym, niezrozumiałym języku.

Czekanie trwało długo, aż Melikles przysiadł na stopniu schodów. Wtedy właśnie w głębi przedsionka zaczął się ruch. Czterech zupełnie czarnych, półnagich Murzynów, których prawie widać nie było w mrocznej głębi, rozchyliło ciężką zasłonę i wkrótce ukazało się od razu — dwóch Nehurabhedów.

W równie długich, powłóczystych szatach, z równie długimi, kędzierzawymi brodami szli równie spokojnie i majestatycznie, równie wysoko trzymając swe podniesione czoła nad równie krzaczastymi brwiami.

Dopiero gdy minęli połowę przedsionka, spostrzegł Melikles, któremu aż usta rozchyliły się w zdumieniu, że

gdy mistrz jego i pan okryty był płaszczem ciemnofioletowym i nosił jeden brązowy naramiennik powyżej łokcia a na czole skórzaną przepaskę z brązowymi nabiciami — ów drugi mistrz był w szacie ciemnopurpurowej, na obu rękach miał liczne złote bransolety, a z przepaski na wiosach zwieszały się złote gwiazdy na złotych łańcuszkach. Gdy byli zupełnie blisko, dostrzegł też więcej srebrnych włosów w szerokiej, długiej brodzie drugiego Nehurabhed.

Mijali go powoli schodząc po płaskich, szerokich stopniach, nagranych od upału; chłopiec słyszał, jak mówili obcą mową i nagle zrozumiał, że ów nieznajomy jest tym drugim posłem króla Medów, który poselstwo swoje uroczyscie odprawiał w Egipcie, a z którym spotkać się miał koniecznie Nehurabhed, i dlatego tak śpieszył do Memfis.

Obaj starcy, doszedłszy do wozu, jakiś czas jeszcze rozmawiali z sobą, potem pożegnali się paru poważnymi, głębokimi ukłonami; purpurowozłoty dostojnik wsiadł i odjechał, fioletowoszary skinął na Meliklesa i ruszyli do domu.

Chłopiec czuł mimo powagi i spokoju obu posłów, że obaj są zatroskani do głębi, toteż milczał idąc ulicami Memfis. Po dłuższym milczeniu Nehurabhed odezwał się jakby do siebie: — Tak, tajemniczy jest Egipt i niebezpieczny, bardzo niebezpieczny.

Dopiero wtedy odważył się Melikles opowiedzieć swoją przygodę w świątyni. Starzec wysłuchawszy uważnie zakazał mu stanowczo towarzyszyć sobie w wędrówkach do kapłanów egipskich.

— Mury tutaj są beznadziejnie grube i kryją różne groźne tajemnice. Memu dostojnemu przyjacielowi, który dziś właśnie wraca do naszej ojczyzny, nic nie udało się uzyskać, niczego dowiedzieć, nikogo

przekonać, choć cztery razy księżyc zmieniał oblicze, od-
kąd tu przybył w poselstwie. Może mnie się uda. Bardziej
jestem szary — kończył starzec mrucząc do siebie.

A kiedy już dochodzili do domu rzekł jeszcze do Me-
liklesa: — Strzeż się, chłopcze! Pamiętaj, że w Egipcie
lepiej mieć jedno oko przymknięte i niczego nie być cie-
kawym. Chyba — dodał mrucząc cicho w brodę — chyba,
że się musi. . . .



Melikles nie zmartwił się tym zakazem i spędzał odtąd całe prawie dnie w towarzystwie Kaliasa. Bywał u niego często na statku pomagając wraz z całą załogą przy wyładowywaniu towarów. Przede wszystkim jednak chodził z nim razem i ze starym Sotionem do kupca Philemona — Greka, u którego zatrzymali się obaj dowódcy syrakuzńskiej barki.

Philemon był zamożnym kupcem i dobrym znajomym Sotiona, posiadał duży hurtowy skład win i owoców, położony tuż przy porcie. Skład mieścił się w starym, zniszczonym już, dwupiętrowym domu. Cały parter i maleńkie podwórko zastawione było skrzyniami, beczkami z winem i koszami do owoców. Stał tu wóz, gotowy zawsze do wyjazdu, mieściła się stajnia z kilkoma mułami. Na pierwszym piętrze było mieszkanie samego kupca z rodziną i parę izb, w których jak Sotio i Kalias zatrzymywali się przyjezdni znajomi Philemona. Na drugim piętrze były strychy i pomieszczenia służby i robotników.

W całym domu od rana do wieczora panował gorączkowy ruch.

Melikles pomagał tutaj w rozstawianiu beczek z winem przybyłych z Syrakuz, w przebieraniu owoców. Kalias dziwił się nagłemu zainteresowaniu chłopca robo-

tami kupieckimi, do których nikt go nie zmuszał. Myślał nawet, że Melikles chce sobie obrać zawód handlarski i chce się uczyć u Philemona.

Jednakże powód gwałtownego zamilowania chłopca do stanu kupieckiego był zupełnie inny. Oto Philemon miał dużą rodzinę, kilkoro własnych drobnych jeszcze dzieci i starszą już dorastającą brataniczkę imieniem Anyte.

Anyte miała czternaście lat i była naprawdę śliczna. Włosy miała jasne, złotawe, koloru pszenicznej słomy, spadające miękką falą, na policzkach delikatne rumieńce. W twarzy jej klóciły się ze sobą figlarność i żywość dziecka z dorosłą powagą, którą sobie narzucić chciała.

Kiedy Melikles ujrzał ją po raz pierwszy i usłyszał jej głos wysoki i dźwięczny, a zarazem czysty jak kryształ, zmieszał się tak, że nie mógł słowa przemówić, chociaż Kalias wychwalał go właśnie przed Philemonem jako bystrego, mownego i wyjątkowo dzielnego chłopca.

I od tej pory wszystkie myśli, wszystkie wysiłki chłopca zmierzały do jednego celu: żeby znów widzieć Anyte lub choćby tylko słyszeć jej głos. Pracował parę godzin na podwórku przy przelewaniu wina z beczek do kraterów i olbrzymich kadzi, aby tylko ujrzeć ją, jak schodzi po zewnętrznych schodach domu, biała w białym peplosie, z odchyłoną w tył głową. Wtenczas tracił na chwilę oddech i wylewał strugi wina na ręce i na ziemię, choć chciałby właśnie wtedy okazać wyjątkową swą zręczność. Raz, zaproszony wraz z Kaliasem na wieczerzę do Philemona, opowiadał rożochocnemu kupcowi swe przygody z Nehurabhedem na spartańskim statku; opowiadał śmiało i barwnie, gdy naraz weszła Anyte z amforą w rękę, by nalewać wino biesiadnikom. Wtenczas Melikles zająknął się, zmieszał, stracił wątek opowieści i zamilkł, aż dopiero Kalias musiał mu przypominać, co mówił.

Podczas tej wieczerzy przybył niespodzianie ojciec Anyte Diomenes, oficer wojsk jego świątobliwości faraona, lochagos, czyli setnik najemnych oddziałów greckich. Był to starszy już człowiek, o surowej, pooranej bruzdami twarzy, o oczach patrzących przenikliwie spod nawiśłych siwych brwi. Od kilkudziesięciu lat przebywał bez przerwy w Egipcie, tu dosłużył się od prostego żołnierza stopnia setnika, tu ożenił się z Greczynką, przybyłą z Azji, tu po stracie żony sam wychowywał swe dzieci, tu ściągnął brata swego Philemona, który osiedlił się w Memfisie i dorobił znacznego majątku.

Jednakże młodość swą spędził Diomenes w Efezie, w Smyrnie, na małoazjatyckich brzegach jońskich. W Mielcie chodził przez krótki czas do szkół, a dowiedziawszy się, że Melikles stamtąd jest rodem, odnosił się życzliwie do chłopca przypominając sobie dawno minione lata.

Diomenes mieszkał teraz wraz z synem, którego kształcił na żołnierza, w osiedlu wojskowym pod Saisem, w dolnym Egipcie; córkę swoją, której chciał zapewnić opiekę kobiecą, oddał bratowej na wychowanie.

Obecnie przybył do Memfisu właśnie po córkę, po swoją małą Anyte, chciał ją zabrać do siebie do Sais choć na kilka miesięcy. Stary żołnierz wnosił z pewnych nieomylnych oznak, że zanoszi się w tym roku na jakąś wojnę i chciał nacieszyć się rodziną przed możliwym rozstaniem. Melikles, dowiedziawszy się, że Anyte wyjeżdża za parę dni, zmarkotniał, nachmurzył się i wrócił z wieczerzy do Nehurabheda srodze przygnębiony.

Wnet jednak zaszły wypadki, które wstrząsnęły myślą chłopca, kazały mu zapomnieć o Anyte, o Diomenesie, i zmusiły do zajęcia się zupełnie innymi sprawami.

*

Zaczął się od tego, że Kalias za dużo wypił. Siedział któregoś dnia w wielkim zajeździe fenickim wraz z towarzyszami-żeglarzami, ubił właśnie dopiero doskonały interes i był w wysmienitym humorze. Kpił sobie, ile wlezie, z głupoty Egipcjan, którzy nie znają się na handlu, na towarze, w ogóle na niczym, i dają się okpiwać i Fenicjanom, i chytrym kapłanom, a składają ofiary i oddają cześć boską głupim bykom i żarłocznym krokodylom. Kalias czerwony, spotniały, krzyczał na cały zajazd, paru trzeźwiejszych towarzyszy chciało go pohamować, na próżno jednak. W zajeździe prócz Fenicjan było kilku żołnierzy egipskich, którzy jeśli nie wszystko to w każdym razie dużo rozumieli po grecku.

A Kalias przypomniawszy sobie właśnie widzianą niedawno procesję, w której kilkunastu kapłanów oprowadzało uroczyście świętego byka Apisa po ulicach Memfis. Dostojny byk kroczył z wielką powagą, otoczony tłumem pobożnych; w pewnej chwili jednak uronił na ulicę niezbity dowód, że karmiony jest jak należy i ma zdrowy żołądek.

Wypadek ten wprowadził teraz w zachwyt Kaliasa. Podniósłszy się, zataczając, ze swego miejsca — zwrócił się do żołnierzy egipskich z zapytaniem, co przewielebni

kapłani nakazują im robić z dostojnym łajnem świętego byka. Egipcjanie byli zakłopotani tą sprawą, chcieli udać, że nie rozumieją, ale Kalias tak dosadnie tłumaczył całą rzecz, że patrzący ryczeli z uciechy.

Przypadł wreszcie do rozradowanego Greka sam właściciel zajazdu i razem z towarzyszami odciągnęli go na stronę; Kalias jednak z pijackim uporem wysunął zaraz nowe zagadnienie, czy mianowicie święty krokodyl ma prawo zjeść świętego byka i co z tego wyniknie.

Egipcjanie nie czekali na dalszy ciąg wywodów Kaliasa, czerwoni z gniewu i oburzenia opuścili zajazd; wkrótce potem i Grek wytrzeźwiał i zapomniał zaraz o wszystkim.

Ale Egipcjanie nie zapomnieli.

Następnego dnia szedł Kalias wraz z Meliklesem przez miasto; był pogodny, wesół; interesy pozałatwiał szczęśliwie, w najbliższych dniach miał wyruszyć w powrotną drogę do Syrakuz. Teraz wałęsał się po ulicach namyślając się, jakie upominki przywieźć żonie i dzieciom.

W pewnej chwili, gdy przechodzili obok wielkiej świątyni boga Sobkh, spoza murów wysunęło się sześciu strażników kapłańskich, jeden z nich zarzucił Kaliasowi worek na głowę, dwóch chwyciło za ręce, dwóch za nogi, jeden odtrącił w bok Meliklesa, po czym wszyscy wpadli, niosąc Kaliasa, w małe drzwi znajdujące się w murze. Stało się to wszystko tak prędko, że zanim Melikles oprzytomniał i rzucił się na pomoc chwytając za miecz — ciężkie drzwi zatrzasnęły się tuż przed nim. Spoza muru dobiegły tylko ciche, stłumione workiem jęki i krzyki Kaliasa.

Melikles próbował otworzyć drzwi — na próżno.

Wściekły, nieprzytomny z gniewu, walić jął w drzwi nogą, grzmocić pięściami, rąbać mieczem. Odpowiadało mu milczenie. Zrozpaczony zaczął wtenczas wzywać pomocy, zwracał się do przechodniów klnąc i błagając na

przemian. Ci jednak mijali go obojętnie, jakby nie spostrzegając niczego albo jakby to, co się stało, było najzwyczajszą rzeczą pod słońcem.

Nagle Melikles ujrzał, że drzwi ustąpiły lekko, pchnął je, tym razem nie stawiały oporu; rozwarł je więc szeroko i wpadł do środka.

Był w wąskim korytarzu niskim, ciemnym i długim. Rozejrzał się naokół; w korytarzu było pusto. Postąpił parę kroków. Nic. Milczenie. Dziwne poczucie strasznego niebezpieczeństwa kazało mu zatrzymać się w miejscu. Stał znów, nasłuchiwał. Nagle nie przed sobą, ale jakby pod sobą usłyszał cichy syk. Spojrzał. Dwa potworne okularniki pełzały po podłodze, jeden muskał już prawie strasznym łbem jego stopy. Chłopak krzyknął nie ludzkim głosem, skoczył i jednym susem wypadł na ulicę.

Zdawało mu się, że został draśnięty w nogę i rzeczywiście na łydce ujrzał ślad krwi. Mógł jednak, uciekając, rozedrzeć skórę o okute żelazem drzwi. Jeżeli to jednak zmija?

Chłopak, biegł na oślep, nieprzytomny z trwogi. Zdyśzany, z oczami wysadzonymi z orbit, wpadł do małego domku, w którym mieszkał wraz z Nehurabhedem. Starec był w domu, a dowiedziawszy się, co się stało, w pierwszej chwili zdrętwiał z przerażenia. Przyjrawszy się jednak ranie uspokoił się znacznie.

— To nie wygląda na ugryzienie węża — orzekł stanowczo.

Na wszelki wypadek rozdrapał mocniej ranę sztyltem, aż puściła się obficie krew. Stary człowiek przyglądał się tej krwi długo i uważnie — i uspokoił się zupełnie. Przyniósł jeszcze chłopcu lekarstwo, czarkę pełną przezroczystego jak woda płynu. — To ci w każdym razie nie zaszkodzi — mówił. Melikles wychylił napój jednym tchem — i znów oczy wyszły mu na wierzch.

Płyn był zimny na pozór, ale potem rozchodziło się po żołądku, po piersiach straszliwe gorąco. W gardle paliło ogniem, w głowie szumiało nieznośnie, pokój cały zatańczył, zawirował w oczach. — O, Panie mój, ja chyba umieram — szeptał chłopiec. Nehurabhed machnął lekceważąco ręką.

Był już pewny zdrowia chłopca, kazał sobie natomiast opowiedzieć szczegółowo całą sprawę z Kaliasem. Dowiedziawszy się o awanturze w zajeździe sposepniał, wsparł głowę na dłoniach i siedział długi czas milcząc.

— Co robić, co robić? — szeptał gorączkowo Melikles.

Nehurabhed wzruszył ramionami. — Zgubił się ten człowiek — rzekł — i nie wiem, czy ktokolwiek będzie mógł mu pomóc.

— Przecież ty, panie, znasz wielu kapłanów, może oni wstawią się za Kaliasem, przecież Kalias był nieprzytomny, i nie wiedział wtedy, co mówi.

Stary człowiek pokiwał głową. — O tak — rzekł — znam nawet dobrze arcykapłana świątyni Sobkha, w której uwięziony został Kalias, znam go tak dobrze, że wiem, iż uczyni on wszystko, co tylko będzie mógł, ażeby mnie dokuczyć. Nie; nie trzeba, ażeby dostojny Mechroes dowiedział się nawet, że Kalias jest moim znajomym. To tylko pogorszyłoby sprawę, która i bez tego jest ciężka.

Mechroes — przełożony świątyni Sobkha w Memfis — to jeden z najbardziej upartych ludzi, a przy tym stary, głupi i mściwy. Kalias jest w strasznych rękach.

Melikles zacisnął pięści. — Ale przecież nie podobna, aby nie można go było jakoś uratować — wołał z rozpaczą — przecież musi być jakaś rada, jakiś sposób.

Nehurabhed przez chwilę milczał, po czym odezwał się niespodziewanie surowym głosem: — Kalias jest niepoczytalnym pijanicą i awanturnikiem. Zaprawdę zasłużył na to, aby mu dano porządne baty na rynku, tak

żeby przez tydzień nie mógł ani usiąść, ani wstać. Jednakże mimo to, chcę go ratować. Dowiem się przede wszystkim nie sam, ale przez znajomych kapłanów syryjskich, gdzie Kalias teraz jest, o co jest oskarżony i co mu grozi. Ty idź dzisiaj do Philemona i Sotiona i opowiedz im o wszystkim. Jutro, jak tylko coś będę wiedział — zawiadomię ich przez ciebie o poczynionych krokach. Niech tylko nie wspominają nikomu o tym, że Kalias jest moim znajomym.

* * *

Następnego dnia rano Nehurabhed udał się sam do Philemona, aby osobiście przedstawić Grekom całą sprawę.

W mieszkaniu Philemona odbyła się walna narada, w której wzięli udział, prócz samego gospodarza, brat jego — setnik Diomenes, Sotion, Nehurabhed i Melikles.

Nehurabhed w kilku słowach przedstawił całą grozę położenia.

— Jest źle — mówił — Kalias został oskarżony o obrazę boga i naigrawanie się z religii. Grozi mu kara śmierci. Gdyby to działo się w innym czasie albo gdyby Kalias nie był Grekiem, łatwiej może by było załagodzić całą sprawę i skończyłoby się tylko na chłóście — ale tak...

Diomenes przerwał mu: — Rzekłeś, panie: gdyby Kalias nie był Grekiem; z jakiejże to racji mieliby dostojni kapłani szczególnie być na nas zawzięci?

Nehurabhed podniósł oczy na starego żołnierza. — Bo wy, Grecy — rzekł z przyciskiem — jesteście dzisiaj najmniej chętnie widziani ze wszystkich cudzoziemców, od których roi się w prześwietnym państwie egipskim.

Diomenes zachnął się.

— Dziwy mi prawisz, dostojny cudzoziemcze — odpowiedział — jestem tu w Egipcie najdłużej z was wszystkich, przeszedłem różne czasy, złe i dobre, widziałem

i wiem, że ludność czasem burzyła się na nas, żołnierze egipscy klócili się nieraz, ba — bili nawet z naszymi. I cóż z tego? Jego świątobliwość faraon Apries wie dobrze, że korpus grecki jest najwaleczniejszą i najlepszą częścią jego wojsk i dlatego nigdy nie pozwolił nam, Grekom, zrobić najmniejszej krzywdy. Wiedzą o tym i kapłani, i nomarchowie, i urzędnicy.

— Tak, tak — potwierdził Nehurabhed — rzeczywiście doszliście do wielkiego znaczenia, do takiego znaczenia, że jedni patrzą na was z niechęcią, drudzy z zawiścią, a trzeci nawet ze strachem.

— Kto? — zawołał Diomenes.

— Fenicjanie — szepnął Philemon.

— To prawda — dodał Sotion.

— Fenicjanie nie rządzą Egiptem — rzekł porywczy Diomenes.

Nehurabhed wzruszył ramionami. — Ale rządzą doradcami i ministrami jego świątobliwości; wszyscy oni, lub prawie wszyscy, są zapożyczeni u kupców fenickich albo pobierają wprost od nich pensje, większe niż ze skarbu jego świątobliwości. Zresztą prócz Fenicjan i Egipcjanie sami nie kochają was również; kapłani patrzą złym okiem na świątynie wasze, powstające jak grzyby po deszczu u brzegów świętej rzeki, a oficerowie oddziałów egipskich i libijskich złorzeczą, że wszystkie awanse dostają się tylko Grekom.

— To prawda — odrzekł Diomenes — mimo to jednak liczą się z nami i dlatego nie sądzę, aby Kaliasowi mogło zaszkodzić to, że jest Grekiem!

— A ja jestem pewny, że tak! — odparł starzec. — Kapłani nie pominą teraz żadnej sposobności, aby dokuć Grekom i podburzyć ludność przeciwko wam.

— Dlaczego?

Ale tutaj Philemon potwierdził słowa Nehurabheda. — Ty, Diomenesie — mówił — siedzisz sobie w swoim

obozie wśród żołnierzy i nie wiesz nic, co się dzieje, a tutaj w mieście od dawna są ciągle awantury z Egipcjanami, a od szeregu dni krążą po wsiach specjaliści wysłannicy, którzy namawiają chłopów, aby nie kupowali nic u Greków.

Ludzie w mieście też omijają nasze sklepy, jak zarazę — i jak tak dalej potrwa — będziemy mieli duże straty.

Diomenes milczał przez chwilę. — Jednakże — podjął z uporem — myślę, że gdyby Ajschines, dowódca wojsk naszych, stojących w Heliopolisie, zechciał łaskawie wstawić się za Kaliasem u dostojnego nomarchy Memfis, to ten mógłby wyjednać u kapłanów zwolnienie jednego mizernego Greka, którego całą winą była głupia pijacka awantura.

Jutro, jak wiecie, jadę do Sais; po drodze mogę być w Heliopolisie u Ajschinesa. Ajschines zna mnie i nie odmówi prośbie starego żołnierza.

Ale Nehurabhed pokręcił głową.

— Wątpię, żeby nomarcha teraz — właśnie teraz — chciał przemówić choć jedno słowo za nieszczęśliwym Grekiem. Co najważniejsze jednak to to, że Ajschines nie znajduje się teraz w Heliopolisie.

Diomenes uśmiechnął się lekceważąco. — Wybacz, dostojny panie, ale o tym ja, żołnierz, muszę wiedzieć lepiej, niż ty. Pułk Ajschinesa stoi w Heliopolisie, a więc i on sam musi być przy nim.

Ale Nehurabhed odrzekł spokojnie: — Ajschines wraz ze swym pułkiem wymaszerował z Heliopolis przed trzema dniami i obecnie znajduje się w drodze na płaskowzgórze Synaju.

Diomenes zerwał się z miejsca: — To nieprawda! I skądże wreszcie, ty cudzoziemcze, możesz wiedzieć o tym, o czym nie wiem ja, oficer wojsk jego świątobliwości?

Tu Sotion, który od Kaliasa wiedział, kim jest Nehurabhed, chwycił za rękę starego żołnierza. — Diomenesie — rzekł — ten człowiek nie rzuca słów na wiatr, a może wiedzieć więcej, niż ty, ja i my wszyscy z Ajschinesem w dodatku.

Diomenes zamilkł i usiadł na miejsce, a Nehurabhed ciągnął po chwili dalej: — Ajschines znajduje się w drodze na Synaj. Jest to prawda, jak również i to, że wszystkie oddziały greckie w dolnym Egipcie otrzymały w tych dniach rozkaz udania się na granicę Arabii.

— Czy i mój pułk również? — zapytał wzgardliwie Diomenes — jeżeli i to wiesz, panie, zaprawdę jesteś chyba czarownikiem.

Nehurabhed nie zwrócił uwagi na obraźliwy ton Greka.

— Twój pułk, Diomenesie, należy do korpusu królewskiego i, o ile wiem, stoi dotychczas bez zmiany w Saisie. Lada dzień jednak i on może dostać rozkaz udania się w drogę.

— Cóż więc mają znaczyć te nagłe ruchy wojsk? — pytał Philemon — czyżby groziła wojna?

Nehurabhed skinął głową.

Diomenes znów zerwał się z miejsca. — Nie chcę cię obrażać, stary człowieku, bo jesteś gościem mego brata, ale w słowach twych jedno nie trzyma się drugiego jak kleпки w rozeschniętej beczce. Jeśli istotnie szykuje się wojna, o czym i u nas wciąż mówią w wojsku — to wiedz, że Egipt teraz właśnie najbardziej musi liczyć się z nami. Na Zeusa, na wszystkich bogów nieśmiertelnych, nie darmo sława naszego oręża znana jest aż w Babilonie.

— Tak jest — odpowiedział Nehurabhed, nie podnosząc głosu — może być jednak taka wojna, w której wojska wasze nie będą Egipcjom potrzebne, ba, w której będą mu przeszkadzać, bardzo przeszkadzać.

— Cóż to za taka wojna? — pytał niedowierzająco stary żołnierz.

— Wojna z Grekami — rzucił Nehurabhed.

Philemon, Sotion i Diomenes zerwali się z miejsc.

— Z kim? — wołali groźnie.

— Z Grekami — powtórzył powoli starzec — z Cyrenejczykami, jeżeli wolicie dokładną nazwę.

Nastąpiło długie milczenie.

— To może być — powiedział wreszcie Sotion.

— To może być — powtórzył Philemon.

A Nehurabhed podniósł się także i powiódł wzrokiem dokoła.

— Przyszedłem tu — powiedział silnym głosem — nie tylko w sprawie Kaliasa. — Oczywiście, trzeba go ratować i o tym naradzić się musimy. Ale jest prócz tego i inna sprawa — wasza sprawa. Grekom grozi niebezpieczeństwo. Chcecie — wiercie, nie chcecie — nie wiercie. To wasza rzecz. Ja, co wiem, wiem na pewno. Wczoraj już posłano tajne wieści o szykujących się wypadkach do dowódcy waszego korpusu — do Simonidesa. Ale to próżne zabiegi. Simonides sam wie dobrze o wszystkim, ale nie chce niczemu przeciwdziałać. Nie jest już Grekiem, tylko służącym faraona, marzącym o otrzymaniu kiedyś stanowiska naczelnego wodza. Odprawił też z niczym posłów nieszczęsnej Cyreny, którzy błagali go o wstawienie się u faraona i odmówienie go od zarządzonej wyprawy. Posłowie ci zrobili tylko tyle, że obudzili nieufność kapłanów i urzędników, którzy teraz już nie dowierzają Grekom i starają się ich pozbyć. Dlatego wyrzucają najemne oddziały greckie na drugi koniec królestwa, dlatego patrzą nieufnie na wszystko, co greckie, dlatego mówią nawet o rozbrojeniu i uwolnieniu ze służby części korpusu greckiego.

W słowach starego człowieka było tyle przekonania i pewności, że Grecy mimo woli pochyłili głowy.

Jeden Diomenes rzekł znowu: — Wszystko to wygląda prawdopodobnie i może być prawdą, jeżeli istotnie Egipt chce wojny z Cyreną. Ale po co Egipcjowi Cyrena, marna miejscina, jakich Egipt ma kilkanaście na każdym brzegu Nilu!

— Cyrena ma wprawdzie jakiś zatarg z Libijczykami, którzy przysłali skargi na Greków do jego świątobliwości — mówił Nehurabhed — ale to tylko pozór; Cyrena jest daleko za pustynią libijską i obchodzi tyle święte państwo, co ziarnka piasku w Arabii.

— Więc? — mruknął Diomenes.

— Więc Cyrena nie przeszkadza Egipcjowi, ale za to przeszkadza, niezmiernie przeszkadza Fenicjanom. Kartagińczycy zwłaszcza patrzą zawistnym okiem na to, że na brzegu libijskim, który należał dotąd niepodzielnie do nich, powstają porty greckie, że wszystkie okręty krążące między Sycylią, Egiptem, Kretą i Kartaginą zawijają do Cyrene i do Barki i zostawiają tam i towar, i pieniądze. Cyrene jest małą miejsciną, tak, ale przed kilkudziesięciu laty nie było jej wcale, teraz zaś liczy do 30.000 mieszkańców i rośnie z każdym rokiem, bo osadnicy z całej Grecji płyną do brzegów Afryki.

— Więc Egipt ma wojować o interesy fenickie?

Nehurabhed skinął głową. — Fenicjanie wytłumaczyli zresztą ministrowi jego świątobliwości, że nie jest to żadna właściwie wojna, tylko wyprawa, do której wystarczy jeden korpus wojska. Obiecują za to dużą pożyczkę skarbowi świętego państwa, który jest, jak wiadomo, wiecznie głodny.

— Taka wyprawa — mówił Diomenes — miała się odbyć już dwa lata temu, jednakże wszystko rozeszło się wtedy po kościach i skończyło na pogroźkach.

— Bo wtenczas wojska greckie zapowiedziały wyraźnie, że nie będą się bić z rodakami i faraon zląkł się rozłamu w armii. Teraz zaś postanowiono zabezpieczyć się przed tym rozłamem, wysyłając Greków do pustyni arabskiej albo rozpuszczając najemne zaciągi greckie.

— Faraon jest naszym przyjacielem — bronił jeszcze swej sprawy Diomenes.

— Był nim, tak, teraz jest to człowiek stary i chory, za którego rządzą inni.

— To prawda, to wszyscy mówią — szepnął Philemon.

Diomenes spuścił głowę.

— Mówmy o Kaliasie — ozwał się milczący dotąd Sotion.

— To wszystko, co mówiłem, dotyczy i Kaliasa; tłumaczyłem tylko, dlaczego położenie Kaliasa jest tak złe, a próby ratowania tak trudne. Złe czasy nastały dla Greków.

W izbie zaległo milczenie.

— Co możemy uczynić dla Kaliasa? — pytał Sotion.

— Musimy próbować. przekupić kapłanów świątyni Sobkha, oczywiście nie samego Mechroesa, ale jego pomocników. Rzecz jest trudna, bo każdy, kto pomoże w ucieczce więźniowi, wie o tym, że sam może znaleźć się na jego miejscu. Ile możecie zebrać pieniędzy? — zapytał wprost.

Philemon spojrział na Sotiona. — Kalias nie jest bogaty — odpowiedział powoli stary żeglarz.

— Ile może być wart jego majątek? Pamiętajcie, że tu chodzi o jego życie i że przewielebni kapłani nieprzyzwyczajeni są do małych sum.

Sotion zamyślił się chwilę. — Jeden talent, może półtora — rzekł.

— Na Merkurego! — talent to wielka suma — krzyknął Philemon.

— To najmniej, co można ofiarować za taką przysługę; kiedy możecie zebrać te pieniądze?

— Ja mogę pożyczyć 40 min, jeżeli Sotion da mi polecenie — mówił Philemon.

— Na rok?

— Na rok.

— Bez lichwy?

Philemon zamyślił się. — Niech będzie — rzekł wreszcie — dla ciebie to zrobię, Sotionie.

— To dobrze; resztę zbierze się pomiędzy załogą. Wszyscy tam lubią Kaliasa i chcą mu jakoś dopomóc.

Philemon był bardzo zatroskany. — Talent to straszna suma — powtarzał wciąż.

— Oby tylko starczyła i oby świątobliwi kapłani raczyli ją przyjąć — mruknął Nehurabhed — lękam się bowiem, że tym razem żadne pieniądze nie pomogą. Spróbować jednak trzeba.

I na tym skończyła się narada. Grecy obiecali zebrać do jutra wieczór pieniądze. Nehurabhed miał przez swych znajomych kapłanów syryjskich wyszukać ludzi w świątyni Sobkha, którzy by podjęli się ułatwić ucieczkę więźniowi.

Wychodząc już, Nehurabhed zwrócił się jeszcze raz do Diomenesa.

— A ty, mężny Diomenesie, jeśli istotnie jedziesz jutro do Sais, powiedz jednak swemu dowódcy Peleasowi, wszak nazywa się Peleas, wszystko to, com ci mówił o Grekach.

— Powtórzę wszystko — rzekł stary żołnierz — czy sądzisz jednak, panie, naprawdę, że może dojść do roz-

wiązania i rozpuszczenia części najemnych oddziałów naszych?

— Oby tylko na tym się skończyło — odpowiedział Nehurabhed.



Obawy Nehurabheda okazały się słuszne, przede wszyskim co do Kaliasa.

Sąd kapłański istotnie zapragnął wykorzystać w pełni sprawę nieszczęsnego Greka dla rzucenia postrachu wśród cudzoziemców, a zarazem dla podburzenia wiernego ludu przeciw Hellenom.

Kalias został skazany na śmierć, wyrok miał być wykonany w najbliższych dniach. Jednocześnie zdwojono nad nim straż, a pilnowanie powierzono wypróbowanym żołnierzom i oficerom kapłańskim. Wszelkie próby przekupienia tej straży spęzły na niczym.

Dozorcy wiedzieli dobrze, że w razie ucieczki więźnia, ich samych czeka los Kaliasa. Wiedzieli zarazem, że nigdzie w całym Egipcie nie zdołają się ukryć przed wszechmocną ręką kapłanów.

Nehurabhed, wykorzystawszy wszystkie drogi przekupienia władz za pośrednictwem swych znajomych kapłanów, gdy zawiodły go te usiłowania, a czas upływał, postanowił wreszcie sam udać się do arcykapłana Mechroesa. W warunkach, w których był teraz Kalias, nic mu już zaszkodzić nie mogło.

W krótkim czasie wrócił jednak z rozmowy przygnębiony i posępny, jak nigdy.

Meliklesowi, który czekał nań ze drżeniem w sercu, powiedział tylko: — wszystko na próżno — i pogrążył się w ponurym milczeniu.

Chłopiec załamał ręce. — Jak to, więc nie ma już żadnej nadziei?

— Nadzieja jest zawsze, dopóki jest Bóg na niebie — odparł starzec.

Następnie powtórzył mu w krótkich słowach całą rozmowę.

— Kapłani nie tylko chcą ukarać Kaliasa — mówił, ale chcą zrobić z jego śmierci widowisko dla ludu. Gdy prosiłem Mechroesa, jak człowiek człowieka, o litość nad skazańcem, odpowiedział mi ze świątobliwym namaszczeniem, że nie on jest obrażony, tylko bóg, i tylko bóg może przebaczyć winowajcy. Więzień zostanie wystawiony na próbę, a jeżeli bóg nie zechce jego śmierci, zachowa życie i wolność.

— Cóż to za próba? — pytał Melikles.

Nehurabhed machnął ręką z powątpiewaniem.

— W pobliżu świątyni Sobkha jest sadzawka — tuż przy murach chramu. W sadzawce tej mieszka krokodyl czczony przez cały lud egipski, jako żywy obraz boga Sobkha na ziemi. Otóż przez tę sadzawkę musi przepłynąć na drugą stronę skazany na śmierć za obrazę bóstwa. To wszystko. Sadzawka jest niewielka. Ale nie zdarzyło się od pięćdziesięciu lat, żeby skazańcowi udało się ją przepłynąć. Bóstwo nie chce nikomu darować życia, a krokodyl jest wiecznie żarłoczny i mściwy.

— To straszne! — krzyknął chłopiec.

Nehurabhed nic mu nie odpowiedział.

— Panie! a gdyby uzbroić kilkunastu żeglarzy i napisać na tłum i straż przy sadzawce.

Starzec wzruszył ramionami. — Głupstwo — rzekł — beznadziejne głupstwo. Nie myśl nawet o tym. Nie wolno gubić daremnie siebie i innych. Dość jest już jednego Ka-

liasa. Czyś ty widział dobrze tę świątynię, wszystkie jej wewnętrzne dziedzińce, mury grubsze od najgrubszych drzew i wysokie na trzech ludzi, bramy w kwadratowych wieżach i wszędzie kapłanów-strażników. Toż to raczej twierdza, niż świątynia.

— Nie można tak go zostawić, panie!

Starzec tarł dłonią czoło, spoglądając posepnie.

— Muszę się namyślić — rzekł.

— Kiedy mają go stracić? — pytał jeszcze Melikles.

— Jutro rano.

— O! Wielki Zeusie, boże miłosierny — wybuchnął chłopak — jutro — o Kaliasie, Kaliasie! — szloch rozdzierał mu piersi, spazm płaczu zaciskał gardło.

Nehurabhed zwrócił się do niego niecierpliwie: — Meliklesie, odejdz i uspokój się. Powiedziałem już, że chcę się namyślić.

Chłopiec wyszedł bez słowa.

Pobiegł ze straszną nowiną do Sotiona i Philemona.

Greków ogarnęła wściekłość i rozpacz. Przekliнали Egipt, kapłanów, wszystkich ich bogów i bożków, rwali włosy z bezsilnej złości. Jednak i oni nic poradzić nie mogli.

Godziny mijały. Melikles, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, wrócił do Nehurabheda. Jeszcze tylko od niego spodziewał się ratunku.

Starca nie było w domu. Przyszedł dopiero przed samym wieczorem z dużym zawiniątkiem pod pachą.

— Czy wymyśliłeś co, panie? — pytał chłopiec.

— Spróbujemy ostatniego sposobu — odrzekł starzec. — Muszę dziś wieczorem być jeszcze raz w świątyni Egipcjan i złożyć ofiarę ich bogu.

— Chcesz go przebłagać, panie?

Starzec zrobił nieokreślony ruch głową.

— Będę się zapewne widział z kapłanem boga Sobkh i chcę ich przekonać o mej pobożności.

— Czy może uczynisz jakiś czar w świątyni? — pytał Melikles.

Nehurabhed skinął głową.

— Co ja mam robić, panie?

— Poniesiesz za mną to zawiniątko do wrót świątyni.

— Co jest w tym worku?

— Zwierzę ofiarne, gęś, którą złożę na ołtarzu świętego bóstwa.

— I myślisz, panie, że to może uratować Kaliasa?

— Wszystko jest w ręku Boga — odpowiedział starzec.

Gdy zapadł zmierzch, Nehurabhed z Meliklesem wyszli z domu.

Nehurabhed nie był jednak ubrany jak zwykle. Miał na sobie bogaty strój kapłanów wielkiej bogini Izdydy. Był to rodzaj obszernej, suto lamowanej czerwieni i złotem togi, spływającej aż do kostek. Na głowie starzec miał kaptur z czerwonymi osłonami spadającymi na plecy i ramiona. Zmienił się zupełnie. Wyglądał okazale, suto i dostojnie. Lud egipski na ulicach rozstępował się przed nim z szacunkiem. Melikles szedł z tyłu, niosąc worek z ofiarą. Zajrzał do środka i przekonał się, że jest to naprawdę gęś, zwykła duża gęś, niedawno zabita, ze śladami świeżej krwi na pierzach.

Gdy dochodzili do świątyni — robiło się coraz ciemniej, zapadał szybki zmierzch podzwrotnikowy.

Nehurabhed odebrał od chłopca ciężar i rzekł: — Tu się zatrzymasz, chłopcze, i poczekasz na mnie. Oczywiście nie będziesz próbował przechodzić przez bramę. Gdybym zaś nie wracał długo, tak, gdybym nie wracał długo to... to... to powiesz kapłanowi syryjskiemu, u którego mieszkam, że nie przyszedłem. To wszystko. I jeszcze... — dodał miększym głosem — idź wtenczas do Philemona i jedź jak najprędzej do swej matki, chłopcze, do Miletu.

Zanim Melikles zdążył coś odpowiedzieć, starzec odwrócił się i wszedł spokojnym, równym krokiem pomiędzy dwie małe wieże, pylonami zwane, które stanowiły wejście na pierwszy dziedziniec świątyni. Stojący w bramie żołnierze pochylili się przed nim z pokorą, jeden z nich przykląkł nawet; stary człowiek wyciągnął nad nim rękę — i przeszedł obojętnie dalej. Melikles widział go jeszcze idącego aleją wiodącą do stóp świątyni. Z boku od alei tej grunt spadał tarasami w dół, tam nisko wśród drzew parkowych leżała fatalna sadzawka. Teraz widać było z daleka jeszcze tylko cienie palm, rosnących przy niej, bo wszystko wokół osłaniał gęstniejący mrok.

Chwile mijały. Ściemniło się już zupełnie. Meliklesa ogarniać zaczął lęk o starca. Zrozumiał teraz jego słowa i czuł, że mistrzowi jego grozi jakieś niebezpieczeństwo.

Starzec wrócił jednak prędzej, niż się chłopiec spodziewał, tym samym równym, dostojnym krokiem, niezatrzymany przez strażę. Skinął na Meliklesa, który podbiegł do niego szybko i zatroskany pytał bez tchu, czy bóg przyjął ofiarę.

— Nie wiem — odrzekł starzec — w każdym razie uczyniłem wszystko, aby ją przyjął.

— Zrobiłeś czar?

— Tak jest.

Chłopiec patrzył na swego towarzysza z zabobonną trwogą.

— I Kalias może być uratowany? — szeptał.

— Nie wiem, nic nie wiem, chłopcze — odpowiedział stary człowiek; zrobiłem jednak wszystko, co mogłem. Resztę zobaczymy jutro.

Jutro!

* * *

Melikles nie spał wcale tej nocy. Czuł, wyobrażał sobie to, co może myśleć nieszczęsny skazaniec w tych

ostatnich godzinach, przypominał sobie żonę, dzieci Kaliasa, tak dobre dla niego, modlił się do Zeusa, do Posejdona, opiekuna żeglarzy, do Apollona.

Rano, gdy tylko wzeszło słońce, ruszyli na miejsce egzekucji. Straż nie stała tym razem przy wejściu na dziedziniec świątyni. Lud wpuszczany był do wewnątrz na aleję prowadzącą do chramu i na tarasy otoczone ciężką kolumnadą, ażeby każdy mógł być świadkiem sądu obrażonego boga.

Mimo wczesnej pory ludzi było już dość dużo i tłum rósł z każdą chwilą. Nehurabhed z Meliklesem precyzyjnie się możliwie blisko zejścia prowadzącego z tarasu w dół. Przed nimi tuż leżała nieszczęsna sadzawka. Miała ona kształt wydłużonego prostokąta, o długości kilkuset, szerokości zaledwie stu kroków. Brzegi na wysokość człowieka obmurowane były kamieniami.

Ze środka dolnego tarasu schodziły w wodę wąskie kamienne schodki. Takież same stopnie były po drugiej stronie szerokości sadzawki. Od jednych stopni do drugich musiał przepłynąć skazaniec. Woda tu była spokojna, czysta, gładka jak lustro. Za to po obydwóch stronach sadzawka zarośnięta była dość gęsto szuwarami, trzciną i sitowiem. Tam, w tej gęstwie poplątanych, połamanych trzcin i badyli gnieździł się stary rozbójnik rzeczny, hodowany starannie przez kapłanów. Czaił się teraz zapewne, zbudzony niezwykłym gwarem na brzegu, gwarem, który zapowiadał od lat to samo zdarzenie — łatwe polowanie na dziwne, niezręczne stworzenie, zwane człowiekiem.

Nehurabhed schylił się do ucha chłopca. — Nie widzisz go tam gdzie? — pytał szeptem. — Krokodyla? — Tak. — Nie, nie widzę, panie! — Nehurabhed odetchnął ciężko.

Po drugiej stronie sadzawki był taki sam taras i zaraz za nim mała brama, przez którą widać było pola

i łąki schodzące aż do Nilu. W bramie tej stały też gromadki ludzi ciekawych straszego widowiska.

W tłumie panowało podniecenie, przebiegały okrzyki, dzikie śmiechy i kpiny. Melikles nie rozumiał mowy Egipcjan, ale czuł do nich w tej chwili taką nienawiść, że twarz mieniła mu się, czerwieniała i bladła, oczy zachodziły mgłą. Nehurabhed nie pozwolił mu wziąć miecza ze sobą i odebrał odepniętą przysięgę, że cokolwiek się stanie, zachowa się spokojnie. Melikles zresztą przekonał się naocznie, jak szaloną była myśl wyrwania siłą skazańca. Przy zejściu z tarasu na brzeg i na samym brzegu stało kilkunastu żołnierzy kapłańskich uzbrojonych od stóp do głów, w pobliżu wejścia do świątyni czuwała również liczniejsza niż zwykle straż. Wszyscy żołnierze byli bogato ubrani, mając dodać swą obecnością powagi niezwyklej uroczystości.

Nagle przez tłumy przebiegł szmer, zerwały się krótkie okrzyki, potem zaległa cisza.

Spod tarasu, który dotykał wielkiego, jak skalista góra, siwego, granitowego masywu świątyni, z małych drzwi, wiodących z podziemnych lochów, wyszedł orszak prowadzący skazańca. Dwóch kapłanów szło przodem, ośmiu strażników otaczało więźnia, dalej szli trzej Murzyni — niewolnicy z batami w rękach. Ci mieli ćwiczyć na śmierć skazańca, w razie, gdyby ten nie chciał dobrowolnie zejść w złowrogą wodę.

Wszystkie oczy zwróciły się na jeńca.

Tak — to był Kalias. Nagi był zupełnie i nieskrępowany niczym. Szybko, gorączkowo rozglądał się naokół, spojrzał w stronę sadzawki, potem wzniosł oczy ku tłumom na tarasie świątyni. Wiedział, co go czeka, wiedział, że nie ma ratunku, oczy miał zamglone, jakby mało przytomne, w twarzy zmęczonej, biednej była już tylko rezygnacja.



Nagle wśród powszechnej ciszy rozległ się donośny głos Nehurabheda: — Kaliasie! Kaliasie! Ufaj i pływ spokojnie. Ufaj, albowiem modłę się za ciebie do boga mego. On weźmie cię w opiekę. Ufaj i pływ, Kaliasie!

Nehurabhed podniósł obie ręce i wyciągnął je w stronę skazańca, jakby go błogosławić chciał.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego. Kalias dostrzegł go także i coś jakby promień rozjaśnił mu na chwilę twarz. W tej chwili kapłani popchnęli go ku schodkom, nieszczęsny Grek zeszedł po nich z wolna i pogrążył się w wodę.

Wokoło nastało takie milczenie, że słychać było plusk wody rozgarnianej silnymi rękami. Nehurabhed zamknął oczy, Melikles rzucał prędkie spojrzenia na prawo i lewo, czy nie ujrzy gdzie straszliwego lba, prującego ciemną toń wody.

Nic. Cicho.

Kalias przepłynął już połowę sadzawki.

Nagle coś plusnęło po prawej stronie. Wszyscy drgnęli zwracając tam swój wzrok. Ale to był tylko kamień rzucony czyjąś niecierpliwą ręką. Jednocześnie w tłumie zerwały się okrzyki, żołnierze poczęli uderzać mieczami o tarcze, ażeby zbudzić drzemiącego widocznie boga.

Melikles wyłamywał sobie palce z wściekłości, dyshał tak, jakby to on był na miejscu Kaliasa.

Skazaniec przepłynął już trzy czwarte drogi i prął teraz gwałtownie wodę, zbliżając się coraz bardziej ku zbawczemu brzegowi.

Nehurabhed stał ciągle z zamkniętymi mocno oczami, z rękami złożonymi na piersiach, z twarzą niezwykle skupioną i zwartą. Brwi miał ściągnięte, zmarszczone i groźne.

Tłum przenosił teraz oczy ze skazańca na niego.

Nastąpiła znów taka cisza, że słychać było tylko ciężkie oddechy ludzi. Sam Mechroes, arcykapłan świątyni

Sobkha, wyszedł na górny taras w dostojnych szatach, aby być świadkiem egzekucji i patrzył teraz ze zdumieniem na to, co się dzieje.

A Kalias płynął wciąż. Jeszcze pięć kroków, jeszcze trzy, jeszcze jeden. Przez tłumy przebiegł szmer, Melikles rzucił się gwałtownie naprzód. Kalias sięgnął ręką stopni, wydobył się na brzeg i jednym skokiem stanął na tarasie.

Nehurabhed otworzył oczy; widząc Kaliasa na drugim brzegu — odetchnął mocno, jakby zrzucił ciężar z piersi.

A skazaniec, nie oglądając się za siebie, przeszedł wśród milczących gromadek ludzi, minął żołnierzy stojących nieruchomo w bramie. Wszyscy rozstępowali się przed nim. Nikt w całym Egipcie nie ośmieliłby się podnieść ręki na człowieka, któremu tak widocznie bóg okazał swą łaskę.

Nehurabhed chwycił za rękę chłopca. — Chodźmy stąd, chodźmy stąd prędko — rzekł.

Zmieszali się z tłumem, który patrzył na starca z niemym podziwem. Gdy wydobyli się ze zbiegowiska i dostali na mniej rojne ulice, Melikles przypadł do ręki starca okrywając ją pocałunkami.

— O panie, jesteś najlepszym, najszlachetniejszym i największym czarownikiem, a bóg twój jest najpotężniejszym bogiem i póki życia wielbić go będę.

Nehurabhed nie odpowiedział zrazu nic, dopiero gdy weszli do domu, rzekł z pewną surowością: — Ahuramazdę zawsze wielbić trzeba, albowiem jest on opiekunem sprawiedliwych i dał mi dobry pomysł, a krokodylowi dobry apetyt.

— Raczej zły — poprawił chłopiec.

— Dobry! — powiedział stanowczo starzec — zjadł
bowiem moją gęś i dlatego nie już więcej w życiu jeść nie
będzie!

— Jak to? — pytał Melikles — przecież miałeś tę
gęś złożyć na ołtarzu boga?

— Wołałem, chłopcze, rzucić ją sam świętemu kro-
kodylowi do sadzawki. Powiedziałem przecież, że uczyni-
łem wszystko, aby ten bóg przyjął ofiarę.

Melikles patrzył na niego coraz bardziej zdziwiony.

— A ta gęś, ta gęś — szeptał.

— Ta gęś była zatruta, silnie zatruta. Cóż, trudno,
mój chłopcze. Dostojny Mechroes będzie musiał wyszukać
sobie nowego boga!



W chwilę później Melikles pędził do swego cudem uratowanego przyjaciela — do Kaliasa. Nehurabhed nie pozwolił mu jednak wspomnieć ani jednym słowem, w jaki istotnie sposób zdołał skazaniec wyjść cało ze straszliwej próby. Kazał natomiast przestrzec Syrakuzańczyka, że niebezpieczeństwo nie minęło w zupełności, i że powinien jak najprędzej opuścić Memfis i Egipt.

Rada ta jednak była całkiem zbyteczna. Kalias miał zupełnie dosyć świętej ziemi faraonów, wszystko było od dawna gotowe do drogi — i w parę godzin później statek syrakusański odbił od brzegu, kierując się na północ, ku dalekiej ziemi ojczystej.

Kalias drżący ze zmęczenia śmiał się i płakał na przemian, ścisnął i całował żegnającego go Meliklesa, przede wszystkim jednak błogosławił i wielbił pod niebiosami Nehurabheda. Miał go stanowczo za największego czarownika wszystkich czasów. Przysięgał też sobie na wszystkich bogów, półbogów, na cienie ojców i dziadów, że nigdy, nigdy, póki życia noga jego nie stanie w tym przeklętym kraju.

A Melikles wróciwszy z portu zastał swego mistrza i pana również gotowego do drogi.

Nehurabhed lękał się, że jego postępek z krokodylem musi wyjść na jaw, a wtenczas mściwi kapłani dosięgną go, nie tak — to inaczej. Czuł, do jakiej wściekłości musiała doprowadzić świątobliwego Mechroesa cała sprawa z Kaliasem i myśl ta sprawiała mu prawdziwe i głębokie zadowolenie.

Jednocześnie jednak wiedział, że mściwy arcykapłan domyśli się łatwo, kto sprawił mu tę psotę, i nie zaniedba niczego, aby schwycić sprawcę w swoje ręce. Jeżeli zaś nawet nie będzie mógł wprost oskarżyć go o zamach na święte bóstwo, postara się w inny sposób wyrzucić swą zemstę. Nie zbraknie mu zaś z pewnością po temu ani sił, ani środków.

Dlatego Nehurabhed wołał zniknąć mu z oczu. Najlepszą rzeczą byłoby wyjechać w ogóle z Memfisu i skryć się w rojnym, pełnym cudzoziemców Saisie, który był teraz właściwą stolicą królestwa. Ale starzec nie chciał tego uczynić. Tu bowiem właśnie, w starym Memfisie toczyły się teraz tajne narady najwyższych kapłanów, nomarchów i doradców faraona, tu dojrzewały plany wielkich wydarzeń politycznych. Narady były pokryte zasłoną tajemnicy, Nehurabhed miał jednak nadzieję, że uda mu się przy pomocy swych przyjaciół rozedrzeć tę zasłonę i dlatego nie chciał porzucić świętego miasta.

Przeniósł się tylko cichaczem tegoż jeszcze wieczora do innego domu, położonego na samym krańcu miasta.

* * *

Domek był niewielki, piętrowy, otoczony zewsząd starym, zapuszczonym ogrodem. Tuż za rozwalającym się murem ogrodzenia zaczynały się już łąki i pola podmiejskie. Poza gospodarzem, starym Chaldejczykiem, znajomym Nehurabheda jeszcze z czasów pobytu w Babilonie, poza starszą jeszcze odcen gospodynią — nikt nie mieszkał w tym odludnym kącie, nikt go nie odwiedzał, nie niepokoił.

Nehurabhed dobre sobie wybrał schronienie. Zamieszkał wraz z Meliklesem na piętrze, w małej izdebce, której całe ściany zastawione były półkami. Na półkach stały rzędem cegielki zapisane kreskami, znaczkami, kropkami — klinowym pismem Chaldejczyków. Była to wielka biblioteka gospodarza, który był w jednej osobie filozofem, astronomem, astrologiem, wróżbitą, a przede wszystkim dziwakiem. Poza półkami najważniejszym sprzętem w tej izbie była drabina prowadząca na mały, płaski dach. Tam na górze spędzał uczony Chaldejczyk całe noce, patrząc w gwiazdy, obserwując ich ruchy, zapisując spostrzeżenia.

Zaraz pierwszego dnia wieczorem zabrał z sobą Nehurabheda na górę — pokazywał mu swe przyrządy, kije, drążki i koła, wyznaczające kierunek obrotu ciał niebieskich, tłumaczył długo swemu gościowi wielkie tajemnice zapisane gwiazdnym pismem na czarnej tablicy nieba.

Nehurabhed słuchał ciekawie, czasem potakując, czasem przecząc, żywa rozmowa trwała czas dłuższy. Potem gospodarz, zadowolony, że może wreszcie przed kimś popisać się swą mądrością, zapragnął i Meliklesa zachęcić do studiów nad boską nauką. Gdy tedy chłopiec wyszedł na dach, zaczął mu objaśniać możliwie przystępnie nazwy i dziwne obyczaje największych gwiazd i planet.

Melikles zrazu rozglądał się z zachwytem po rozgwieżdżonym niebie, wkrótce jednak uwagę jego zajęła zupełnie inna sprawa.

Oto koło domku niedaleko rósł olbrzymi cedr. Jeden z jego potężnych konarów sięgał niemal swymi gałązkami dachu. Po konarze tym ścigały się teraz dwa koty. Przedostawały się z gałęzi na gałąź, okręcały wokół pnia, ginęły i pojawiały znów. Były jasne, więc widać je było w mroku. Gonitwa trwała przez czas dłuższy; zainteresowanie chłopca wzrastało. Większy już, już doganiał mniejszego, gdy ten jednym pięknym skokiem wylądował

na dachu. Większy poszedł za jego przykładem, przez chwilę uganiały się pomiędzy przyrządami astronomicznymi, aż wreszcie mniejszy śmiałym susem przedostał się znów na cedr. Widok ten wywołał żywy odruch zadowolenia ze strony Meliklesa, który był całą duszą po stronie mniejszego. Uczony Chaldeczyk spojrział ze zdziwieniem na ten niespodziany wybuch radości, mówił bowiem właśnie o najstraszniejszej gwiazdzie Hathor, która kieruje złymi losami ludzi, powoduje wojny, zarazy, trzęsienia ziemi, jednym słowem wszystkie klęski spadające na rodzaj ludzki. Nehurabhed uśmiechał się lekko, zaciętrzewiony astrolog jednak zgorszony był i dotknięty do żywego.

I na tym skończyły się próby kształcenia Meliklesa w najszacowniejszej nauce, kierującej dziejami świata.

* * *

Kilka dni przeszło spokojnie. Meliklesowi dłużyły się one bardzo, Nehurabhed nie pozwolił mu bowiem wychodzić nigdzie z domu, sam również nie ruszał się krokiem w ciągu całego dnia. Dopiero gdy ściemniało się, wychodził na miasto. Wracał zresztą zawsze dość prędko, co raz to bardziej zatroskany.

Raz późnym wieczorem odwiedził go ów kapłan syryjski, u którego mieszkali poprzednio.

Po jego odejściu Nehurabhed rzekł do Meliklesa: — Jutro będę zapewne wiedział już wszystko. Potem będziemy mogli wreszcie opuścić Memfis. — Po chwili dodał w zamyśleniu: — a wkrótce również i Egipt.

* * *

Przez cały dzień Nehurabhed był dziwnie niespokojny. Z nastaniem zmierzchu, owinał się w płaszcz, zasunął kaptur na twarz i wychodził już z domu, gdy w progu niemal natknął się na tegoż kapłana syryjskiego.

Ten wszedł, a raczej wpadł do izby. Twarz miał wzburzoną, bladą, w oczach trwogę. Przyciszonym, prze-

rywany głos zdawał starcowi sprawę z jakichś wieści.

Melikles nie rozumiał słów, widział jednak z twarzy Nehurabheda, że wieści te są złe i groźne.

Nagle rozmowa urwała się.

Pod oknami rozległ się szybki tupot nóg; przytłumione odgłosy i nawoływania kilkunastu ludzi.

Syryjczyk zerwał się i chwycił za ramię Nehurabheda — szpiegowali mnie, szli śladem i otoczyli nas — krzyknął.

Nehurabhed spojrział przez okno; w bramie stało kilku strażników egipskich, na dole w mieszkaniu gospodarza słyhać było rumor, przesuwanie sprzętów, rozmowę jakąś gwałtowną, krzyk nagły. Czyjeś kroki zadudniły na schodach.

Melikles z Nehurabhedem zawalili drzwi ciężką skrzynią, zastawili je półkami. Patrzyli na siebie z grozą w oczach. Dyszeli ciężko. Ktoś gwałtownie dobijał się do drzwi. Melikles porwał miecz leżący w kącie.

— Zginęliśmy — szeptał Syryjczyk. — Zginęliśmy — powtórzył Nehurabhed.

Nagle Melikles chwyciwszy starca za rękę pociągnął go za sobą:

— Za mną, panie, chodźcie — za mną.

Wszedł na drabinę i w jednej chwili wydostał się na dach. Podeszedł do miejsca, gdzie olbrzymi konar cedru niemal dotykał gałęzmi ścian. Ze zręcznością kota uchwycił za zwisającą gałąź, nagiął ją nisko i w jednej chwili prześliznął się na konar. Nehurabhed zawahał się. Z dołu dochodził go rumor rozwalanych pośpiesznie drzwi; nie było wyboru. Z pomocą Meliklesa przedostał się jakoś na cedr, Syryjczyk poszedł za jego przykładem.

W jednej chwili zsunęli się po olbrzymim pniu w ciemną gąszcz parku. Jednocześnie jednak na górze rozległy się krzyki, ktoś ze strażujących we drzwiach

domu usłyszał trzask rozchylanych przez zbiegów gałęzi; wszczął alarm. Z domu wybiegło kilku żołnierzy — rozpoczął się bezładny pościg w ogrodzie.

Ścigani przebiegali od jednej kępy drzew do drugiej, dopadali już do muru ogrodzenia, gdy trzech strażników przecięło im drogę. Jeden z nich, dopadwszy z boku, pchnął nieszczęsnego Syryjczyka w pierś, zabijając go na miejscu. Melikles rzucił się nań, ciał krótkim swym mieczem na odlew przez twarz, strażnik wrzasnął nieludzkim głosem i runął na ziemię.

Drugi z żołnierzy, draśnięty sztyletem Nehurabheda, odskoczył w tył, trzeci widząc, że ścigani mają broń, umieją walczyć i zabijać, cofnął się też i zaczął wołać pomocy.

Melikles z Nehurabhedem przedostali się łatwo przez rozwalające się gliniane resztki muru i rzucili się na oślep przed siebie w ciemną głąb nocy.

Biegli łąką schodzącą coraz niżej w dół, raz wraz przechodzić musieli przez chruściane płoty, przez rowy przecinające im drogę.

Leciały za nimi okrzyki straży, rozkazy, nawoływania w ciemności. Kilkanaście pochodni zabłysło w oddaleniu.

Stary człowiek dyszał ciężko, biegł jeszcze, stawał i biegł znów. Dotarłszy do jakiegoś większego kanału przeszedł przezeń z trudnością, usiadł jednak zaraz na drugim brzegu — bez sił już.

— Nie mogę dalej — mówił przerywanym głosem — zostaw mnie, Meliklesie, i uciekaj.

Drżał cały z wysiłku, łapał z trudem powietrze w zmęczone płuca. Melikles stał nad nim bezradny. — Uciekaj — szeptał starzec — powiedz Grekom, Philemonowi, powiedz... — głos ledwie wychodził ze ściśniętego gardła — że korpus grecki ma być rozwiązany, że... słuchaj, uważaj, że rodziny, dzieci wszystkich wojskowych

będą uwięzione, że, że... — starzec nie mógł mówić.

Z bliska dobiegały odgłosy straży. Blaski pochodni zamigotały wśród zarośli.

— Uciekajmy, panie — szeptał z rozpaczą chłopak. Dźwignął starca z ziemi, ruszyli znów. Weszli teraz w gąszcz szuwarów, trzciny, brnęli po kostki w wodzie, pełzali na czworakach wśród ostrej trawy. Gdy wydobyli się z gęstwy, ujrzeli tuż przed sobą niezmierną płaszczyznę rzeki. Święty Nil rozpościerał przed nimi spokojną, ciemną głębię. Wiało chłodem, wilgocią i ciszą.

Na brzegu, na prawo, o kilkadziesiąt kroków zaczął się rozległy port rybacki, ciągnący się nieprzerwanie wzdłuż całej wschodniej strony Memfis. Melikles bez wahania skoczył w tę stronę.

Biegł, ale co chwila zatrzymywał się, podnosił i podtrzymywał Nehurabheda wlokącego się ostatkiem sił.

A oblawa była już tuż. Widocznie strażnicy zwołali do niej całą ludność przedmieścia, bo nawoływania biegły ze wszystkich stron, a całe wybrzeże rozbłysło od świateł. Z oddali ozwały się naszczekiwanie psów.

— Psami nas wytropią i znajdą — mówił starzec.

Ale Melikles wiedział już, co robić. Dobiegłszy do linii łodzi, wyszukał bez trudu maleńkie czołno rybackie i kilkoma szarpnięciami zepchnął je na wodę. Nehurabhed przyszedł mu z pomocą.

Jeszcze chwila — i małe czołno, odepchnięte od brzegu silnym ramieniem chłopca, wysunęło się cicho na spokojny nurt rzeki, unosząc zbiegów w białą mgłę, która stała nad rzeką.

Melikles wyprowadził z początku łódź jak najdalej na środek rzeki i dopiero kiedy stracił z oczu brzeg i wiedział, że sam nie może być widziany, skręcił z biegiem rzeki — na północ. Przez jakiś czas widać jeszcze było mętne światła migocące na wybrzeżu, słychać było okrzyki i nawoływania; potem umilkło wszystko.

W ciszy odzywał się tylko miarowo szmer wody rozgarnianej energicznymi posunięciami wiosel.

* * *

Nehurabhed odezwał się drżącym jeszcze ze zmęczenia głosem: — Meliklesie, po raz wtóry ocaliłeś mi życie!

Ale po chwili dodał: — Co prawda, tym razem nieźmiernie nam jeszcze daleko do ocalenia!

— Czy sądzisz, panie, że strażnicy ścigać nas będą i tutaj?

— I tutaj, i na łądzie, i wszędzie na całej ziemi egipskiej. Bez odpoczynku, bez wytchnienia, bez litości. I straż miejska, i policja, i żołnierze kapłańscy, i wszystkie oddziały wojska w górnym i dolnym Egipcie, i Fenićjanie, i chłopci, i cały lud egipski. Wszyscy ścigać nas będą, szukać, tropić jak psy. Nie ma takich wysiłków, które nie zostałyby podjęte, aby nas schwycić, nie ma takich ofiar, takich nagród, które by nie zostały wyznaczone za nasze głowy.

— Dlaczego, panie?

— Dlatego, że my jedni znamy dziś tajemnicę, od której zdrzeć mogą mury świętego państwa. Nieszczęsny kapłan syryjski przypłacił tę tajemnicę życiem, ale zdążył przekazać ją nam.

— Panie — szepnął Melikles — mówiłeś mi dziwne słowa tam, podczas ucieczki, gdyś leżał bez tchu w kanale, alem nie rozumiał nic, myślałem tylko, jak cię podnieść i zmusić do ucieczki.

— Tak, Meliklesie, słuchaj więc teraz uważnie. Pamiętaj, że od tego zależy los tysięcy twych rodaków. Musisz wiedzieć o wszystkim, albowiem życie nasze wisi na włosku. Kto z nas przeżyje, komu uda się wyjść cało, ten musi zanieść tę wiadomość do oddziałów greckich w Saisie. Zrozumiałeś, Meliklesie?

Chłopak skinął głową, nie przestając wiosłować. — Słuchaj więc. Wczoraj odbyła się w Memfisie narada naj-

wyższych dostojników Egiptu, na której postanowiono rozwiązać i rozbroić wszystkie oddziały greckie, które znajdują się dotąd w dolnym Egipcie, przede wszystkim w obozie wojskowym pod Saisem. Ponieważ Grecy mają przyrzeczenie, mają umowę na szereg jeszcze lat służby w przybocznym korpusie jego świątobliwości, ponieważ stanowili do niedawna uprzywilejowaną część wojska — kapłani spodziewają się, i słusznie, wybuchu gniewu i rozpaczki ludzi pozbawionych od razu zaszczytów, zarobków, pracy i chleba. Żeby się zabezpieczyć od możliwych rozruchów, kapłani wpadli na myśl, którą zaiste sam zły duch podszeptać im musiał. — Słuchaj, Meliklesie.

Oto w Saisie i w pobliżu obozów wojskowych mieszkają rodziny oficerów greckich, które, jak wiesz, nie mogą znajdować się na miejscu w obozach. Rodziny te, a przede wszystkim dzieci wszystkich oficerów, dowódców, a nawet dziesiętników żołnierskich mają być w najbliższych dniach uwięzione i będą traktowane jako zakładnicy na wypadek rozruchów żołnierskich.

Melikles zdrętwiał.

— A faraon — krzyknął — faraon zgodził się na to?

— Faraon jest stary, chory, siedzi w swoim pałacu otoczony lekarzami, wróżbitami i nie wie zapewne o niczym.

Na rozwiązanie części korpusu greckiego dał swą zgodę, bo go podmówił do tego sam Simonides, nie znoszący Pelleasa, jednakże z tą ostatnią podłością nie wspólnego nie ma. Kapłani robią wszystko za jego plecami, aby zaś usprawiedliwić te matactwa, oskarżają jednocześnie Pelleasa o zdradę, o prowadzenie konszachcowań z Cyrenejczykami. To nieprawda, ale kapłani będą mieli na wszystko świadków i król uwierzy im, a nie jemu. Sam Simonides, któremu król ufa, popiera tę skargę na złość Pelleasowi. W tych warunkach, gdy będzie już po wszystkim, doradcy jego świątobliwości wytłumaczą mu

łatwo, że pochwycenie zakładników było konieczne dla zduszenia w zarodku rzekomego spisku, że inaczej nie można było utrzymać wojska w karbach, że wreszcie dzieci będą puszczone, jeżeli wojsko zachowa się spokojnie.

— A jeżeli nie będzie spokojnie?

— To zakładnicy, ci, którzy przetrzymają więzienie przez cały czas wojny z Cyreną, będą sprzedani Fenicjanom na targi w Sydonie czy Kartaginie. Nie potrzeba zresztą na to jakichś wielkich rozruchów żołnierskich, wystarczy byle pozór. Wiemy wszyscy, jak kończą zwykle tacy zakładnicy. Z żołnierzami zaś, z chwilą gdy ci raz złożą broń — nikt liczyć się nie będzie.

Meliklesowi pot ściekał po twarzy. Przestał wiosłować i rękami zasłonił oczy. Przyszła mu na myśl Anyte, śliczna mała Anyte. Przecież i ona jest pod Saisem, i ona jest córką oficera. I ona miałaby być uwięziona, miałaby dostać się w ręce strażników Fenicjan, znaleźć się może na strasznych targach Kartaginy. Zgroza podnosiła mu włosy na głowie, ręce zaciskały się z wściekłości.

Nehurabhed mówił dalej: — Ku wiecznej hańbie Egiptu wszyscy dostojnicy królewscy podpisali ten rozkaz. Nie zgodził się tylko jeden nomarcha Elefantyny, stary wódz, ten, z którym porozumiewałem się właśnie przez nieszczęsnego Syryjczyka. Zażądał on podpisu faraona pod rozkazem chwytania zakładników i rzucił wzgardliwie, że przywykł walczyć z żołnierzami, a nie z dziećmi.

Za to uwięziono go dzisiaj w pałacu, wraz z całą służbą i otoczeniem. Tyle tylko, że zdążył przedtem opowiedzieć straszną wieść Chaskaranowi, kapłanowi syryjskiemu, a ten wykradł się z pałacu i przybiegł do mnie. Te lotry jednak musiały zobaczyć go, szli śladem i otoczyli nas. Resztę znasz! W tej chwili od nas i tylko od nas zależy los rodzin i oddziałów greckich w Saisie. Jeżeli

zdażymy przestrzec Pelleasa, może uda mu się ściągnąć dzieci do obozu, zawiadomić inne oddziały greckie, a przede wszystkim dać znać samemu faraonowi, usprawiedliwić się z zarzutu zdrady i wyjednać cofnięcie nie-ludzkiego rozkazu. Jeżeli zdażymy na czas, przed wyko-naniem niecných planów — i jeśli zdołamy przedrzeć się przez rozstawione strażę. Zrozumiałeś, Meliklesie?

Chłopiec, zamiast odpowiedzi, chwycił za wiosła i jął pracować gorączkowo. Czółno leciało jak na skrzydłach.

— Czy sądzisz — rzekł starzec — że spostrzeżono nasze czółno i że ścigają nas już teraz?

— Nie, panie, nie sądzę. Noc była ciemna, zresztą słyszelibyśmy już pościg i widzielibyśmy światła na łódziach za nami w górze Nilu.

— To dobrze, szukają nas może dotąd w trzcinach i kanałach nadbrzeżnych; przez ten czas będziemy daleko. Ile możesz przepłynąć w ciągu nocy?

— Tak jak płyniemy z prądem — cztery do pięciu parasangów.

— Staraj się płynąć jak najprędzej. Musimy przed świtaniem przejechać koło Heliopolisu.

Słowa Nehurabheda były zupełnie zbyteczne.

Melikles czuł ciężącą na nim odpowiedzialność, wiedział, że wszystko zależy od niego, skupił się, zwarł w sobie. — Wnuk i syn żeglarza, zrośnięty z wodą i wiosłem, biorący sam już nieraz udział w wyścigach na wytrwałość, nakazał sobie przede wszystkim spokój, nie wiosłował gwałtownie, aby oszczędzić sił; za to każdy jego rucn był celowy, opanowany. Odpoczywał rzadko, czasem zastępował go wtedy Nehurabhed, czasem łódź szła sama z biegiem rzeki. W takich chwilach otaczała ich taka cisza, tak ogromne milczenie i spokój, że Meliklesa ogarniało zdziwienie.

Świat cały pełen grozy. strasznych wieści, pościgu, niebezpieczeństw wydawał mu się niezmiernie daleki, jakby nierzeczywisty — nieprawdziwy.

Wnet jednak, gdy tylko rytm zmęczonego serca uspokajał się nieco, chłopak zrywał się, chwytając znów za wiosła i ruszał z nową siłą naprzód.

Sierp księżyca przesunął się zwolna nad nimi, nie rozjaśniając mroku. W otaczającej ich głębokiej ciemności nocy widzieli tylko naokoło szaromętą masę płynących leniwie wód, stapiającą się w głębi z czarniejszym jeszcze pasmem lądu.

W pewnej chwili, na tle jednakowej równej linii widnokregu oddzielającej czarną ciemność lądu od granatowej ciemności nieba — zarysowały się olbrzymie sylwetki trójkątnych gór, wbijających się wielkimi klinami w niebo.

— Piramidy — szepnął Nehurabhed.

Melikles patrzył na nie z podziwem, nie mogąc pohamować lęku. Od czarnych kamiennych masywów szła milcząca, tajemnicza groza.

Chłopiec wiedział, że są to grobowce zmarłych dawno faraonów, wiedział, że są dziełem rąk ludzkich, nie boskich, że swych pośmiertnych pałaców pilnują duchy wielkich władców niezmiernych obszarów państwa.

Przyszło mu na myśl, że patrzą oni teraz ze szczytu tych gór wzniesionych nie ludzką dumą — na nich, mizeryjnych cudzoziemców, którzy ośmielają się zakłócać spokój świętej rzeki.

Słyszał on, że niektóre z posągów kamiennych grają czasem ponurą pieśń, i teraz zdawało mu się, że dochodzi go z oddali jakby przytłumiony, głęboki jęk.

Wiosłował co sił, chcąc wydostać się jak najprędzej z tych miejsc, nad którymi panują złe moce Egiptu. Modlił się w duchu do swoich słonecznych bogów: do

Zeusa, do Apollona, aby go mieli w swej opiece i bronili przed zemstą potężnych obcych, ponurych bóstw o głowach sępów, szakali czy krów.

A cienie piramid przesuwwały się, zwolna oddalały, aż znikły we mgle.

I znów otaczała ich tylko woda i mrok, i niebo, pokryte gwiazdami.

Tak przechodziły długie godziny nocy.

A z Memfisu wyruszali na cztery strony świata konni wysłańcy kapłańscy z rozkazami do wszystkich oddziałów wojska, straży, policji rzecznej, do urzędników i ludności miast i wsi, aby chwycić i uwięzić groźnych zbiegów.



Przed świtem, gdy niebo ledwie zaczynało jaśnieć na wschodzie — natknęli się na kilka mniejszych i większych łodzi, stojących nieruchomo na środku rzeki. W pierwszej chwili Melikles zląkł się: sądził, że Egipcjanie zdążyli już zastawić sieci i że niebacznie dostał się w ich ręce. Wnet jednak z niedbanych, spokojnych ruchów załogi zrozumiał, że są to zwykli rybacy, zajęci swoimi sprawami. Bał się, że może ich łódka zwróci na siebie uwagę rybaków, ale i w tym mylił się także; mimo zupełnej jeszcze nocy ruch na wodzie budził się już, coraz więcej łódek z sąsiedniego Heliopolisu wypływało na połów. W tych warunkach jedno więcej czółno, którego załogi nikt w ciemności rozeznąć nie mógł — nie budziło niczyjej uwagi.

Mijali Heliopolis. Rozległy port, świecący nadbrzeżnymi ogniskami, pozostał z daleka po prawej stronie. Melikles wiosłując gorączkowo wydobył się przed nadejściem dnia z niepożądanego sąsiedztwa łódek i czółen rybackich; ten ostatni wysilek jednak po całonocnej wytężonej pracy — wyczerpał siły chłopca.

Już też i dzień był coraz większy.

Korzystając więc z tego, że żadnej łodzi wokół nie było widać, i że na rzece podniosły się mgliste opary zasłaniające ich zewsząd — przybili pośpiesznie do brzegu.

Wciągnęli czołno między trzciny przybrzeżne, po czym wydostali się sami na wyższy, suchy brzeg — nie chcąc spędzać dnia w pobliżu krokodyli. Bujna łąka zasłaniała ich przed oczami ludzkimi.

Melikles, nieprzytomny ze zmęczenia, rzucił się na ziemię i zasnął niemal natychmiast kamiennym, nieprzeartym snem.

Gdy obudził się, słońce schodziło już z południa.

Przeciagnął zbolale kości, usiadł i rozejrzał się.

Przed nim rozciągała się ogromna rzeka, właściwie jedno jej ramię, druga bowiem olbrzymia jej część skręcała tuż za Heliopolisem ku wschodowi.

Z miejsca, na którym leżeli, widać było z daleka zarówno samo miasto jak i potężny rozdział wód świętej rzeki. Tu zaczynał się właściwy Dolny Egipt, najżyźniejsza, najbogatsza część wielkiego państwa.

Cały ten kraj, objęty deltą — w jesieni — w porze przyboru Nilu zamieniał się w jedno olbrzymie jezioro z tysiącem wysp, wysepek, gajów, domów i domków otoczonych wodą.

Teraz od szeregu miesięcy Nil opadał, na miejscu jeziora wznosiła się zieleń najbujniejszych w świecie zbóż i łąk, dalej chwiały się w lekkim wietrze lasy palmowe. Ale i teraz zieleń ta poprzecinana była na wszystkie strony siecią odnóg życiodajnej rzeki, naturalnych i sztucznych kanałów.

Lódka była dla podróżujących w tym kraju ważniejsza, niż koń i wóz.

Nagle uwagę Meliklesa zwrócił dziwny ruch, panujący na środku rzeki, w górze jej, w stronę Heliopolisu. Do barek, płynących z południa, podjeżdżały łodzie napelnione żołnierzami i zawracały je do brzegu, do stojących tam oddziałów straży. W ten sposób w oczach Meliklesa zawrócono i zatrzymano przy brzegu kilka większych i mniejszych galer. Rzecz działa się w odległości

kilku zaledwie stadiów, Melikles widział wszystko dokładnie, przypatrując się szczególnie uważnie odmiennym kształtom barek egipskich, podobnych do wywróconego sierpu półksiężyca o mocno podniesionych obu rogach, z małym żaglem pośrodku, z długim, cienkim wioślarstwem ciągnącym się daleko za tylnym rogiem statku.

Nehurabhed, który obudził się również i przyglądał ciekawemu widokowi — uśmiechnął się do chłopca.

— To nas tam tak szukają na tych galerach. Sieć, jak widzisz, zastawiona; szkoda tylko, że ryby są już po jej drugiej stronie.

— Mogą jednak rozstawić strażę i dalej w dole rzeki, przed Saisem.

— Nawet na pewno to zrobili i dlatego nie możemy płynąć zwykłą drogą wprost do Sais. Musimy zrobić inaczej. Zaraz za zakrętem, który widzisz stąd, skrećimy w prawą, mniejszą odnogę, która kieruje się również na północ i przepływa nie opodal od Saisu, na wschód od miasta. Będziemy jednak i tam musieli posuwać się z największą ostrożnością, bo strażnicy i tam są powiadomieni i roztoczą nadzór nad rzeką.

* *

Z nadejściem nocy zbiegowie wyruszyli w dalszą drogę. Początkowo wszystko szło dobrze. Noc była ciemna; rzeka pusta zupełnie wydawała się bezpieczna. Bez trudu dotarli do odnogi Nilu, o której mówił Nehurabhed, i skreścili w nią. Płynęli jednak wolniej, gdyż i nurt był tutaj słabszy, i ostrożność trzeba było zachować coraz większą.

Przystawali często na środku rzeki i wsłuchiwali się w ciszę panującą naokół. W razie jakiegokolwiek szmeru, szelestu dobiegającego od brzegów ogarniał ich lęk, czy to nie odgłosy straży czatujących w pobliżu. Tamowali wówczas oddech w piersiach, i dopiero po dłuższej chwili — uspokoiwszy się — ruszali naprzód.

Przez cały czas wbijali oczy w mrok przed dziobem czółna, obawiali się bowiem wpaść na rozstawiony łańcuch łodzi strażniczych.

W ten sposób posuwano się bardzo wolno.

Noc była niezwykle ciemna; i to również utrudniało podróż — tym bardziej, że Nehurabhed nie znał dobrze drogi.

A rzeka raz rozlewała się szeroko, drugi raz szła wąskim korytem wśród stojących nad nią cieniów olbrzymich palm. Wyłynęli wreszcie jakby na duże jezioro, skąd rozchodziły się promieniście liczne odgałęzienia i kanały. Kierując się tylko gwiazdami Nehurabhed obrał jedną z odnóg, idącą najprościej na północ. Po przepłynięciu jednak kilkunastu zaledwie stadiów, zrozumieli, że muszą zboczyć z głównego nurtu. Rzeka wprawdzie była dość szeroka, ale płytka i coraz płytsza. Kępy trzcin i sitowia zagradały im drogę, musieli omijać je, wyszukiwać czystych miejsc, parokrotnie Melikles musiał przepychać czołno wśród trzcin. Przez chwilę namyślali się, czy nie zawrócić, ale Nehurabhed miał nadzieję, że może odnoga ta łączy się niżej z głównym ramieniem rzeki. Brnęli więc dalej naprzód.

Melikles czuł coraz większe zmęczenie.

Od kilkudziesięciu godzin nie miał nic w ustach, prócz kilku jajek ptasich, znalezionych w dzień na łące. Głód nie dodawał mu sił, a płatanina łądyg, liści i trzcin utrudniała wiosłowanie.

Po paru godzinach takiej jazdy wypłynęli na nieco czystszy i szerszy teren, jednocześnie jednak odnoga skręcała wyraźnie na wschód, to jest oddalała się od głównego koryta rzeki.

Nehurabhed kazał przystanąć.

Przed nimi majaczył cień jakiejś kępy zarośli. Podpłynęli bliżej. Była to spora wysepka położona na środku

rzeki. Postanowili zatrzymać się tu do końca nocy i przy dniu zorientować się, którądy i dokąd płynąć dalej.

Nagle wśród gęstych pni kilkudziesięciu wachlarzowatych palm na wyspie spostrzegli zarysy małego domku. Przyciszyli głos i naradzali się chwilę, co robić.

Od Saisu dzieliło ich jeszcze blisko dwa dni drogi. — Było niepodobieństwem, aby przez ten czas można się było obejść bez pomocy ludzi. Przede wszystkim trzeba się było koniecznie zaopatrzyć w żywność. Nigdzie po drodze dotąd nie mogli tego uczynić, bo wszystkie przybrzeżne wsie mogły być powiadomione o zbiegach i niechybnie dałyby znać straży o podejrzanych wędrowcach.

Tu jednak do tej odludnej wysepki, otoczonej rozlewiskami wód, żadna wieść dotrzeć jeszcze nie mogła. Oczywiście zjawienie się tutaj obcych podróżnych o tak późnej porze na pewno wyda się podejrzane, ale tego nie podobna było uniknąć. Nehurabhed postanowił zresztą podać się za kapłana, pilnującego wodnych robót, który odbywa podróż dla zbadania biegu rzeki i pomiaru brzegów.

Po krótkim tedy wahaniu, przymocowawszy czółno, ruszyli ku nieznanemu domostwu. Powitało ich zawzięte szczekanie psa. Za chwilę z glinianej lepianki wyszedł i sam gospodarz — mały, wąty człowieczek. Ten ujrzawszy obcych ludzi wśród nocy stał chwilę zdumiony i przerażony, nie wiedząc czy bronić się, czy uciekać.

Zaraz jednak Nehurabhed wytłumaczył mu, o co chodzi. Mówił przy tym tonem twardym, rozkazującym, którym zawsze kapłani przemawiali do chłopów. Nie prosił, ale żądał noclegu i żywności dla siebie i swego służącego, zapowiedział wreszcie, że jutro przybędzie tutaj więcej ludzi, którzy robić będą pomiary brzegów i głębokości wód.

Chłop upadł na twarz przed wielkim dostojnikiem, jęczał i narzekał na ciężkie czasy, na nieurodzaj, na gnio-

tać go nędzę, usprawiedliwiał się, że nie ma czym przyjąć tak wysokich gości; w końcu jednak z pomocą swej kobiety wy dostał i placek jęczmienny, i kawał ryby, i garść daktyli.

Obaj zbiegowie spożywali skwapliwie wszystko, co dostali. Przy świetle wątego łuczywa rozglądali się po małej izdebce. Była to właściwie nora z jednymi niskimi drzwiami, zasłoniętymi brudną szmatą.

Gospodarz, brunatny fellah, przypatrywał im się też bacznie małymi, chytrymi oczkami. Gdy Nehurabhed obiecał mu hojną zapłatę za nocleg i żywność — uniżoność jego i pokora wzrosły jeszcze.

Odstąpił na resztę nocy gościom swoje łóżko, a właściwie barłóg ze słomy, a sam wśród ustawicznych pokłonów wyniósł się wraz z żoną z izby.

Nehurabhed przyjął to jako rzecz zwykłą. Wskazał Meliklesowi posłanie. Chłopak nie namyślając się skorzystał z pozwolenia i za chwilę spał już jak zabity. Nehurabhed zgasił łuczywo, siedział jednak wciąż na małym stołeczku, nie kładł się. Zmęczenie i senność ogarniały go również, ale starzec nie pozwolił sobie na odpoczynek. Czuwał. Chłop, gospodarz domu, nie podobał mu się. Starzec miał rzadki dar poznawania ludzi od pierwszego wejścia. Dlatego tak od razu polubił Meliklesa i instynkt nie zawiódł go. A teraz ten sam instynkt mówił mu, że nie należy ufać Egipcjaninowi.

Nasłuchiwał. Spoza drzwi, a właściwie spoza otworu wejściowego, dochodziły jakieś szmery, jakby przesuwania ciężkich przedmiotów. Widocznie gospodarz szykował sobie posłanie przy ścianie domu. Po chwili ucichło wszystko. Wokoło zaległo milczenie, ciemność, spokój. Starzec zaczął kiwać się coraz mocniej na stolku, czuł, że zaśnie. Wstał więc z wysiłkiem i zaczął przechadzać się po izbie, wreszcie podszedł do drzwi i odchylił zasłonę.

Zamiast nocy, palm i nieba ujrzał przed sobą ścianę — zdumiał się. Wejście zastawione było zbitymi deskami. Pchnął je. Nie ustępowały. Od góry odgięły się nieco, tworząc małą szparę, od dołu nie drgnęły nawet. Widocznie przywalone zostały czymś ciężkim. Nehurabhed po- hamował okrzyk, który cisnął mu się na usta.

Byli zamknięci.

Natychmiast zbudził Meliklesa.

Chłopak zrozumiałwszy, co się stało, otrzeźwiał w jednej chwili. Zerwał się na równe nogi.

Wspólnymi siłami próbowali znowu odepchnąć przeszkodę. Deski zatrzeszczały, zgięły się nawet góra, ale nie puściły. Melikles porwał miecz, rozszerzył nim szczelinę między deskami, wcisnął w nią drąg, podważył belkę, szarpnął raz, drugi, trzeci. Rozległ się trzask. Deska od- dała się, otwierając szeroką szparę.

Chłopiec przecisnął się przez nią, przelazł na drugą stronę. Odetchnął. Rozejrzał się naokół. Wysepka była pusta. Chłop uciekł wraz z żoną. Pozostał tylko pies, który ujadął i szarpał się na postronku.

Melikles nie zwracał na niego żadnej uwagi, zabrał się pośpiesznie do usuwania przeszkód tarasujących wejście.

Deski czy raczej belki, którymi ich zamknięto, sta- nowiły rodzaj małej tratwy, przygotowywanej zapewne do przewozu siana; tratwa od dołu podparta była ogrom- nym kłocem nieobrobionego pnia palmy.

Melikles przetoczył ten kłoc na bok i za chwilę sta- rzec wyszedł ze swego więzienia.

Byli wolni. Tak im się przynajmniej zdawało. Rzucili się pośpiesznie ku swemu czołnu. Przez chwilę szukali go gorączkowo w ciemności. Czołna nie było. Obeszli wokół całą wysepkę. Nic — żadnego śladu łodzi. A przecież zdra- dziecki fellah musiał mieć i własną łódź, którą jeździł na brzeg.

Łotr przewidywał jednak widocznie, że zbiegowie łatwo wymkną się z lichej pułapki i postanowił inaczej odebrać im drogę ucieczki.

Melikles kłął; Nehurabhed gryził wargi w milczeniu. A czas upływał. Egipcjanin był już niewątpliwie daleko, zwoływał swych sąsiadów albo strażników czatujących nie opodal. Każda chwila była droga i coraz droższa.

Meliklesowi przyszło jednak na myśl, czyby nie dało się zużytkować tej zapory drewnianej, którą zamknięto ich w izbie. Zapora była zbita z kilku cienkich belek, była dość szeroka i mogła od biedy zastąpić lichą tratwę.

Bez straty tedy czasu rzucili się ku domkowi; przeciągnęli tratwę na brzeg. Melikles wyszukał drąg mający służyć za wiosło. Ostrożnie, z trudem zachowując równowagę wpełzli na wątlą tratewkę. Tu jednak zaczęły się trudności. Słabe belki pod ciężarem dwóch ludzi zanurzyły się powoli w wodę, nie tonęły wprawdzie, ale usiłowały jakby wymknąć się spod swego ciężaru.

Nehurabhed i Melikles klęczeli trzymając się oburącz belek. W ten sposób nie można było jednak wiosłować ani odpychać się drągiem. Melikles stracił sporo czasu, aby zmienić pozycję, usiadł wreszcie, chwycił drąg w ręce i odepchnął się od brzegu.

Tratwa zanurzona zupełnie w wodzie szła bardzo opornie, z trudem przepłynęli kilkanaście kroków. Nagle Melikles odepchnął się snać za silnie czy tratwa natrafiła na płataninę trzciny i łądy, deski zachwiały się, zachybotały i Nehurabhed poruszył się gwałtownie, przeważył w bok; obaj zbiegowie zsunęli się w wodę.

Melikles wypłynął od razu. Świetny pływak nie stracił ani na chwilę głowy. Rozejrzał się wokoło. Nehurabhed trzepotał się w wodzie, rozbryzgiwał ją rękami nie mogąc się utrzymać na powierzchni. W oczach miał przerażenie, z ust wydierał się jęk.

Melikles podtrzymując głowę starca. płynął z całym wysiłkiem ku pobliskiemu brzegowi. Szło mu to z trudem, gdyż starzec rzucił się, a przybrzeżne trzciny tamowały ruchy. Wkrótce jednak uczuł pod nogami grunt, przedostał się wśród kępy trzciny i wyszedł wraz z Nehurabhedem na brzeg.

Byli z powrotem na przeklętej wyspie.

Siedzieli bezradnie, bez tchu w zmęczonych piersiach.

Przed nimi o kilkanaście kroków chwiała się na wodzie tratewka, znoszona leniwym prądem coraz bardziej na środek rzeki.

Melikles rzucił się, dysząc, na ziemię. Było mu już wszystko jedno. Cała jego energia była zupełnie wyczerpana. Gdyby był sam, przepłynąłby bez wahania rzekę, chociaż wyprawa taka przez wodę rojącą się może od krokodyli byłaby nawet dla najlepszego pływaka — mocno niebezpieczna.

Ale z Nehurabhedem! — Starzec nie umiał pływać, czego dał wyraźnie dowody; musiałby więc pozostać na wyspie. O tym Melikles nie chciał nawet myśleć.

— Co robić? — szeptał bezradnie.

— Poczekaj, Meliklesie! muszę się dobrze zastanowić.

Chłopak nauczył się wysoko cenić namysł swego mistrza i pana i słowa te dodały mu nieco otuchy.

— Musimy się ukryć — rzekł powoli Nehurabhed.

— Wysepka mała; znajdą nas z łatwością.

— Naturalnie, toteż trzeba, żeby nas nie szukali.

— Jak to? — zdumiał się chłopiec.

— Tak; trzeba, żeby nas nie szukali albo żeby nas szukali źle.

— To niemożliwe!

— To możliwe. Szuka się źle, jeżeli się wierzy, że szukany jest zupełnie gdzie indziej albo, że go nie ma wcale. Słuchaj, Meliklesie — widzisz tę tratwę na rzece?

— Widzę.

— Tak, otóż Egipcjanie, gdy przybędą, zobaczą ją również, bo nie zdoła odpłynąć daleko, trzciny ją zatrzymają.

— Tak jest.

— Popłyną tam i znajdą zapewne i drogę, a może i mój kaptur, który mi się oderwał i gdzieś zapadział.

— Tak.

— Dobrze. A teraz, Meliklesie, czy umiałbyś krzyczeć przeraźliwie, strasznie, tak jak krzyczą tonący; tak, aby słuchającym krew ścinała się w żyłach. Ja spróbuję wołać tak samo.

Melikles skinął głową; zaczynał rozumieć plan Nehurabheda.

— Dobrze. Otóż Egipcjanie muszą już być niedaleko. Gdy usłyszą nasze krzyki, zrozumieją, że toniemy. Skoro zaś zobaczą tratwę pustą daleko na rzece — uwierzą, muszą uwierzyć, że zginęliśmy. Dzień będzie za pół godziny i tratwę zobaczy każdy.

— A pies, panie! — krzyknął nagle Melikles — pies, zapomniałeś o psie, on nas zdradzi.

Nehurabhed potrząsnął głową. — On nam dopomoże — rzekł.

Podniósł się z miejsca i ruszył prędko ku domowi.

I tutaj Melikles stał się po raz pierwszy świadkiem prawdziwych czarów.

Starzec wyniósł z izby łuczywo, usiadł o kilka kroków naprzeciw psa, który rwał się uwiązany charcząc z wściekłości.

Spokojnym, obojętnym wzrokiem starzec wpatrzył się w nabiegłą krewią ślepią. — Płomień łuczywa oświecał doskonale jego nieruchomą, jakby wykutą z brązu twarz,

Pies zjeżył się, przestał warczeć, nie spuszczał oczu z Nehurabheda. Po chwili zaczął mrużyć ślepią, uspokoił się, zamknął wreszcie oczy, jednocześnie wyprężył ciało i wpadł w zupełne odrętwienie.

Nehurabhed powstał, dotknął rękami powiek psa i otworzył mu oczy. Pies dźwignął się ciężko z ziemi, usiadł i polizał rękę Nehurabheda. Starzec przemówił do niego kilka słów spokojnym, poważnym tonem, po czym przyzwał do siebie Meliklesa. Pies obwąchał chłopca, merdając przyjaźnie ogonem; na rozkaz Nehurabheda odszedł jednak natychmiast w kąt pod ścianę i przywarował posłusznie.

Melikles patrzył na wszystko rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

— Ten pies nie spostrzeże nas teraz, nie usłyszy, nie poczuje, choćby był na krok od nas — rzekł starzec.

— Więc jednakże jesteś czarownikiem, panie!

Starzec machnął lekceważąco ręką. — Takim samym czarownikiem jest każdy wąż — rzekł. — Dość już jednak tego. Dzień już widać na wschodzie. Musimy natychmiast zacząć tonąć.

Ruszyli na kraniec wyspy, możliwie najbliżej do płynącej w oddali tratwy. Melikles wszedł parę kroków w wodę, aby głosy leciały bardziej od strony rzeki.

Za chwilę rozpaczliwe wrzaski tonących przeszły spokojną ciszę nocy. Krzyk przeszedł w straszliwy skowyt, w przytłumione, belkocące wycie. Trwał długo, długo aż do zupełnego ochrypnięcia. Chwila przerwy i znów wycie jeszcze okropniejsze, urwane, krótkie — i już. Cisza. Wszystko skończone. Topielcy zatonęli.

Melikles z Nehurabhedem szli brzegiem na drugi koniec wyspy, szukając wśród trzciny i zarośli miejsca, które dałoby im jakieś takie schronienie.

Przyśpieszyli kroku, bo ujrzeni na niedalekim brzegu kilka światła. Jednocześnie dobiegły ich zmieszane głosy Filkunastu ludzi.

— Wracają — szepnął Melikles.

Wleźli pośpiesznie w gęste trzciny przybrzeżne, przykłęknęli zgięci w kabląk, zanurzeni po pas w wodzie i gęstym mule.

Już też i czas był najwyższy. Dzień robił się coraz większy, a odgłosy nadjeżdżających słyhać było wyraźnie. Za chwilę spośród oparów mgły porannej wynurzyły się dwie łodzie, wiozące siedmiu — ośmiu chłopów i trzech żołnierzy-strażników. Wszyscy oni, wyskoczywszy na ląd, puścili się pędem ku domostwu.

Zbiegowie utaili dech w piersiach. Nashuchiwali.

Od domu dobiegły ich okrzyki, zapytania jakieś, odpowiedzi, rozkazy.

Melikles nie rozumiał nic z tego zgiełku, ale Nehurabhed chwycił sens poszczególnych słów.

— Tego się spodziewałem — rzekł wreszcie. — Spostrzegli, że nie ma tratwy, którą zatarasowali drzwi, i idą jej śladem do brzegu.

Rzeczywiście wleczona bokiem tratwa zostawiła za sobą wyraźną drogę.

Za chwilę okrzyki zerwały się znów.

Spostrzeżono tratwę na rzece — daleko przy przeciwnym brzegu.

Obydwie łódki napelnione ludźmi wyruszyły natychmiast na miejsce wypadku.

I od tej pory wszystko działo się tak, jak to przewidywał Nehurabhed.

Egipcjanie słyszeli straszne krzyki tonących, widzieli pustą tratwę daleko od wyspy, żadne podejrzenie nie powstało w nich, że zbiegowie mogą być właśnie tutaj.

Po krótkich poszukiwaniach znaleziono i drąg służący Meliklesowi do odpychania. Drąg tkwił w szuwarach na przeciwnym brzegu, co upewniło ostatecznie Egipcjan, że katastrofa nastąpiła daleko od wyspy. Zbadano tedy brzeg i tak, jak to zwykle bywa, pierwszy z szuka-

jących nie znalazł żadnego śladu, drugi znalazł ślady pierwszego, trzeci drugiego i pierwszego — w rezultacie nikt nie wiedział na pewno, czy ślady były czy nie.

Przypuszczano jednak powszechnie, sądząc z okropności krzyków, że obaj zbiegowie utonęli.

Na wszelki przypadek przepatrzone starannie zarówno nadbrzeżne; wszystkie te jednak poszukiwania odbywały się na drugim brzegu. Samą wysepkę pozostawiono w spokoju.

Na polecenie strażnika chłop spuścił wprawdzie z postronka psa i obszedł z nim swoje domostwo. Przez cały jednak czas patrzył na to, co się dzieje na drugim brzegu, a pies uganiał się jednocześnie za jaszczurkami. Spełniwszy swoje, chłop uwiązał znów psa i udał się czym prędzej na drugą stronę, aby wziąć udział w niezwykłych łowach.

Melikles z Nehurabhedem skuleni, zastygli w bezruchu w swej kryjówce — nie widzieli i nie wiedzieli nic, domyślali się jednak z kierunku głosów, że Egipcjanie rzucili się całym impetem za fałszywym tropem i trzymają się go uparcie.

Godziny mijały.

Położenie zbiegów było mimo wszystko straszne.

Wciąż groziło im, że strażnicy zawrócą ze złej drogi; do trwogi i niepewności dołączył się głód i niehumanitarne zmęczenie; komary i olbrzymie wodne pająki gryzły ich dotkliwie po rękach i twarzy, sąsiedztwo gęstych trzcin przejmowało lękiem. Wiadomo, że w takich właśnie gąszczach nadbrzeżnych mają swe siedliska krokodyle i Melikles nasłuchiwał każdego szelestu trzcin z większym bodaj jeszcze niepokojem niż głosów tropiących ich ludzi.

Jakoż obawy jego sprawdziły się częściowo, w pewnej chwili ujrzeni bowiem nie opodal pelzającego małego krokodyla. Zwierzę było młode i zupełnie niegroźne,

ujrzawszy ludzi skryło się czym prędzej w lesie traw. Samo jednak pojawienie się jego było już poważną przestrogą. Zbiegowie naradzali się nawet, czy nie wysunąć się bardziej na brzeg, wobec tego, że na wyspie panował spokój.

W tej chwili jednak i tu zbudził się ruch; nowa łódka przybiła do brzegu wioząc kilku strażników i żołnierzy. I ci jednak śladem poprzednich wyruszyli zaraz na przeciwną stronę rzeki.

Pobyli zresztą krótko, obiecali dużą nagrodę za wyłowienie topielców i przywiezienie ich głów do dowództwa straży — i odjechali dalej.

Minęło południe, słońce pochyliło się na drugą stronę, a poszukiwania trwały wciąż.

Zachęcenі obietnicą chłopci starannie badali każdy kawałek dna, zapuścili sieci i wyłowili wreszcie kaptur Nehurabheda. To dodało im nowej zachęty i ze zdwojoną gorliwością wzięli się do roboty. Przed wieczorem jednak poczęli się rozjeżdżać.

Pierwsi odpłynęli strażnicy uznając, że najwidoczniej krokodyl wcześniej wpadł na ślad topielców, niż ludzie. Chłopi i rybacy poszli wkrótce za przykładem władz i o zmierzchu głęboka cisza zapanowała znów wokół wysepki.

Zbiegowie czekali z utęsknieniem na zapadnięcie zmroku.

Wypełzli powoli na brzeg rozprostowując zgięte plecy, zbolale, zeszytniałe kości. Wyglądali strasznie. Umazani po oczy w świecącym czarnym mule, z włosami oblepionymi błotem, zapuchnięci, pokrwawieni od ukąszeń komarów i pajaków, z rękami podrapanymi ostrą trawą — spoglądali jednak na siebie z żywym zadowoleniem. Byli wolni i wyprowadzili w pole Egipcjan.

— Meliklesie — szepnął starzec — czy ja wyglądam tak samo, jak ty?

— Wyglądasz potwornie, panie!

— To znaczy — tak samo — odpowiedział Nehurabhed.

Gdy ściemniło się dostatecznie, znaleźli bez trudu łódź.

Wprawdzie nie swoją, bo ta wraz z kapturem Nehurabheda została przez straż zabrana jako dowód znalezienia zbiegów, ale miejscowe czółno rybackie.

Odbili cicho od brzegu ruszając dalej z biegiem rzeki.



Po przepłynięciu kilku zaledwie stadiów Nehurabhed kazał chłopcu przybić do brzegu. Oplukawszy się jako tako z błota ukryli starannie łódź w szuwarach i wyruszyli w dalszą drogę piechotą.

Szli prawą stroną rzeki, to znaczy nie tą, do której przybiła nieszczęsna tratwa, szli dość śmiało, bo z tej strony rzeki nie spodziewali się straży. Zresztą po rozejściu się wiadomości o utonięciu zbiegów nadzór nad drogami musiał osłabnąć. Co najważniejsze jednak, na dalsze ukrywanie się i marudne ostrożności nie było czasu.

Od ucieczki z Memfisu przeszły już dwa dni i dwie noce.

Rozkazy o rozwiązaniu oddziałów greckich i o chwytaniu zakładników musiały już dotrzeć do Saisu, i lada dzień, lada godzina nawet mogły być wprowadzone w czyn. Ta myśl trapiła niemało Nehurabheda, a Meliklesa przejmowała drżeniem.

Wkrótce dostali się na jakąś drogę wiodącą wprost na północ. Okolica tu była bogata, gęsto zaludniona; pełno wsi i folwarków kapłańskich leżało wśród żyznych, starannie uprawionych pól. Folwarki te i liczne osiedla ludzkie były największą przeszkodą w podróży, musieli bowiem omijać je, okrążyć i wyszukiwać następnie z powrotem swoją drogę.

Melikles szedł przodem, starzec podążał za nim równym, spokojnym krokiem, z godną podziwu wytrwałością. — Musimy dziś przed wieczorem być u Pelleasa — powtarzał stanowczo.

Jednakże po paru godzinach takiego marszu zrozumieli, że bez odpoczynku nie wytrzymają. Zmęczenie było za duże. Gdy tedy spostrzegli jakąś stojącą na uboczu stertę słomy, zakopali się w niej i legli spać.

Wschodzące słońce zastało ich jednak znów w drodze. Raz wraz spotykali teraz pojedynczych, śpieszących do roboty ludzi. Melikles niepokoił się tym mocno, ale starzec nie zwracał już na nic uwagi. Miał swój plan i dlatego nie krył się więcej.

Gdy spostrzegł orzającego na uboczu wieśniaka, poszedł sam pierwszy do niego. — Dobrze, że nie orze w parę bawołów, jak tu robią prawie wszyscy — mruknął do siebie.

Wieśniak, stary, ubogi feliah, poganiał dwa tęgie konie, zaprzężone do ciężkiej drewnianej sochy. Ujrawszy nieznanymych wędrowców — stanął zdziwiony.

Nehurabhed wypytał się go przede wszystkim dokładnie o odległość od Saisu, o wielką drogę do obozów wojskowych, położonych z tej strony rzeki.

Dowiedziawszy się wszystkiego, czego chciał, zaczął oglądać uważnie konie, przyjrzał się bacznie ich nogom, zbadał szerokość piersi, przeciągnął ręką po pęcinach.

Wieśniak był coraz bardziej zdumiony.

— Młode i mocne konie — rzekł Nehurabhed.

Egipcjanin skinął głową.

— To dobrze — rzekł starzec — w takim razie kupuje je.

I zaczął zdejmować postronki.

— To nie moje konie — krzyknął przerażony chłop — to konie jego dostojności pisarza Bubastrisa.

Nehurabhed nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

— Meliklesie — rzekł — odetnij postronki mieczem i przytrzymaj te konie.

— A ty, chłopie, powiedz jego dostojności swemu panu, że śpieszyło się nam i nie mieliśmy czasu z nim się układać. Zaniesiesz mu tę zapłatę. — Z woreczka zawieszonego na piersiach wytrząsnął na dłoń garść złotych okruchów. — Za to można kupić cztery konie — dodał.

Chłop patrzył na wszystko otwierając ze zdumienia usta.

Chciał krzyczeć, ale wówczas Melikles zagroził mu mieczem. Przerażony wieśniak upadł na kolana przed napastnikiem.

A Nehurabhed odezwał się już z konia:

— Milcz, chłopie, i nie ruszaj się, jeśli ci życie mile. Gdybyś zaś ośmielił się powstać albo krzyknąć, zanim dojedziemy do tych tam zarośli daleko, to zawrócimy i porachujemy się z tobą inaczej!

I rzuciwszy złoto na ziemię przed oszołomionym felahem, zaciął konia pętlą sznura i puścił go z miejsca w galop.

Melikles dosiadłszy swego ruszył pośpiesznie za Nehurabhedem.

Przelecieli jak wicher przez pole, przez mały palmowy las i wypadli na wielką drogę, prowadzącą do Sais. Mijali w pędzie wozy, zagrody, folwarki i ludzi patrzących na nich ze zdumieniem.

Konie były rzeczywiście dzielne, a Nehurabhed był znakomitym jeźdźcą.

Gorzej było z Meliklesem. Ten mało w swym życiu miał do czynienia z końmi. Lata całe spędził na morzu, przy sieciach, w portach. Trzymał się wprawdzie jakoś oburącz swego wierzchowca, ale sapał mocno z wysiłku, i ledwie mógł podążyć za Nehurabhedem.

Starzec, który pochodził z kraju najlepszych koni i najlepszych w świecie jeźdźców, patrzył ze zdziwieniem

na ruchy swego ucznia; gdy zwolnili nieco biegu ozwał się z pewną surowością:

— Meliklesie, jeździsz na koniu jak kulka oliwy na nożu.

Chłopiec chciał coś odpowiedzieć, ale przede wszystkim ugryzł się w język przy gwałtownym podrzucie konia. Po chwili więc dopiero wykrztusił zbolalym głosem:

— Panie, jeżdżę na koniu jak ty na wodzie.

Nehurabhed roześmiał się. — To prawda — przyznał.

Po półgodzinnej szalonej jeździe ujrzeni przed sobą duże miasto, Chersoïs, o którym mówił wieśniak. Tam skręcili w prawo, objechali miasto, przeprawili się przez kilka wielkich kanałów i wypadłszy na boczną ścieżkę — ruszyli znów ku północy.

Oglądali się od czasu do czasu za siebie, czy nie ujrzą biegnącej pogoni, ale wszystko było wokół spokojne. Zanim pościg mógł wyruszyć, odjechali daleko, teraz zaś skręcili w boczną drogę i ścigający musieli dopiero szukać ich tropów.

Zwolnili tedy biegu, bo konie pokryte były pianą i szły coraz tępiej.

Nehurabhed był jednak dobrej myśli.

W ciągu niespełna dwóch godzin przebyli blisko połowę drogi dzielącej ich jeszcze od obozów greckich.

Wszystko szło dotąd pomyślnie; ścieżka wiodła wciąż wprost ku północy zbliżając ich z każdym krokiem ku zbawczemu celowi.

Gdy tedy ujrzeni przed sobą smugę gęstych zarośli i wysokopiennych palm, rosnących nad kanałem, postanowili dać koniom chwilę wytchnienia i odpocząć choć trochę w cieniu drzew.

Ledwie jednak z trudem przeprawili się przez głęboką strugę, zza zarośli wysunął się naprzeciw nich — oddział jeźdźców libijskich. Ci musieli znać widzieć ich

z daleka i teraz zastępowali im drogę otaczając ze wszystkich stron.

Melikles krzyknął przeraźliwie, chwytając za miecz; Nehurabhed spał konia. W jednej chwili roztrącili jeźdźców jak burza i ruszyli wyłomem naprzód — w pole. Oddział libijski, złożony z ośmiu żołnierzy, ruszył za nimi cwałem. Rozpoczął się szalony wyścig. Zbiegowie nie mieli w nim jednak od początku żadnych szans.

Konie ich były zmęczone i szły ostatnim tchem. Po pierwszym rozpaczliwym wysiłku, w którym oddaliły się nieco od ścigających, rychło zaczęły ustawać, chrapać i stękać. Przebywszy jeszcze kilkanaście stadiów, dostały się na wielką rozmokłą łąkę. Lepka, pokryta mułem ziemia odbierała resztę sił nieszczęśliwym zwierzętom.

W końcu koń Meliklesa wpadłszy w kępę sitowia splątał się i padł przygniatając jeźdźcę. Nehurabhed widząc to wstrzymał konia. Zresztą i on nie mógł biec dalej. Przed nimi była rzeka.

Libijczycy dopadli ich, rozbroili Meliklesa, z trudem wydobywającego się spod konia, zrzucili na ziemię Nehurabheda i stanęli nad nimi z mieczami dobytymi w rękach.

Wszystko było skończone. Po nieludzkich trudach, straszliwym zmęczeniu, po przebyciu kilkudziesięciu parasangów łodzią, piechotą i końmi — teraz oto — na godzinę niemal drogi od zbawczego celu, koniec jakże okropny.

I żadnej nadziei, żadnego ratunku.

Melikles wodził wokoło ponurym wzrokiem. Nehurabhed był blady, ale spokojny. Pot ściekał mu po twarzy drżącej jeszcze z wysilenia.

Libijczycy zresztą też byli zmęczeni. Konie ich były pokryte pianą, a czarne twarze jeźdźców pociemniały jeszcze od pulsującej krwi. Oddychali ciężko.

Nehurabhed dowiedziałwszy się, kto jest dowódcą oddziału, ofiarował mu wszystko złoto, jakie miał, aby ten ich puścił.

Ale Libijczyk nie chciał o niczym słyszeć. Złoto wziął skwapliwie, po czym kpić zaczął ze starca, chęć się i szydzić. Otoczywszy zbiegów kazał swoim podjechać do znajdującej się tuż rzeki. Stanęli w cieniu olbrzymich palm; kilku jeźdźców zeskoczyło z koni i dobiegłszy do rzeki poczęło pić chciwie. Było południe i upał stawał się nieznośny.

Nehurabhed poprosił też o wodę. Jeden z Libijczyków zaczerpnął wodę skórzaną gurdą i chciał mu ją podać, ale dowódca wytrącił mu gurdę z ręki. Libijczycy parsknęli śmiechem.

Nehurabhed był już spokojny.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami, jak to czynią kapłani, zamknął oczy, twarz miał niezwykle skupioną, smutną zarazem i spokojną. Mędlili się. Melikles stał obok.

Zostawiono ich w spokoju. Nikt nie wiązał ich. Byli bezbronni, bez koni, nie mogli uciec.

Żołnierze zajęli się swoimi sprawami, poili konie, czerpali wodę i oblewali się nią nawzajem, rozłożyli się wreszcie naokół, czekając aż upał nieco osłabnie, a konie i ludzie wypoczną.

— Meliklesie — rzekł starzec łagodnie — boję się, że teraz naprawdę skończyło się wszystko. Przebacz mi, chłopcze.

Melikles usiadł przy nim.

— Przebacz mi, że wziąłem cię z sobą z Syrakuz od Kaliasa. Do tej pory byłbyś już u swoich, u matki. A teraz... To moja wina.

— Panie, czy oni domyślają się, kim my jesteśmy?

— Chyba nie, ale dostarczą nas do swej strażnicy, a tam już wiedzą na pewno.

— Czy sądzisz, panie, że czeka nas śmierć?

— Mnie z pewnością, a ciebie, ciebie — może los jeszcze gorszy, los twój dawniejszy.

— Ja, panie, mógłbym się próbować ratować jeszcze i teraz.

— W jaki sposób?

— W prosty. Rzucić się wpraw przez rzekę i przepłynąć ją.

— Dogonią cię.

— Mnie na rzece nie dogoni nikt. Czółna tu nie ma, a rzeka szeroka. Jeśli dostanę się na drugi brzeg między zarośla, nie złapią mnie łatwo.

Nehurabhed ożywił się. — Chłopcze, to jest szalona myśl, ale nie będę cię od niej odwodził. Spróbuj. Nic gorszego od niewoli już cię nie spotka.

Melikles patrzył przed siebie, wreszcie odrzekł stanowczo: — Nie opuszczę cię, panie.

Starzec zachnął się niecierpliwie: — Chłopcze! Tu nie chodzi o mnie, nie chodzi nawet o ciebie, chodzi o dzieci greckie, o całą sprawę, o spisek. Jeśli uratujesz siebie, uratujesz i ich.

— A ty, panie? Co z tobą będzie?

— Mniejsza z tym, co będzie ze mną.

Melikles potrząsnął przecząco głową.

— Chłopcze, zrobisz to dla mnie, słyszysz, właśnie dla mnie — opuścisz mnie teraz. Niech wiem chociaż, że nie wszystko stracone, że jest jakaś nadzieja, że Pelleas będzie zawiadomiony, że... że... czy ty nie rozumiesz, co to dla mnie znaczy, Meliklesie.

Chłopiec nie odpowiadał nic, tylko oczy powoli nabiegać mu poczęły łzami.

Nehurabhed odwrócił głowę.

Milczeli długo, wreszcie Nehurabhed powiedział cicho: — to byłoby rzeczywiście szaleństwo; przecież Libijczycy mają łuki, a wiadomo jakimi są strzelcami. Tak,

wszystko już stracone. — I znów milczeli długo, patrząc w rzekę.

* * *

Tak przechodziło ciężkie upalne południe.

Nagle wśród żołnierzy rozpoczął się ruch, odciągali konie od wody, wskakiwali im na grzbiety, zaciskali ciaśniej rzemienie, dowódca podszedł do więźniów i grożąc prętem zmusił ich do wstania. Już wkrótce obaj otoczeni ze wszystkich stron przez jeźdźców ruszyli pieszo ze sznurami na szyjach w stronę szerokiej drogi idącej ukosem przez pola. Na drodze daleko widać było gęsty kłęb kurzu — to nadciągała kolumna wojska.

Obaj skazańcy spojrzeli sobie długo i poważnie w oczy: zbliżał się nieuchronny koniec.

A dziki dowódca popędywał ich jeszcze prętem do biegu i naigrawał się w głos: — a nuże, prędzej! Albo co wolicie: zadusić się przy koniach na postronku czy też zadyndać na drzewie, wysoko? Wybierajcie, bo będzie za późno. A tam jeszcze przygrzeją wam pięty w ognisku, byście wyśpiewali, coście za ptaszki i skąd?

Szli prędko, prawie biegiem, potykając się na zaoranej, lepkiej ziemi, patrząc pod nogi i pod kopyta koni jadących obok. Zdyszany starzec wyraźnie ustawał, trzymał ręką za stryk na szyi naprężony niebezpiecznie; było gorąco, duszno, beznadziejnie.

Wtem Melikles podniósł oczy. Przed nim o paręset kroków błyszczały w białym pyłe przydrożnym lśniące zbroje żołnierzy: nagolenniki, tarcze, hełmy, włócznie. — Panie — zawołał chłopiec — panie! To chyba Grecy?

Nehurabhed uniósł powieki. Tak. Nie mogło być wątpliwości. Spojrzeli sobie znów w oczy rozjaśnionymi do dna źrenicami. Ale teraz już nie trzeba było ich popędzać ani ciągnąć. Biegli szybko, lekko razem z końmi, które też przyspieszyły biegu. Wyciągali ramiona, szep-

tali zeschniętymi wargami jakieś słowa, potykali się i biegli, biegli.

Libijczyk dopadłszy paru susami konia do dowódcy pierwszego oddziału żelaznej piechoty począł wymieniać wszystkie tytuły swoje oraz swych żołnierzy, którzy należeli do dziesiątej grupy strażniczej porządkowych wojsk konnych przy czwartym pomocniczym oddziale prawobrzeżnej nilowej armii jego świątobliwości faraona Apriesa — oby żył wiecznie.

Nim ukończył, więźniowie już wiedzieli, że to na prawdę oddział samego Pelleasa i że setnik Diomenes idzie tuż za pierwszą kolumną, na czele drugiej setki. Po chwili był już przy jeńcach. Ledwie mógł ich poznać, zwłaszcza Nehurabheda. Wyglądzony, brudny starzec, w podartych szmatach, bosi, z opuchnięciami na twarzy, niczym nie przypominał dostojnego kapłana, którego widział u Philemona. Setnik szybko odprawił Libijczyka, który coś belkotał o nagrodzie, wziął pod ramię starca, a dowiedziawszy się z czym przybyli zbiegowie zdrętwiał ze zgrozy. Patrzył na obu nie mogąc przemówić.

Wierzył Nehurabhedowi święcie, bo wszystkie jego słowa sprawdziły się dotąd; zresztą sam wygląd starca przekonywał, że nie dla błahych pogłosek podjął on swą straszną podróż; rozgorączkowane oczy kapłana paliły się w zapadłych oczodołach.

Wierzył również i Meiiklesowi, bo ujął go szczerością, a stary żołnierz znał się na ludziach, wiedział, że chłopak o tak jasnej, otwartej twarzy kłamać nie potrafi. Zatrzymał więc kolumnę wojska i ruszyli szybko do Pelleasa.

I tu zaczęły się trudności.

Pelleas, mimo że znał już Nehurabheda z opowiadań Diomenesa — nie chciał wierzyć strasznym wieściom. — Zgadzał się, że spisek został uknuty, wiedział, że sam jest od dawna w niełasce, sądził jednak, że bez zgody faraona spiskowcy nie ośmielą się wprowadzić w czyn swego

planu. Pogłoski o nagłym uwięzieniu nomarchy Elefantyny doszły go jednak, a teraz znajdowały potwierdzenie i uzasadnienie w wiadomościach przywiezionych przez dziwnego cudzoziemca.

Pelleas świdrował oczami Nehurabheda, tarł ręką czoło. Był zatroskany i gniewny. Wahał się. Ściągać dzieci do obozu, wywoływać popłoch wśród rodzin i wojsk — to wszystko wydało mu się lekkomyślne przed dokładnym zbadaniem sprawy.

— Zaraz po powrocie z ćwiczeń będę u jego świątobliwości i zapytam go wprost, co znaczą te straszne wieści — rzekł zwolna.

— Jeżeli cię do niego dopuszczą — szepnął Diomenes.

— I jeżeli już nie będzie za późno — dodał Nehurabhed.

A potem patrząc ostro na Pelleasa zapytał: — Dlaczego, dostojny wodzu, jesteś ze swoim pułkiem w drodze, a nie w obozie pod Saisem?

— Bo dostałem rozkaz użycia się pod Chersojs na dwudniowe manewry wojsk.

— Kiedy otrzymałeś ten rozkaz?

— Dzisiaj w południe.

— To znaczy, że w ciągu tych dwóch dni dzieci będą wzięte, a spisek wprowadzony w czyn. Chcą cię oddalić od Saisu na czas najważniejszy.

Pelleas zamyślił się. Po raz pierwszy niepokój odbił się na jego twarzy.

Diomenes złożył ręce: — Wodzu — rzekł, ja wierzę temu człowiekowi. Pamiętaj, że wszystko, co dotąd mówił — sprawdziło się dokładnie.

W tej chwili zgiełk jakiś powstał wśród stojących nie opodal żołnierzy.

Kilku Egipcjan, rybaków z sąsiedniej wioski, płacząc domagało się rozmowy z najszlachetniejszym wodzem wojsk jego świątobliwości.

Pelleas podjechał do nich.

Rybacy byli zarazem przewoźnikami wynajmującymi swoje łodzie do przewozu zbóż, warzyw z jednej strony Nilu na drugą. I teraz umówili się z jednym właścicielem folwarku na przewóz jego towarów, przygotowali już barki i krypy, a oto przyjechali strażnicy i każą im zostawić wszystko i odprawić zaraz barki na tamten brzeg.

Pelleas zmarszczył brwi, kazał przywołać strażników. Ci stawili się natychmiast.

— Dlaczego nie pozwalacie tym ludziom robić tego, do czego się najęli?

— Otrzymaliśmy rozkaz, aby wszystkie łodzie, większe i mniejsze barki i czołna przeprawione zostały natychmiast na tamten brzeg.

— Po co?

Strażnicy wzruszyli ramionami: — To nie nasza rzecz, wodzu.

Pelleas przyglądał im się długo. Dziwny błysk zapalił mu się w oczach.

— Ixionie — rzekł do jednego z oficerów: — weź tych strażników i zatrzymaj ich.

A po chwili zwrócił się do drugiego: — Arystarchu — ty udasz się na brzeg z dwoma dziesiątkami żołnierzy. Nie pozwolisz ani jednej barce odpłynąć na drugą stronę. Przeciwnie, zbierzesz ich, ile możesz, po drodze, obsadzisz je żołnierzami i każesz wszystkim zagarniętym łodziom płynąć w dół rzeki ku naszym obozom.

— A ty, Diomenesie, wydasz ode mnie rozkaz wszystkim oddziałom wstrzymania marszu i udania się natychmiast z powrotem do obozów.

Diomenes ściszył głos: — Więc uwierzyłeś, panie?

A Pelleas syczał przez zęby: — Och tak, rozumiem wszystko. Te łotry chcą nas zamknąć w widłach rzeki

i uniemożliwić przeprawę w jakąkolwiek stronę. Na wszystkich bogów nieśmiertelnych — trzeba się śpieszyć!

* * *

Cała kolumna zawróciła z miejsca na północ.

Melikles szedł w przerwie między oddziałami, trzymając swego konia za uzdę.

Jakiś młody żołnierz podszedł do niego.

— Meliklesie — Milezyjczyku — ojciec mój kazał mi zająć się tobą.

— Kto jest twój ojciec?

— Jestem Polinik, syn Diomenesa-setnika — rzekł z pewną dumą żołnierz.

— To brat Anyte — pomyślał Melikles — i serce zabiło mu żywiej. Przyjrzał się bacznie młodzieńcowi. Polinik był chudy i długi jak tyka, ale twarz miał zupełnie dziecinna, nie wydawał się starszy od Meliklesa.

— Jesteś żołnierzem, Poliniku?

— Nie, nie jeszcze. Ale ojciec zabiera mnie z sobą, abym przyglądał się życiu żołnierzy.

Obaj chłopcy spoglądali ra siebie ciekawie.

— Więc to ty jesteś Melikles, właśnie Melikles?

— Ja.

— Dużo słyszałem o tobie.

— Od kogo? — zdumiał się chłopiec.

— Od Anyte, od mojej siostry — wyjaśnił Polinik.

Melikles zmięszał się nagle. — Skąd ona mogła coś o mnie wiedzieć?

— Nie wiem. Pewnie od Kaliasa, a może od Philemona.

— To ty słyszałeś o Kaliasie?

— Nawet widziałem go. Kalias był u mego ojca, gdy przejeżdżał koło Saisu, dziękował mu za jego starania i opowiadał cuda o swym ocaleniu. Wysławiał pod niebiosą twego pana, tego cudzoziemca, kapłana i czarow-

nika, o dziwnym nazwisku, ale i ciebie chwalił bardzo, żeś go nie opuścił w nieszczęściu

Rozmowa potoczyła się wartko.

Melikles przekonał się z niej ze zdumieniem, że wszystkie jego przygody znane są młodemu Grekowi i że ten patrzy na niego z zazdrością, a nawet z pewnym podziwem.

— Ile ty masz lat? — zapytał nagle Polinik.

— Osiemnaście — skłamał na poczekaniu chłopak. Za nic w świecie wobec brata Anyte nie chciał uchodzić za dziecko.

— To tak, jak ja — westchnął Polinik. — Tylko, że ja nie dotąd w życiu nie zrobiłem, nie miałem żadnych przygód, nic. A ty podobno walczyłeś już z korsarzami i ze Spartanami. A teraz też musiałeś pewnie przechodzić w drodze niejedno.

Melikles skinął głową.

— Musisz mi to opowiedzieć później. Już też, ty to masz szczęście, Meliklesie. I teraz Pelleas mówił do mego ojca, że jeśli się sprawdzi to, co mówił ten cudzoziemiec, wynagrodzi was obu sownie.

— Czy ty wiesz, jakie przywieźliśmy wieści, Poliniku?

— Wiem, że mojej siostrze i innym dzieciom greckim grozi niebezpieczeństwo. Pelleas wysłał przodem Eutychiosa z dziesiątkiem żołnierzy. Ci mają przywieźć dzieci Pelleasa, Anyte, dzieci innych oficerów i zawiadomić, kogo się da z naszych rodzin żołnierskich, aby się chronili do obozu.

— Gdzie ona jest — ona — twoja siostra, Poliniku?

— Blisko. Zaraz niedaleko już będzie nasz obóz, a ona mieszka razem z dziećmi Pelleasa i Aristarcha po drugiej stronie rzeki, tak że z obozu widać ich dom.

Melikles uspokoił się, a Polinik mówił dalej.

— Pelleas, jak tylko się dowiedział, że ojciec chce sprowadzić Anyte, sam prosił go, aby Anyte zamieszkała z jego dziećmi. Pelleas bardzo ceni mego ojca, a dzieci Pelleasa przepadają za Anyte.

— Dzieci Philemona też lubiły ją bardzo — wtrącił Melikles.

— Ją wszyscy lubią — ozwał się z dumą Polinik. Melikles zaczerwienił się.

— Więc to już blisko? — zapytał prędko.

— Gdyby było widniej, widzielibyśmy już drzewa w ich ogrodzie za rzeką. Ale słońce już zaszło i robi się coraz ciemniej. Zobaczysz jutro.

— Czy aby Anyte zdąży przyjechać do nas przed nocą?

— Zdąży. Eutybios musi tam już być; zanim dzieci się ubiorą, poskładają rzeczy, zapakują — minie może godzina, dwie, lecz i tak zdążą. Przyjadą po ciemku, ale to nic. Rzeka tu szeroka, ale spokojna, a Eutybios zna na niej każdy kamyk. Już niedługo zobaczymy ich.

Melikles odetchnął głęboko. Spokój Polinika udzielił się jemu. Oczywiście, że Anyte nie grozi już żadne niebezpieczeństwo. I za chwilę zobaczy ją, zobaczy, choć z daleka. Uśmiechnął się do tej myśli.

A niebo na zachodzie bladło już, czerwone blaski gasły, szarzały; pierwsze gwiazdy zabłysły na niebie. Szła noc. Spokojna, zwykła noc, przynosząca wytchnienie po gorącym dniu. Chłodny powiew szedł od rzeki.

* * *

Było już dobrze ciemno, gdy wchodzili do obozu.

Przechodząc obok namiotu wodza ujrzeni w oświetlonym wnętrzu Pelleasa rozmawiającego z Nehurabhedem i kilkoma oficerami.

W tej chwili w obozie powstał krótki zgiełk. Człowiek jakiś przebiegł pędem i wpadł do namiotu wodza.

Polinik chwycił za ramię Meliklesa. — To Eutybios — szepnął przerażony.

Przystanęli przed skrzydłem namiotu.

— Porwani! — wyrzucił Eutybios ze zdławionego gardła.

— Na bogów nieśmiertelnych — co mówisz!

— Porwani przed pół godziną, mniej nawet.

Krzyk straszny ozwał się nagle.

— Moje dzieci!

— Tak, wodzu, dzieci twoje i Diomenesa, i Aristarcha, i dzieci dziesiętników żołnierskich, które były na folwarku — wszystkie. Na folwarku postawiono straż, aby nikt nie mógł dać znać na naszą stronę. Straż tę uwięziłem i zabrałem ze sobą. Zeznali pod mieczem, że dzieci mają być wzięte do Saisu, do starej twierdzy asyryjskiej.

— O Zeusie miłosierny!

Polinik i Melikles podeszli jeszcze bliżej.

Oficerowie stali bladzi, spotniali, bez tchu w piersiach. Pelleas wyglądał strasznie. W oczach miał jakby zdziwienie, jakby obłęd. Nagle przyciągnął do siebie Aristarcha i chwycił go konwulsyjnie w ramiona.

Wokoło panowało długie milczenie.

Pelleas podniósł oczy. — Zwołać zebranie żołnierskie — rzekł cichym, strasznym głosem — natychmiast.

Żołnierze gromadzili się już sami. Dziwne wieści krążyły z ust do ust. Tłum rósł, potężniał, otaczał namioty dowódców. W blasku pochodni migotały miecze i tarcze.

Pelleas pojawił się nagle i wszedł na podniesienie, skąd zawsze wydawano rozkazy i przemawiano do wojska.

Pochodnie oświeślały jego twarz.

Ujrawszy go, żołnierze cofnęli się o krok.

Pelleas podniósł rękę.

— Żołnierze, towarzysze, bracia! Od dwudziestu lat jesteśmy razem, widzieliście mnie w zwycięstwach i klęskach, widzieliście w bólu, smutku i rozpacz, ale na wszystkich bogów klnę się, nie ujrzeicie nigdy łez na twarzy mojej. A teraz...

Żołnierze — nie jesteście już żołnierzami.

Oficerowie — nie jesteście oficerami.

Ja sam — wódz wasz — nie jestem wodzem.

Czymże jesteście? Nie ludźmi już, nie! psami tylko, psami bezdomnymi, wygnanymi za próg, skopanymi nogą łaskawych panów. Korpus grecki został rozwiązany — żołnierze!

Za dwadzieścia lat służby, za krew rozlaną w walce z Babilonem, za tysiące braci naszych, zmarłych z pragnienia w pustyniach Arabii, za trud, za mękę, za wierność — oto dziś mamy złożyć broń i pójść na tułaczkę, na poniewierkę, w świat.

Oskarżono nas o zdradę, o knowanie z wrogami Egiptu. O towarzysze! Na Zeusa, na wszystkich bogów, na cienie ojców moich, na cienie braci naszych poległych nad Eufratem — przysięgam wam, że myśl o zdradzie nie powstała nawet w mojej głowie. Przysięgam wierność faraonowi i na Zeusa — ja dotrzymałbym przysięgi — ale on, on, który mówił, że będzie dla nas, jak ojciec... O Grecy!..

Myślicie, że to wszystko, że wszechwładni kapłani zadowolili się hańbą, na którą skazali mnie, poniewierką, na którą skazali was, was i rodziny wasze?

Na wszystkich bogów — nie, nie, nie jeszcze. Oto porwano dziś w nocy nasze dzieci. I moje, i twoje, Epik-

tecie, i twoje, Arystachu, i twoje, Eneaszu, i wasze, wszyscy setnicy, dziesiętnicy, oficerowie, podoficerowie. Porwano je do więzień, aby były zakładnikami posłuszeństwa naszego, abyśmy nie śmieli drgnąć pod batem panów naszych. Słyszycie, Grecy? Dzieci nasze!

Wleczone teraz do lochów, do więzień, dzisiaj w rękach strażników kapłańskich, jutro już może w rękach katów czy Fenicjan. Na Boga, czy ja śnię, czy to może być prawda! Tam dzieci nasze wołają nas, wołają matek, ojców, wołają bogów, wołają Zeusa. I nic? I wokoło cisza? I nikt nie broni, nie rzuca gromów? — i niebo milczy? O Zeusie...

Ale jest, jest Zeus, jest i patrzy na nas w tej chwili, patrzy groźnie, patrzy, czy jesteśmy ludźmi, czy też sukami, które liżą ręce panów wydzierających im szczęki.

Żołnierze! Nie jestem już waszym wodzem, nie jestem już oficerem — nie mam żadnej władzy — nie; jestem ojcem, rozumiecie — ojcem tylko.

I nie rozkazuję wam jak wódz, ale jak ojciec wyciągam do was ręce i proszę, błagam: ratujcie moje dzieci...

I dzieci Aristacha, i Diomenesa, i wszystkich, wszystkich tutaj.

Żołnierze! Wiem, że to szaleństwo, że stanie przeciwko nam cała moc Egiptu, wszystkie pułki egipskie, libijskie, etiopskie, że może własni nasi bracia, Grecy, odmówią nam pomocy.

Ale na wszystkich bogów, ja nie myślę teraz, nie wiem nic, ja słyszę w tej chwili wycie matek biegnących za wozami, słyszę świst batów, którymi strażnicy odpedzają je, gdy czepiają się swych dzieci; ja słyszę płacz, straszny płacz dzieci — naszych dzieci.

O Grecy!

Czemu stoicie jeszcze, czemu milczycie? Spójrzcie tu, i tu, i tu! Czy nie widzicie? We mnie, nade mną i za mną stoją teraz erynie, furie skrzydlate. To one mieczami wyciągniętymi pokazują wam drogę!

Na Sais!

Odpowiedział mu krzyk jeden, wydarty z tysięcy piersi.

— Na Sais! Po dzieci nasze!



W chwilę później oddział za oddziałem przeprawiał się pośpiesznie na drugi brzeg Nilu.

Nehurabhed, który w pierwszej chwili po przybyciu Eutychiosa był zupełnie zrozpaczony uważając, że wszystkie jego wysiłki zostały zmarnowane — mylił się bardzo.

Samo wykradzenie tajemnicy zebrania w Memfisie zmusiło spiskowców do przyśpieszenia wykonania planu i podjęcia go w czasie gdy nie wszystkie jeszcze pułki, mające osaczyć Pelleasa, były gotowe.

Co najważniejsze jednak, Pelleas dowiedział się o porwaniu dzieci o dwanaście godzin wcześniej, niż się spodziewano i dowiedział się o tym nie w odległym Chersois, dokąd go wysłano, ale w obozach oddalonych o dwie godziny drogi od bram stolicy. Również tylko dzięki ostrzeżeniu Nehurabheda Pelleas odgadł i udaremnił plan pozbawienia go możliwości przeprawy na drugi brzeg, tylko dzięki niemu miał w tragicznej chwili pod ręką gotowe barki i łodzie.

I gdy kierownicy spisku w Saisie otrzymali o północy niecierpliwie oczekiwaną wieść o porwaniu zakładników i zamknięciu ich w więzieniu, żaden z dostojnych kapłanów i nomarchów nie spodziewał się, że cały korpus

grecki jest już po tej stronie rzeki i wyciągniętym marszem idzie na miasto.

Spokojnie tedy wydawali rozkazy pułkom królewskim stojącym w prawobrzeżnym Saisie, aby zajęli opuszczone obozy greckie i zamknęli Pelleasa w pułapce, w widłach olbrzymiej rzeki, spokojnie wyznaczali pułkom jazdy libijskiej stanowiska na lewym brzegu rzeki, aby udaremnić jakiekolwiek próby przeprawy.

A tymczasem wszystkie wojska greckie, w godzinę ledwie po zamknięciu ostatnich zakładników w więzieniu, stanęły już pod jego bramami.

Sais — największe miasto ówczesne w Egipcie, ukochaną siedzibą faraona, składał się właściwie z dwóch odrębnych miast, przedzielonych olbrzymią rzeką.

Sais prawobrzeżny, zwany inaczej królewskim, świetny, błyszczący, skąpany w zieleni cudnych parków, ogrodów należących do faraona, kapłanów i najwyższych urzędników państwa, i Sais lewobrzeżny ubogi, ale ruchliwy, rojny, właściwy port morski i rzeczna przystań targowa.

W Saisie prawobrzeżnym największymi budowlami były wspaniała świątynia Ammona — symbol władzy kapłańskiej — i pałac faraona — symbol potęgi króla.

W Saisie lewobrzeżnym głównym gmachem było więzienie.

Więzienie było zarazem koszarami straży rzecznej, pilnującej ruchu na Nilu, a zwane było powszechnie twierdzą asyryjską.

Zbudowane było istotnie przez Asyryjczyków przed stu blisko laty, podczas krótkiego ich panowania nad ziemią egipską. Tu stała zawsze w gotowości załoga strasznych najeźdźców, pilnująca uległości podbitego kraju. Twierdza była znienawidzona powszechnie.

Po odzyskaniu wolności za faraona Psammetycha rozwścieczony lud egipski zaczął rozwalać mury.

Po przejściu jednak pierwszej fali oburzenia poprawiono znów jako tako potężny gmach i dawna twierdza zmieniona została na koszary i więzienie.

Więzienie położone było przy południowym krańcu lewego Saisu tuż nad samym brzegiem Nilu. Grecy nie potrzebowali przechodzić przez miasto, aby stanąć pod murami twierdzy.

W mgnieniu oka otoczono ją, aby zakładnicy nie mogli być wywiezieni.

Ale od podejścia do twierdzy i otoczenia — do jej zdobycia było niezmiernie daleko.

Bramy były zamknięte, posępne olbrzymie mury sterczały niedostępne, wysoko ponad głowami przybyłych żołnierzy.

Straże czuwały w twierdzy; z chwilą spostrzeżenia pierwszych oddziałów greckich cała załoga wyległa na mur. Zapalono pochodnie i stosy drzewa na wieżach.

Czerwone migotliwe błyski oświeciły na dole rosnący wciąż, rozfalowany tłum.

Greków było z górą dwa tysiące, ludzi zaprawionych w boju, z których każdy niejednokrotnie brał udział w walkach. Egipcjan-strażników było może dwustu. Walczyli dotąd najwyżej z własną bezbronną ludnością.

Mury jednak same broniły ich i broniły dobrze.

Grecy nie mieli sprzętu niezbędnego do zdobywania miast, brakowało im przede wszystkim drabin.

Żołnierze rozbiegli się wokół, szukając ich. Ledwie przyniesiono i powiązano kilka, rzucono się do szturmu.

Grecy rwali się na mury z nieprzytomną wściekłością, czepiali się ich zębami i rękami, darli naprzód, nie zważając na nic, niepomni, że na najwyższych szczytach drabin czeka ich śmierć. Wszystko na próżno.

Jedna z drabin zgruchotana została głazem, zrzuconym przez Egipcjan, inne zostały odepchnięte, zabici

i ranni zwalili się w dół — szturm był odparty. Egipcjanie nie ponieśli prawie żadnych strat.

Pelleas kazał zaczekać, aż przyniosą więcej drabin z sąsiedniego przedmieścia i dopiero, gdy zgromadzono ich kilkanaście — ponowił atak.

Ale nie dostosowane do tych celów drabiny gięły się i łamały pod ciężarem żołnierzy. Grecy rażeni z góry strzałami z łuków i proc, smaleni ogniem, zrzuconym w twarz, pokaleczeni, ranni, zsuwali się wreszcie kolejno, odstępowali klnąc.

Drugi i trzeci atak został odparty.

Niedostępne mury drwiły z oblegających.

Pelleas szarpał brodę z wściekłości. Rozumiał, że bez większej ilości drabin, które umożliwiłyby jednoczesne zaatakowanie twierdzy w kilkudziesięciu miejscach, zdobycie jej jest niemożliwe.

Wysłano natychmiast całe oddziały po nowe drabiny; te, które już przyniesiono, wiązano razem, wzmacniano włóczniami, oszczepami, przytwierdzonymi z boków.

Gdyby Grecy mieli przed sobą czas, zdobycie twierdzy nie przedstawiałoby trudności. Ale właśnie czasu tego nie mieli.

Lada godzina przybyć mogły pułki libijskie, stojące na południu, lada godzina przeprawić się mogły z drugiej strony rzeki egipskie wyborowe oddziały wojsk królewskich. Odsiecz musiała przybyć najpóźniej z nadejściem dnia. O tym wiedzieli zarówno Grecy jak i Egipcjanie zamknęci w twierdzy.

Mijały cenne godziny. Grecy uderzali od czasu do czasu, nie zważając na wszystkie poniesione już straty. Wszystkie te jednak próby speliły na niczym.

Melikles i Polinik brali udział w pierwszych szturmach na twierdzę, czepiali się wraz z innymi murów, podtrzymywali padające drabiny, wtłoczyli się przemocą między żołnierzy wyznaczonych do ataku.

Tu jednak spostrzegł ich Diomenes, kierujący swoim oddziałem, i ogarnęła go wściekłość.

— Właśnie tu jest miejsce dla takich chłopców — krzyczał — którzy nie potrafią utrzymać nawet miecza w garści. Najlepsi żołnierze, którzy bywali już w szturmach na mury i znają ten bój, ci tylko mogą iść na drabiny. A wy, precz!

Polinik był czerwony ze wstydu, Melikles łłady z wściekłości. Odstąpili prędko. Za chwilę podszedł do nich Eutybios, stary żołnierz, ten sam, który był wysłany przez Pelleasa po dzieci.

— Z rozkazu Arystarcha i Diomenesa jesteście przyłączeni do mojego oddziału.

— Co robi twój oddział, setniku?

— Pilnuje wschodniej strony twierdzy.

Polinik szedł posłusznie za Eutybiosem, ale łykał łzy upokorzenia.

— Wiesz, Meliklesie — szeptał — jakim oddziałem dowodzi Eutybios?

— Nie wiem.

— Oddziałem weteranów i kalek, starych żołnierzy, którzy niezdatni są już do bitwy, a używani są co najwyżej do ochrony taborów. I z takim to oddziałem jesteście połączeni. O Meliklesie! Sam widzisz, jak to jest z moim ojcem. I jak tu można się wsławić, narazić się, odznaczyć czymkolwiek. Przyłączeni do oddziału weteranów! O Zeusie miłosierny!

Melikles podzielał żal Polinika, patrzył spode łba na narzuconego dowódcę. Eutybios nadawał się istotnie na dowódcę weteranów i kalek, był bowiem jednocześnie starym żołnierzem i kaleką. Miał blisko sześćdziesiąt lat i nie miał lewej ręki. Zwano go jednorękim Eutybiosem.

Mimo jednak tego kalectwa i mimo 60 lat, był to ciągle jeszcze straszny żołnierz budzący lęk wśród żołnie-

rzy. Kiedyś najsilniejszy człowiek w pułku i teraz jeszcze uderzeniem swej jedynej pięści mógł zabić konia.

Oddział weteranów stał w dwóch grupach przy wschodniej ścianie twierdzy. Tu spokój był zupełny. Mury całą swą szerokością dochodziły niemal do rzeki, oddzielone od niej jedynie wąskim pasem ziemi. Grunt grząski, pokryty mułem i gęstą trawą utrudniał poruszenia wojsk, bliskość rzeki uniemożliwiała skupienie się większych oddziałów. Mury były wyższe bodaj niż gdzie indziej. Atak stąd był niemożliwy.

Egipcjanie pozostawili też tutaj zaledwie trzech czy czterech strażników na murach, którzy mieliby zawiadomić załogę, gdyby Grecy przyciągnęli drabiny. Ludzie bez drabin nie byli groźni dla twierdzy.

Całym zadaniem Eutychiosa było pilnować, aby nikt z twierdzy nie wyruszył stąd na rzekę, i nikt z rzeki nie przedostał się do twierdzy. Było to zadanie łatwe i cały oddział złożony z czterdziestu ludzi nie miał właściwie nic do roboty.

Melikles był zrozpaczony i zły. Myśl o tym, że w takiej chwili musi być bezczynny, paliła go ogniem. Namyślał się, czy nie uciec od Eutychiosa, ale nie chciał się narazić Diomenesowi, tym bardziej, że w duchu przyznawał mu słusność. Na drabinach istotnie było miejsce dla najbardziej wyćwiczonych żołnierzy, a on nie umiał się nawet zasłaniać tarczą.

Żołnierze Eutychiosa, bez wyjątku starzy praktycy, którzy przeżyli niejedno już oblężenie, byli spokojni i cierpliwi. — Nasłuchując odgłosów walki, toczonej po drugiej stronie twierdzy, rozmawiali półgłosem o dawnych bojach.

Któryś z nich, starzec nieledwie o ostrych sępiach rysach, pamiętał jeszcze mury twierdzy z czasów, gdy opuszczali ją Asyryjczycy.

— Mury były wtedy jeszcze wyższe — mówili — a rzeka dochodziła do samych ścian. W murach było wyjście, które otwierało się wprost na rzekę — tak że z rzeki od razu z łódki można było wejść w drzwi twierdzy.

Potem przebudowano wszystko, mury częściowo pozdejmowano, częściowo rozwalono ze złości na Asyryjczyków, z drzwi nie zostało ani śladu i Nil odsunął się od murów. I tak zmieniło się wszystko.

Melikles nie chciał słuchać tych gawęd. Spokój starych żołnierzy drażnił go i złościł. Nie wiedział, co z sobą robić, nie mógł wytrzymać w miejscu.

Postanowił wreszcie wyruszyć wzdłuż ściany i przekonać się samemu, czy nie pozostał na ścianach jakikolwiek ślad zamurowanych drzwi.

Eutybios, dowiedziawszy się o tym, wzruszył ramionami. Znał te ponure mury od dziecka, nie było na nich żadnych śladów zamurowań, za to mógł ręczyć. Nie sprzeciwiał się jednak chłopcu, ostrzegając go tylko, aby szedł ostrożnie i nie dał się ustrzelić z murów twierdzy.

Wyruszył tedy, a raczej wyruszyli obaj, bo Polinik dołączył się doń skwapliwie.

Leżeli na czworakach wśród gęstych traw, pod samą ścianą twierdzy, ocierając się niemal o mur. Przeszli w ten sposób wzdłuż całej ściany oglądając starannie cegłę nad sobą. Nic; żadnego śladu zamurowanych drzwi, cegły jednakowo stare, ściany jednakowo gładkie. Noc, niezbyt ciemna, rozjaśniona była jeszcze blaskiem dalekich ognisk na murach — ścianę było widać wyraźnie.

Zniechęceni — wracali z powrotem.

Nagle Melikles, pełznąc wciąż na czworakach, trącił łokciem o wystający ze ściany występ muru. Zatrzymał się. Tuż przy ziemi, wmurowana w ścianę, wysunięta była nieznacznie jakby belka kamienna, jakby wąski stopień. Melikles rozejrzał się. Nad belką był znowu zwykły mur, jak wszędzie.

Chciał już ruszyć dalej, gdy przyszła mu do głowy dziwna myśl. Takie belki bywały umieszczane nieraz nad drzwiami stanowiąc część obmurowania, część właściwego portyku.

A jeśli drzwi szukane znajdowały się pod spodem? Wcisnął rękę pod belkę rozgarniając łatwo mulisty grunt. Ręka nie natrafiła na żadną przeszkodę. Cegieł nie było. Po chwili natrafił za to na kratę, którą musiały być zamknięte drzwi. Krata była przeżarta zupełnie rdzą, krużyła się pod palcami. Melikles z pomocą Polinika wyszarpnął bez trudu spory odłamek brązu, nie stawiający większego oporu, niż spróchniała gałąź. Oba chłopcy drżeli z przejęcia. Rozumieli dobrze doniosłość swego odkrycia. Melikles pojmował teraz, dlaczego według słów starego żołnierza mury były kiedyś wyższe, a drzwi wychodziły wprost na rzekę.

Oto mury nie zostały zmniejszone, ale ziemia podniosła się. Święty Nil dziesiątkami lat podczas swych wylewów nanosił niestrudzenie masy brunatnego mułu, powoli, ale nieustannie podnosząc brzeg.

Na żyznym gruncie wyrosła bujna trawa, która skryła resztki obmurowań dawnego wyjścia przed oczami ludzi.

Melikles i Polinik rozejrzeli się naokół — patrzyli na swych towarzyszy, i w górę — na mury twierdzy. Nie. Nikt nie mógł ich tutaj zobaczyć wciśniętych w kąt u podnóża murów, ukrytych w gęstwie wysokich traw. Wzięli się gorączkowo do pracy. Odrzucali rękami miękką, rzadką ziemię, aż wyrobili otwór, przez który nie tylko ręka, lecz i głowa mogła się przecisnąć. Wyłamali jeszcze jeden zardzewiały pręt, stanowiący część dawnej kraty, odrzucili jakiś kawał przegniłego drzewa. Otwór powiększył się jeszcze.

Melikles zagłębił weń głowę, potem ramiona, potem cały korpus. Jakoś szło. Czołgał się trąc głową o cegły,

które były kiedyś sklepieniem korytarza, piersiami rozpychając i ugniatając lepki, maziasty grunt. Po przepełnieniu tak kilku stóp wyczuł głową, że sklepienie podnosi się ku górze. Jeszcze pół kroku. Miejsca przybyło więcej. Można się już było wesprzeć na ramieniu i spojrzeć przed siebie. Nad głową wprost o kilka kroków ujrział liczne szpary, przez które sączyło się światło. Dalsze posuwanie się szło coraz łatwiej.

Można było już przykłęknąć, rozprostować krzyż, wreszcie stanąć. Polinik wczółgał się zaraz za nim. Przyszło mu to jeszcze łatwiej, bo młody chłopak, cienki a długi jak wąż, był jakby stworzony do włożenia w jamy.

Kłęczeli obok siebie, nie śmiąc przemówić słowa. Byli niewątpliwie w korytarzu prowadzącym z podwórza do dawnych drzwi nadrzecznych. Podnoszące się nad nimi sklepienie było sklepieniem dawnych schodów. Przed nimi powinno być podwórko więzienia.

Melikles przyłożył oko do szpary. Tak, tu zaraz zaczynał się dziedziniec twierdzy, stamtąd dochodziły zmieszane okrzyki walczących.

Od podwórza odgradzały ich tylko deski, którymi zabite było stare przejście.

Melikles spróbował poruszyć nimi. Deski przytwierdzone były słabo, chwiały się trzeszcząc, dałyby się bez trudu oderwać lub złamać. Mając siekiere i drąg Melikles uporałby się prędko z całą przeszkodą. Ale trzask rozłamywanych desek obudziłby niewątpliwie czujność straży.

Chłopcy naradzali się szeptem.

Pokusa wślizgnięcia się bez wiedzy całego wojska do obleganej twierdzy była silna, ale i Melikles, i Polinik rozumieli, że nie wolno im tego robić. Tu chodziło o wszystko, o uratowanie dzieci, o zwycięstwo, o Anyte. Skoro udało im się odkryć przejście, nie wolno im było dla głupiego ryzykanctwa narażać całej sprawy na szwank.

— Trzeba zawiadomić Eutychiosa — zdecydowali z westchnieniem.

Polinik poczołgał się niezwłocznie do swego dowódcy, a Melikles zajął się rozszerzaniem otworu wejściowego.

Eutychios zjawił się wkrótce, ledwie przecisnąwszy swe ogromne ciało przez wąski otwór. Rozejrzawszy się odsapnął z zadowoleniem.

— Poczekaście tu, chłopcy — rzekł — za chwilę przyjdzie nas tu więcej.

Wróciwszy do swego oddziału wybrał zeń dwunastu żołnierzy. Uzbroiwszy ich w drągi do wyważania desek i w siekiery poprowadził ich, pełnząc wzdłuż muru. Przed odejściem posłał jeszcze gońca do Pelleasa z prośbą, aby ten ponawiał teraz właśnie jak najuporczywiej swe ataki na mury, ponieważ oddział weteranów ma nadzieję zmusić Egipcjan do zajęcia się również i wschodnią stroną twierdzy.

Za chwilę czelusć, w której siedzieli dwaj chłopcy, poczęła zapelniać się żołnierzami. W małym korytarzu, pod kamiennym sklepieniem, zmieścił się z trudem cały oddział Eutychiosa i obaj chłopcy — razem 15 ludzi.

Założyli drągi w szpary desek, oparli silne ramiona o drewnianą zaporę i czekali w milczeniu.

Gdy na zachodniej i północnej ścianie twierdzy wzmożyły się znów wrzaski, wybuchła szalona wrzawa świadcząca, że Pelleas ruszył do szturm — Eutychios dał znak.

Kilkanaście ramion sprężyło się w strasznym wysiłku, kilka drągów podważyło trzeszczące deski, zapora runęła nagle od góry do dołu jak pod ciosem pięści olbrzyma, Grecy wypadli na zewnątrz.

Kilku strażników egipskich czuwających w pobliżu na murach wydało straszny okrzyk przerażenia, ale już było za późno.

Grecy wbiegli na dziedziniec, przelecieli przezeń wicherem i niezatrzymywani przez nikogo rzucili się po kamiennych schodach na mur północny, atakowany przez Pelleasa. Na czele biegł długonogi Polinik, z rozwianym włosom, z twarzą rozjaśnioną i radosną.

Za nim, ledwie mogąc nadażyć, biegł Melikles, za nim olbrzymi Eutybios, za nimi inni. I stała się rzecz dziwna. Egipcjanie toczący na murach zaciekły bój z wojskami Pelleasa nie spostrzegli biegnących, a raczej spostrzegli ich dopiero w ostatniej chwili, gdy dzieliło ich od nich nie więcej, niż kilka kroków. Napad był tak niespodziewany, a wrażenie tak piorunujące, że pierwsza grupa strażników, walcząca ze stojącymi na drabinach Grekami — pierzchła jak na widok upiora.

Dalsze gromady Egipcjan chciały zatrzymać napastników, ale już na porzucone stanowiska wdarli się z drabin żołnierze Pelleasa, najpierw dwóch, potem czterech, potem ośmiu, dwunastu, dołączali się natychmiast do oddziału Eutybiosia, prac razem z nim wzdłuż muru.

Wojsko greckie, ujrzawszy swoich na murach, wydało okrzyk triumfu i uderzyło z wściekłością. A Egipcjanie nie stawiali już oporu. Panika ogarnęła ich jak płomień. Krzycząc, rzucając broń, rozbiegli się w jednej chwili po dziedzińcu.

Twierdza była zdobyta.

* * *

Melikles stał przy drzwiach wiodących do więzienia: nie mógł przepchać się dalej. Tłum ludzi otaczał go zewsząd. Wyprowadzano uwolnione dzieci.

A z drugiej strony przez otwartą już bramę twierdzy wpuszczono matki, rodziny małych zakładników, które przyszły tu razem z wojskiem.

Powstał gwar, zgiełk i zamieszanie. — Raz wraz rozlegały się okrzyki, nawoływania i płacz, płacz coraz większy.

Plakały dzieci, matki, płakali ojcowie, żołnierze, oficerowie i naczelny wódz. Ale był to płacz szczęścia.

W pewnej chwili Melikles ujrzał w przejściu wysoką postać Diomenesa, trzymającego za rękę Anyte. Dziewczyna była blada i drżąca, ale twarz jej skąpana we łzach uśmiechała się radośnie. Zobaczyła z daleka Meliklesa i oczy jej rozjaśniły się jeszcze. Podbiegł do niej Polinik, Melikles chciał podejść także, wahał się onieśmielony; tłum zagradzał mu drogę.

A w tej chwili z wnętrza więzienia ozwał się ochryply ze wzruszenia głos Pelleasa: — Diomenesie, powiedz żołnierzom, że wszystkie dzieci są całe i zdrowe. Nie brakuje nikogo.

Diomenes powtórzył słowa wodza.

Powstał taki krzyk, że trzymane w rękach pochodnie zachwiały się jak od uderzenia wiatru.

— Sława Pelleasowi — wołano — niech żyje wódz i ojciec nasz, nasz i dzieci naszych!

A Pelleas mówił dalej: — Diomenesie, dowiedz się, kto pierwszy dostał się na mury.

I znów ozwał się donośny głos Diomenesa.

— Żołnierze. Wódz pyta, kto pierwszy wdarł się na mury.

Nastąpiła cisza, w której tym dobitniej zabrzmiały spokojne słowa Eutychiosa.

— Polinik, syn Diomenesa, Melikles, przybysz z Miletu i Eutychios z oddziału weteranów.

Diomenes zaniemówił nagle, przez chwilę nie mógł powiedzieć słowa, wkrótce jednak opanował się i powtórzył wszystko dokładnie.

A Pelleas wyszedł przed drzwi, wyrwał nagle miecz z pochwy i wzniosł go wysoko nad głowę.

— Sława Eutychiosowi — zawołał — sława weteranom, sława Polinikowi i Meliklesowi z Miletu!

Tysiąc mieczy podniosło się w górę, z tysiąca ust, z tysiąca wezbranych piersi okrzyk w niebo uderzył jak grom.

* * *

Melikles stał na wpół przytomny. Widział wzniesione miecze migające w świetle pochodni, widział twarze drgające wzruszeniem, usta rozwarłe okrzykiem, słyszał imię swoje drżące na tysiącach warg; twarz spłonęła mu krwią, mgła upojenia przesłoniła świat.

Trzymał miecz w górę wysoko wraz z innymi, po policzkach spływały mu łzy, w uszach dźwięczało wciąż cudne, najczarowniejsze dla wszystkich Greków słowo: sława.



O wschodzie słońca Pelleas wraz z całym wojskiem opuszczał Sais.

Wojsko szło w szyku bojowym, gotowe w każdej chwili na odparcie napaści. W środku maszerujących kolumn jechali na wozach odbici zakładnicy, rodziny żołnierskie i ci wszyscy Grecy, którzy podczas tragicznej nocy uciekli do Pelleasa, bojąc się prześladowań Egipcjan.

Tuż za miastem dogonił ich mały orszak wspañiale ubranych jeźdźców. Na czele orszaku jechał w złocistym pancerzu i hełmie wysłany do Pelleasa poseł jego świątobliwości faraona Apriesa Amasis, zarządca dworu królewskiego, przyjaciel i zaufany doradca starego króla. Amasis był powszechnie lubiany przez Greków, znał bowiem dobrze grecką mowę, znał greckie obyczaje i sam wzorował się nieraz na nich.

Pelleas przyjął go z szacunkiem, nie kazał jednak wstrzymać pochodu.

Amasis był niezmiernie wzburzony, wyrzucał Pelleasowi porywczość, oburzał się jednak więcej jeszcze na tych, którzy ośmielili się wydać rozkaz porwania dzieci. Zaklinał się na wszystkich bogów egipskich i greckich, że jego świątobliwość do końca o niczym nie wiedział, że pała gniewem na swych ministrów, że wreszcie gotów jest jeszcze teraz przebaczyć wojsku jego buntowniczy krok.

Wszystkie te jednak przedłożenia były daremne. Grecy mieli już jedno przyrzeczenie królewskie, które zostało złamane, nie mogli więc ufać nowym obietnicom jego świątobliwości. Przeciwnie, musieli obawiać się tym bardziej podstępu, zemsty i kary. Krew rozlana pod murami więzienia w Sais nie pozwalała obydwu stronom na zapomnienie krzywd.

Rozstali się więc z niczym. Amasis wskórał tylko tyle, że Grecy wypuścili wziętych do niewoli strażników więziennych. Pelleas pragnął przez ten krok ulagodzić choć trochę gniew faraona i uchronić ogromne masy ludności greckiej w Saisie od prześladowań władz.

Maszerowano pośpiesznie na zachód. Celem pochodu była odległa o dziesiątki dni drogi, położona za bezmierną pustynią Libii — Cyrene. Nieszczęsna osada, szykująca się teraz właśnie do rozpaczliwej obrony przed napaścią Egiptu, musiała przyjąć z radością każdy oddział zdążający jej z pomocą.

Naokół idących kolumn, ze wszystkich niemal stron, snuły się daleko na horyzoncie oddziały lekkiej jazdy libijskiej. Na wschodzie i północy szły w ślad za Grekami potężne pułki wyborowej piechoty egipskiej, które miały ich osaczyć w matni.

Położenie Pelleasa wciąż jeszcze podobne było do położenia muchy w sieci pilnowanej przez pająki.

Po południu doszli Grecy do ostatniej odnogi Nilu, dzielącej ich jeszcze od pustyni libijskiej. Tam zastąpił im drogę dwukrotnie silniejszy korpus jazdy egipskiej i libijskiej. Pelleas bez wahania uszykował swoich do bitwy i szerokim frontem ruszył do szturmu. Wówczas Egipcjanie usunęli się w jedną stronę, Libijczycy w drugą. Droga była znów wolna. Pająk cofnął się przed muchą.

Grecy spokojnie przeprawili się na drugi brzeg i ruszyli z biegiem rzeki dalej na zachód. Zastawiona sieć pękła ostatecznie.

*

*

*

Melikles szedł wraz z Polinikiem nie opodal wolno toczących się wozów taboru.

— Meliklesie — mówił jego długonogi towarzysz — póki życia błogosławić będę dzień, w którym ciebie ujrzałem. Wszystko, co mnie spotkało, to twoja zasługa. Twoja, i tylko twoja. Tyś poszedł szukać tych drzwi, tyś natrafił na nie, tyś wykrył przejście.

— Ja, ale to był przypadek.

— Wszystko jedno. Mnie by ten przypadek nie spotkał. Ale ty jesteś widocznie pod opieką bogów. Za tobą chodzą w ślad: przygoda, niebezpieczeństwo i sława. Już jak Anyte mówiła mi o tobie, czułem, że tak być musi. Sława! Ach, Meliklesie! To był największy dzień w moim życiu. I ojciec mój patrzy teraz inaczej na mnie. Tylko, że ja właściwie nic wielkiego nie zrobiłem i to mnie gnębi, Meliklesie; nie wiem, czy zasłużyłem na tak wielki zaszczyt.

— Jak to? Byłeś przecież pierwszy na murach.

— To prawda.

— I widziało cię tam całe wojsko.

— To prawda, ale... — tu Polinik zniżył głos — czy ty wiesz, Meliklesie, że ja właściwie wcale nie walczyłem?

— Jak to, rzuciłeś się przecież pierwszy na Egipcjan.

— Tak, wleciałem z mieczem na jakiegoś draba, ale ten cofnął się o krok, potem o dwa i nagle mur skończył się pod nim, i runął na lew w dół, tak że zobaczyłem tylko jego nogi w powietrzu. I już; po wszystkim. — A ja też nie mogłem się zatrzymać i obsunąłem się za nim. — Dobrze, że zdążyłem zaczepić się ręką o mur i zawisłem tak. Wygramoliłem się jakoś i skoczyłem za wami, ale ci żołnierze, co wyskoczyli z drabin na mury, śpieszyli się jak szaleni, oni i wy zagrodziliście mi drogę i nie mogłem przepchać się do Egipcjan. Już, już byłem znowu blisko, już dochodziłem, kiedy te lotry, żeby ich mór pobił, porozbiegały się i rzuciły broń. — I tak, widzisz, skończyła

się jedyna sposobność. I nawet nie usłyszałem dźwięku swego miecza. — O Meliklesie!

— W każdym razie zwałeś tamtego draba.

— To nie ja, to on sam. Żebym chociaż dotknął go końcem miecza, mógłbym mówić, że go ranilem.

— I tak możesz to mówić.

— Tak myślisz?

— Przecież, jeżeli spadł z dwóch pięter głową na dół, to musiał być chociaż ranny.

— To prawda — przyznał Polinik.

— Więc widzisz, możesz mówić wszystkim, żeś zranił i stracił z muru jednego strażnika.

Polinik rozpogodził się, skrupuły jego zostały usunięte. Szli jakiś czas w milczeniu.

— Meliklesie — ozwał się nagle drżącym nieco głosem Polinik — czy chcesz być moim przyjacielem?

Przyjaźń to było wielkie słowo w Grecji.

To była ufność i wiara wzajemna, i pomoc, i współczucie, i oparcie, i rada, i wspólne wyprawy, i wspólna walka o przyszłość.

Melikles bez słowa podał mu dłoń. Popatrzyli sobie w oczy długo, uważnie.

Mijały godziny. Wojska szły naprzód bez wytchnienia. Melikles z trudem dotrzymywał kroku innym. Bezsenność, głód, nieludzkie zmęczenie szeregu ostatnich dni, pościg, niebezpieczeństwo, walka wyczerpały jego siły. Chłopak chwiał się na nogach.

W pewnej chwili Pelleas objeżdżający konno wraz ze sztabem maszerujące kolumny zbliżył się do nich. Towarzyszył mu Nehurabhed i Diomenes.

Pelleas poznał od razu Meliklesa.

— Milezyjczyku — rzekł — rozmawiałem z twoim mistrzem i panem, chcąc go wynagrodzić za wszystko. Ten jednak nie chce przyjąć nic, mówi za to, że tylko dzięki twej odwadze i wytrwałości udało mu się przedo-

stać. Mów więc, chłopcze, czego chcesz; zaprawdę zasługa twoja warta jest nagrody.

Melikles zmieszał się i milczał przez chwilę.

— No powiedz, chłopcze, nie bój się — czego byś chciał najwięcej.

— Przespać się — powiedział gwałtownie chłopak — pozwól mi, wodzu, wsiąść na wóz i przespać się.

Pelleas roześmiał się: — Dobrze, ale to nie jest żadna prośba. — Kiedy się wyśpisz, przyjdiesz wraz z tym tu Polinikiem, synem Diomenesa, i z Eutychiusem do naszego skarbnika; ten wypłaci wam wasz udział w zdobyczy, a tobie twoją nagrodę.

A potem podjechał do przejeżdżających obok taborów i krzyknął gromko:

— Hej tam, baby! Miejsce dla bohaterskiego Milezyjczyka, który zmęczył się i chce spać. Tylko żywo!

* * *

Na wozach zrobił się ruch; wszyscy chcieli przyjąć gościnnie sławnego żołnierza; Melikles jednak manewrował w ten sposób, że znalazł się na tym właśnie wozie, na którym jechała Anyte.

* * *

— Wygodnie ci, Meliklesie?

— Jak w raj!

Melikles jechał na wozie napojony, nakarmiony. Anyte wraz z jakąś inną kobietą usłala mu prawdziwe gniazdko, ułożyła wygodnie.

Chłopak leżał bez ruchu, wpatrzony w cudną, pochyloną nad nim główkę. Anyte nie miała na twarzy zasłony, której nie zdążyła widocznie zabrać podczas porwania. — Głowę jej okrywał kapturek z zasłonami spadającymi na ramiona i kark; — taki jaki nosili strażnicy egipscy.

Było to śmieszne przebranie, ale dziewczynie było we wszystkim ładnie. Spod kapturka, spod rozrzuconej fali

włosów spoglądały na chłopca oczy spłoszone zarazem, rozradowane i ciekawe.

— Dobrze ci, Meliklesie?

— Chciałbym, żeby tak było zawsze!

Dziewczyna zmieszała się, chcąc pokryć zmieszanie dotknęła palcem ramienia Meliklesa.

— Bohaterski Milezyjczyk — szepnęła.

I zaczerwienili się oboje.

Melikles nie spuszczał z niej oczu. — Anyte przymrużała powieki jak od blasku słońca.

— Meliklesie — szepnęła po chwili coraz bardziej zakłopotana — ty masz przecież spać.

— Tak jest — powiedział posłusznie chłopak.

— To zamknij oczy!

Melikles zamknął oczy. Po chwili mocny, ożywczy sen spłynął nań potężną falą. Chłopak był rzeczywiście zmęczony, a posłanie było tak wygodne.

Następny dzień był bardzo ważny dla Meliklesa.

Przed wszystkim został bogato obdarzony przez Pelleasa. Prócz złotego pierścienia, który otrzymał podobnie jak Polinik i Eutykios, skarbnik Pelleasa wręczył mu kutą w srebro, suto złożoną bransoletę wielkiej wartości.

Bransolety takie nosili na uroczystych przyjęciach dworskich wysocy dostojnicy faraonowi; ta należała do dowódcy zdobytej twierdzy — i prawem wojny stała się łupem zwycięzców.

Podczas postoju i zarządzanego w południe odpoczynku zanieśli wraz z Polinikiem wszystkie otrzymane skarby do Anyte. — Tam zaczęło się znów oglądanie, podziwianie pięknych kosztowności. — Przyszedł Diomenes, przyszedł Nehurabhed, przyszło paru żołnierzy.

Jeden z nich, pochodzący jak Melikles z Miletu, szukał od wczorajszego dnia chłopca chcąc się rozmówić z rodakiem.

I to było drugie wielkie wydarzenie tego dnia.

Żołnierz wrócił z Miletu dopiero przed rokiem.

Po wyjaśnieniach okazało się, że znał kiedyś ojca Meliklesa, Likaona-żeglarza, znał również jego matkę i wiedział, co się z nią dzieje. Dokładniejszych szczegółów powiedzieć wprawdzie nie umiał, twierdził jednak na pewno, że matka żyje, że mieszka wraz z synem i córką u brata swego, cieśli okrętowego, któremu prowadzi dom.

Zgadzało się to z tym, czego się spodziewał Melikles. Chłopiec słuchając tych wieści drżał, mienił się na twarzy, lzy kręciły mu się w oczach.

Posypały się gorączkowe pytania, prędkie odpowiedzi. Żołnierz opisał nawet ulicę, na której mieszkał cieśla: taki wąski, brudny zaułek w pobliżu samego portu, z podwóreczkiem w środku, z sienią, z krużgankiem, tak jak trzeba, z małym megaronem wewnątrz.

Melikles przypominał sobie teraz ten dom, który znał dobrze z dzieciństwa, dom swego wuja. Dorzucił kilka szczegółów. Tamten potwierdził je. A potem mówili o sąsiednich uliczkach, o samym porcie, o warsztatach, w których pracował cieśla.

A potem jeszcze o innych i innych, coraz mniej ważnych rzeczach.

O jakichś kamieniach nadbrzeżnych, na których Melikles, jako dziecko jeszcze, wysiadywał godzinami z wędką w ręku, o schodkach, którymi się schodziło do morza, o źródle-wodotrysku przed ratuszem, a potem o innym źródelku w górze daleko za miastem. — Tam była najlepsza w świecie woda, i tam nieraz chodziły dziewczyny z dzbanami na głowach, a ukryci w zaroślach mali chłopcy, łobuziaki rzucali w nie gałązkami, skórkami owoców, korą drzew.

— Rzucałeś tak, Meliklesie?

— Rzucałem i dostałem kiedyś w skórę za to.

— I ja też — przyznał żołnierz.

— Ze źródelka tego — przypomniał sobie dalej — biorą zawsze wodę na wielkie święta nasze, na Eleuterie, na Didymeia...

Stamtąd jest cudny widok na całe miasto. O tak, i na świętą drogę, którą procesje — nad samym brzegiem morza — idą do Didyma, do świątyni Apollona. A pamiętasz, jak w święto do tej świątyni i wyroczni idą od źródła kapłanki w białych szatach i schodzą potem długim korowodem coraz niżej i niżej pomiędzy gajami w dół ku miastu, ku świętej drodze pomiędzy posągi kapłanów. Przy tym źródelku postawić mają teraz posążek nimfy, a może nawet małą świątynkę.

— Wiem, taką samą świątynię z czterema kolumnami, jaka stoi w przesmyku między wyspą Samos, jak się jedzie do Efezu — po prawej stronie — na wzgórzu, pamiętasz?

— Tak, na wzgórzu, a przy niej rosną ogromne, ciemne cyprysy, które widać z daleka.

— Ta świątynia była tam już kiedyś, jeszcze za moich czasów — wtrącił głuchym głosem Diomenes.

— A po drugiej stronie, już na Samos, są kamienie olbrzymie poświęcone Posejdonowi, i mała przystań, i schodki wykute w skale, i dalej biały dom, wśród ogrodów. — Jabłka, figi i wiśnie, wiśnie, których nigdzie nie ma, tylko tam. Pamiętasz? Cudnie jest, gdy to wszystko kwitnie, Meliklesie.

— A teraz tam właśnie wiosna.

— Najpiękniejsza wiosna, dziś przecie czy jutro wiosenne zrównanie dnia. — Eleuterie — święto, uroczyste święto ku czci Dionizosa.

— Świątynie ubrane wieńcami ze świeżych liści. Czy pamiętasz? I igrzyska, i pieśni, i choreje, i pochód dokoła miasta.

— A wieczorem żaglowce oświetlone pochodniami wyjeżdżają daleko na morze i noc całą słychać pieśni ze

wszystkich stron, ze wszystkich stron, jakby śpiewało morze.

Nastała chwila ciszy.

Żołnierz siedział z pochyloną głową. — Eleuterie — szeptał. — Tak, to dziś Eleuterie, wiosenne zrównanie dnia. A tutaj zapomina się o wszystkim w tym przeklętym kraju.

— Czemużeś opuścił Milet, żołnierzu?

— Musiałem. — Mniejsza z tym, dlaczego. Byłem żołnierzem. — Zaciągnąłem się tu. — Zarobek był dobry. Myślałem sobie: wszystko jedno, gdzie żyć. Nieprawda. Nie wszystko jedno. I nie wytrzymam. Wiem, że nie wytrzymam. — Bóg zdarzył tę całą awanturę. Jeżeli nie będę mógł wrócić do Miletu, wrócę chociaż do Samos, do Kolofonu, do Efezu, do Smyrny. — Tam jest tak samo, podobnie chociaż.

— Tak samo — rzekł cicho Diomenes.

— Czy tam jest piękniej niż tu? — pytał Polinik.

— Ach, Poliniku! — wybuchnął Melikles, tam są wzgórza i zieleń, i białe domki wśród winnic, i morze, rozumiesz, morze! i wyspy zielone, i gaje, i posągi w gajach. I źródła, i nimfy przy źródłach, i bogowie tylko tam mogą mieszkać, bogowie tylko tam, Poliniku.

— I ludzie swoi, sami swoi — wszyscy.

Nastała chwila ciszy.

— I teraz właśnie w ogródkach koło domów zakwitają pierwsze jabłonie...

Diomenes podniósł rękę do oczu, jakby raził go blask słońca, odwrócił się i odszedł zwolna.

*

Minał dzień jeszcze jeden. Wojsko szło ciągle na zachód skrajem pustyni libijskiej.

Po jednej stronie jak okiem sięgnąć ciągnęło się niezmierzone morze piasku, z którego wynurzały się od czasu do czasu płaszczyzny suchej, kamienistej ziemi, pokrytej jakby gruzem rozrzuconych skał. I znów wydmy piaszczyste, zaspasy naniesione wiatrem, drgające w słońcu żarem rozpalonego powietrza. I żadnych drzew, żadnej pałmy, żadnej trawki nawet, żadnego śladu człowieka. — Nic — pustka tylko.

Po drugiej stronie właściwy Egipt, zachodni kraniec olbrzymiej delty, przecięty smugami drzew biegnących wzdłuż kanałów, pokryty zielenią wyrosłych bujnie zbóż. Jęczmiona i pszenice szumiące już kłosem, łąki pełne stad krów i bawołów, robotnicy pracujący w ogrodach.

Tutaj przebiegała odwieczna granica dwóch państw: państwa pracy, ruchu i życia, i państwa pustyni i śmierci. Królestwo Ozyrysa i straszne królestwo Seta.

Wojsko oddalało się jednak coraz bardziej od życiodajnych stron świętego państwa. Teren, przez który szła teraz droga, bagnisty był, nieurodzajny, zamieszkały coraz rzadziej. Z daleka widać było błyszczącą w słońcu taflę jakiegoś wielkiego rozlewiska wód. W pierwszej

chwili sądzono, że to już morze; był to jednak tylko zachodni kraniec ogromnego, największego w Egipcie jeziora, nad którym w kilka wieków później stanęła słynna Aleksandria.

Polinik mówił do Meliklesa z pewnym rozczarowaniem w głosie: — Więc ty nie chcesz być żołnierzem, Meliklesie.

— Będę się bił razem z wami przeciw Egipcjanom.

— To wiem, ale potem. — Nie zostaniesz żołnierzem?

— Nie.

— Czymże będziesz w takim razie?

— Żeglarzem i rybakiem, jak mój ojciec.

— Rybakiem?

— Tak. To mądra i ciężka praca. Ty myślisz, Poliniku, że rybak na morzu to tak, jak tutaj, na Nilu. A tam trzeba się znać i na rybach, i na sieciach, i na morzu, wiedzieć, gdzie głębiej, gdzie płycej, którędy płynie prąd podwodny, gdzie cieplejsza woda, gdzie zimna — wszystko. Rybak znać musi morze jak nikt. A taki rybak, który ma swój żaglowiec, swój sprzęt — szanowany jest i poważany wszędzie. A ojciec mój miał żaglowiec.

— Co stało się z twoim ojcem?

— Zginął na morzu, jak żeglarz. Piękną miał śmierć, Poliniku.

— Piękną?

— Tak... Mój ojciec. Och! Pamiętam wszystko, wszystko, choć byłem wtedy jeszcze dzieckiem; miałem 11 czy 12 lat. Noc była; burza. Straszna. Takiej nie widziały nigdy oczy moje. Ojciec mój był z nami, w domu na wybrzeżu, gdy doniesiono, że na zatoce tonie łódź. Nikt nie chciał ruszyć z pomocą, nikt nie śmiał odbić od brzegu. — Nikt, Poliniku. Wtedy mój ojciec, tylko on i przyjaciel jego, stary towarzysz, rybak i żeglarz — tak samo wyruszyli we dwóch w taką noc. Nie zobaczył ich więcej nikt. Tak. Została mi w pamięci tylko twarz ojca,

surowa i spokojna, gdy spychał łódź na morze, oświetlony blaskiem błyskawic. Skinął nam ręką na pożegnanie. To wszystko, Polniku.

Zamilkł. Szli długi czas bez słowa.

— Nie wiedziałem, że ojciec twój był bohaterem — szepnął Polinik.

A po chwili dorzucił jeszcze: — To jednak strasznie jest być żeglarzem.

— To jest pięknie, cudnie, najpiękniej, najszczęśliwiej na świecie. Być żeglarzem. Mieć swoją własną łódź, posłuszną każdemu skinieniu, wierną, niezawodną, kochaną i kilku towarzyszy oddanych na łodzi i otwarty przed sobą świat. Czy ty rozumiesz to, Polniku? Otwarty świat. Możesz płynąć, gdzie chcesz. Morze jest wszędzie — i wszędzie zanieś cię wiatr. O Polniku! Czy może być większe szczęście?

— Nie wiem, nie znam morza — szepnął Polinik — widziałem kiedyś z daleka.

— Morze jest straszne — mówisz. — Nie. — Mądry żeglarz nie boi się morza i ono mu krzywdy nie robi. — Tego samego dnia, kiedy zginął, ojciec mój wrócił wcześniej z morza do domu, bo wiedział, że idzie burza, wiedział dobrze. Znał morze i niebo, i wiatr. One przestrzegły go zawczasu. Morze nie jest straszne. Ale trzeba być czujnym ciągle i ostrożnym jak żołnierz na warcie.

Polinik był zakłopotany.

— Ale przygody i niebezpieczeństwa, ale sławę łatwiej można znaleźć tu w wojsku, w życiu żołnierskim.

— Nieprawda — rzekł porywczo Melikles. — Pomyśl, ile ja zdarzeń przeszedłem, a ile ty tkwiąc tu w obozie wojskowym, ilem ja widział, a ile ty na świecie. Życie żeglarza to sama przygoda i niebezpieczeństwo, i walka. Na morzu trzeba się strzec korsarzy i Fenicjan; na lądzie, gdy założy się obóz, pilnować się trzeba przed barbarzyńcami, odgadywać ich zamiary, czy przyjaźni są, czy knują

zdradę. Tyle ludów jest na świecie, a każdy jest inny. I z każdym trzeba wiedzieć, jak żyć. Mądry żeglarz, który wiele słyszał, wiele wie, tylko taki da sobie radę. Tak, Poliniku. Ale przed takim świat jest otwarty. I dotrze on wszędzie. I do Scytów, którzy mieszkają za wielką rzeką, taką prawie jak Nil, i dalej jeszcze na północ, gdzie pół roku prawie jest zima i ziemia pokryta jest śniegiem, a woda zamienia się w lód.

— Nie wiem, jak wygląda śnieg ani lód, nie widziałem ich nigdy — szepnął Polinik.

— Prawda. Ty tu nic nie widziałeś. A u nas w Grecji śnieg pada często w zimie, a na Sycylii widziałem wulkan, dymiącą górę, której szczyty pokryte były śniegiem i błyszczały jak lustro tarczy.

— Nie widziałem wulkanu, nie wiem, co to jest — szepnął Polinik. Był coraz bardziej przygnębiony.

— To taka wielka góra ziejąca dymem i ogniem. Kiedy ujrzałem ją, myślałem, że nie ma nic większego na świecie, ale Nehurabhed, mój mistrz, mówił, że w jego kraju są góry znacznie jeszcze wyższe i piękniejsze. Stoją olbrzymie, wysoko, wysoko nad smugami chmur. I drzewa tam są inne zupełnie, i zwierzęta, i ludzie. — Muszę tam być, Poliniku, muszę koniecznie.

— Szkoda, że ty nie masz swojej łodzi, Meliklesie.

— Kiedyś będę ją miał. Na pewno. — A tymczasem będę jeździł na łodziach innych żeglarzy. — Każdy przyjdzie na pomocnika kogoś, kto zna się na morzu, na żaglach, kto ma zdrowe ręce i miecz, i odwagę w sercu. — Będę jeździł na wyprawy dalekie, na morza odległe, gdzie nie był jeszcze nikt. Jak Argonauci, jak Jazon z towarzyszami. — O, Poliniku, czy chciałbyś jechać tak ze mną?

Polinik milczał — poważny i zamyślony jak nigdy.

Nagle w kolumnach wojsk, idących przed nimi, rozległy się okrzyki, budził się gwar coraz większy, aż ze

zmieszanej wrzawy wybiło się jedno, jedyne słowo, powtarzane przez setki ust: — Thalassa, thalassa — morze.

A na północy — od krańca do krańca widnokregu rozciągała się szeroko, szeroko jakby szarogranatowa smuga, łącząca się z niebem w mgłę oddalenia.

Obaj chłopcy chwycili się za ręce, stali milcząc.

Od morza powiał wiatr. Melikles chwycił go w piersi, wsłuchiwał się w jego szum, czuł na ustach słony posmak fali.

* * *

— Tak więc, Meliklesie — mówił podczas któregoś postoju Nehurabhed — tak więc nie jesteś już moim sługą ani uczniem. — Jesteś swobodny, wolny. — Możesz robić z sobą, co chcesz. Cóż, trudno! Przyjdzie się nam już rozstać niedługo.

— Nie mów tak, panie. Chciałem być z tobą jak najdłużej, jechać razem aż do Miletu.

— Chcesz zaraz wyruszyć w drogę?

Melikles milczał przez chwilę, smutny i zatroskany.

— Nie wiem, panie. Jeśli pozwolisz, zostanę jeszcze jakiś czas.

— Jeśli pozwolę. — Chłopcze! Powiedziałem ci już, że zależysz tylko od siebie. Dlaczego jednak chcesz zostać tutaj?

— Nie chcę porzucić ich teraz, ich, Greków, braci moich. Teraz, kiedy czeka ich wojna. Po wojnie, jeśli bogowie pozwolą mi żyć, wrócę natychmiast do matki. Ale teraz...

— To straszna wojna — rzekł posępnie starzec — Grecy nie mają w niej wiele szans.

— Tym bardziej nie opuszczę ich w nieszczęściu. — Chcę walczyć razem, bronić się razem, chcę wiedzieć, co z nimi będzie. Tu są przyjaciele moi, panie!

Nehurabhed milczał zamyślony. Z tonu chłopca czuł, że postanowienie jego jest niezmiennie, i że żadne tłumaczenia nie pomogą. Westchnął ciężko.

— W takim razie i ja pozostanę tutaj — rzekł wreszcie — pozostanę jeszcze aż do rozstrzygnięcia sprawy. Nie mógłbym tak odjechać, chłopcze, teraz, nie wiedząc co z tobą będzie. I ciekaw jestem losu tych ludzi. — Wskazał ręką na obóz.

Melikles podniósł na niego wzrok.

— Panie — szepnął — nie rozumiem cię od dawna. Dlaczego ujmujesz się tak za Grekami. Dlaczego nie żałowałeś ani sił, ani zdrowia, ani życia nawet, aby ratować ich, obcych sobie Hellenów. Nie dla pieniędzy to robiłeś, nie dla zaszczytów. Dlaczegoż więc? Powiedz.

Nehurabhed wahał się przez chwilę, głos jego zadrżał lekko.

— Dla Medów, chłopcze, dla kraju mego.

— Jak to?

— Tak, chłopcze, to trudna sprawa i wielu rzeczy nie zrozumiesz od razu. Słuchaj, Meliklesie. My, Medowie, i Persowie, pobratymcy nasi, mamy jednego śmiertelnego wroga — Babilon, jednego strasznego przeciwnika Nabukadnezara — władcę Chaldejczyków, najpotężniejszego zaiste władcę świata tego. On zagraża nam wciąż, on szykuje wyprawy łupieżcze, on jest chmurą, piorunem wiszącym nad moją ojczyzną.

Dawniej, gdy Egipt siedł razem z Medią, gdy mego króla z królem Apriesem łączyły przyjaźń i przymierze, Chaldeja musiała sama bronić się i nie mogła myśleć o napaści. Wojska Egiptu stały już przecie nad Eufratem, wojska nasze doszły do ruin dawnej Niniwy.

Lecz teraz od paru lat zmieniło się wszystko. Doradcy faraonowi owładnęli nim, oni teraz rządzą Egiptem, oni nakłonili Apriesa, aby zerwał sojusz z nami i zawarł pokój z Babilonem. Dlatego nienawidzę ich, nie-

nawidzę, albowiem odebrali oni sojusznika, odebrali obronę ojczyźnie mojej. Tak, Meliklesie!

Ci sami doradcy podjudzają teraz lud egipski przeciwko Grekom i szykują wojnę z Cyreną.

Mówilem, że to Fenicjanie jatrzą Egipcjan i pchają ich do tej nieszczęsnej wojny przekupując doradców, kapłanów, urzędników królewskich. To prawda. Ale poza nimi, poza tym wszystkim ukrywa się inna jeszcze ręka, inna — na boga — ręka Nebukadnezara.

To on, łotr stary, mądry i cierpliwy, a przebiegły jak szatan. To on ujarzmił Fenicjan, uzależnił od siebie ich miasta i królów, ale pozwala im robić interesy i popiera ich wszędzie poza granicami Chaldei, wszędzie, gdzie chce, aby jak choroba zatruwali inne państwa.

To on chce uwikłać Egipt w tę głupią wojnę, on chce rozjatrzyć przeciw sobie wszystkie ludy zamieszkujące święte państwo, aby skorzystać z osłabienia Egiptu i swobodnie uderzyć na nas, Medów.

Tak, Meliklesie, wielkie to rzeczy i niezrozumiałe dla ciebie.

Pracowałem; nie chciałem dopuścić do wojny z Cyrenejczykami. Byłem w Kartaginie, na dworach greckich, w Delfach, u najwyższej rady kapłanów waszych. — Prosiłem o pośrednictwo, o złagodzenie sporu. Na próżno. Wszystko na próżno. W Delfach odpowiedziano mi, że ważniejsi dla nich są Grecy w Egipcie niż w Cyrenie, Sparta ma swoje stare porachunki z Cyrenejczykami. — I wróciłem z niczym do Egiptu. Wierzyłem jeszcze tylko w Apriesa. Faraon nigdy nie był głupcem, a był kiedyś przyjacielem Greków. Niechętny był rozbudzanej przeciwko Grekom nienawiści i on tylko powstrzymywał Egipt od wojny. Byłem u niego, ale to cień dawnego człowieka, tego, którego znałem przed laty. Schorowany, zmęczony, w rękach chytrych kapłanów i lekarzy chaldejskich, którzy nie dopuszczają do niego nikogo — pozosta-

wia wszystkie troski rządzenia państwem swym doradcom, nie chce przeciwstawiać się im, może lęka się ich nawet.

Jestem pewien, że rzeczywiście nie wiedział o porwaniu. Jestem pewien, że nawet, rozwiązując oddziały Pelleasa nie chciał doprowadzić do zupełnego zerwania. Wiem, że cała sprawa ściągnie gromy na jego ministrów. Ale cóż z tego. Wojna z Cyreną jest teraz nieunikniona i bardziej pewna niż kiedykolwiek. Kapłani mają przecie rzekome dowody konszachtów z Cyrenejczykami. Faraon uwierzy im albo będzie musiał udąć, że wierzy.

Nie udało mi się nic. Nic. Ale nie żałuję swego trudu ani tej strasznej drogi, ani niebezpieczeństw. Sprawa Greków jest słuszną sprawą — i — dzieci zostały uratowane. To ważne. To jedno tylko. Ze wszystkich moich zabiegów i starań. To tylko. Uratowane dzieci! To śmieszne, a może dziwne, a może bardzo mądre. Nie wiem. Nic nie wiem, Meliklesie.

Starzec zamyślił się, zapatrzył w przestrzeń.

— A może — szepnął — może dla Boga, dla Boga Jedynego, który był, jest i będzie — ważniejszym od losu wszystkich wielkich państw, jest los takich właśnie biednych dzieci.

Ale ty tego nie zrozumiesz, Meliklesie!



Na piętnasty dopiero dzień po opuszczeniu Egiptu kolumny wojsk i wygnańców greckich dotarli, idąc niezmiennie brzegiem morza, do pierwszej większej w tym pustkowiu osady. Osada ta leżała u podnóża gór, właściwie wzgórz schodzących łagodnie ku morzu. Wzgórza były kamieniste, dzikie, spalone żarem, ale w dolinie przy morzu tuliła się skąpa zieleń palm, osłonięta górami od palących wiatrów pustyni.

Grecy odetchnęli radośnie. Od piętnastu dni nie widzieli żadnego osiedla człowieka, prócz namiotów pustynnych koczowników, od piętnastu dni nie mogli skryć się w czasie południowego spoczynku przed rażącymi promieniami słońca, od kilku dni niewielkie zapasy słodkiej wody, czerpane w rzadkich oazach, ledwie starczały na zwilżanie spieczonych warg. Tutaj zaś były studnie, były nawet małe, niezupełnie jeszcze wyschnięte strumyki, ściekające z gór — wszyscy mogli się napić do syta.

Pelleas rozkazał rozbić nie opodal obóz, rozumiejąc, że wszystkim należy się zasłużony odpoczynek. Zresztą do Cyreny było stąd już blisko, zaledwie półtora dnia drogi.

Tegoż jeszcze wieczora przybył z Cyreny spory oddział jazdy i kilkunastu starszych miasta, wysłanych na spotkanie zbuntowanych wojsk.

Ci witali Pelleasa jak zbawcę, z zachwytem patrzyli na szeregi znakomitych piechurów ciężkozbrojnych, którym równych trudno było znaleźć nawet wśród Spartan.

A następnego dnia przyszła chwila rozdziału wielkiego obozu wygnańców greckich.

Kobiety, dzieci, całe rodziny żołnierskie — miały jechać dalej do Cyreny, wojsko pozostawało na miejscu.

Po odbytej z Cyrenejczykami naradzie zdecydowano, że tu właśnie najdogodniej jest oczekiwać na armię egipską, tu miała więc nastąpić koncentracja wszystkich wojsk.

Rodziny i dzieci wyprawiono pośpiesznie, doszły bowiem już wieści przywiezione przez prześlanych koczowników pustynnych, że lekkie oddziały jazdy libijskiej idą w ślad za Grekami i są oddalone od nich o kilka załewie dni drogi.

Dla Meliklesa był to dzień podwójnie smutny. Żegnać się musiał z dwiema drogimi mu osobami — z Anyte i z Nehurabhedem. Starzec zmęczony był ciężką podróżą, upałami, strasznymi przejściami podczas ucieczki z Memfis, zapadł na zdrowiu i potrzebował dobrego odpoczynku, którego nie mógłby znaleźć w obozie. Zresztą w obozie, według surowego zarządzenia Pelleasa, mogli pozostać sami tylko przeznaczeni do walki żołnierze.

Melikles prosił Anyte, aby zaopiekowała się jego mistrzem, Nehurabhed przyrzekł nawzajem Diomenesowi, że będzie troszczył się o jego córkę. Przy rozstaniu wszyscy mieli łzy w oczach, a Nehurabhed trzymał długo głowę swego chłopca przy piersiach — nie mogąc słowa przemówić.

W końcu jednak chwila odjazdu nadeszła, olbrzymi obóz wiozący dzieci, rodziny — wszystkie drogie żołnierzom głowy — ruszył na zachód; żołnierze zostali sami.

Wieczór był smutny. Obaj chłopcy siedzieli markotni pod ścianą rozpostartego namiotu.

— Wiesz, Meliklesie — mówił Polinik — że ja jednak bardzo lubię tę małą.

— Jaką małą?

— Moją siostrę Anyte. Smutno mi, że odjechała. Przyzwyczaiłem się. Wiesz, ty, czego chciałbym najwięcej — mówił dalej rozmarzony, kładąc się na piasku z oczami półprzymkniętymi — wiesz czego? Oto, żebyś ty się z nią kiedyś ożenił. Kiedyś, oczywiście.

Gdyby grom z jasnego nieba spadł na Meliklesa, nie sprawiłby nań większego wrażenia. Siedział jak sparaliżowany, z rozchyłonymi ustami, nie śmiać odetchnąć. — Dobrze, że było już ciemno i Polinik nie mógł zauważyć wrażenia, jakie wywołały jego słowa, uderzyło go jednak nagle milczenie Meliklesa.

— Ja wiem, że ty mało jeszcze ją znasz — ciągnął po chwili — ale jak ją poznasz lepiej, może ją polubisz. Naprawdę to ona jest bardzo miła dziewczyna, Meliklesie, i niebrzydka. Prawda?

Odpowiedziała mu cisza. Melikles próbował poruszyć krtanią, przelknął z trudem ślinę; paraliż nie ustępował.

Polinik był zakłopotany.

— Przepraszam cię, Meliklesie — szepnął — ja tylko tak sobie mówiłem. Tak sobie. Może zrobiłem ci jaką przykrość. Nie wiedziałem.

Nastąpiło długie milczenie.

— Czemu nie odpowiadasz, Meliklesie? Uraziłem cię? Czemu nie mówisz nic? Czy nie jestem twoim przyjacielem?

Melikles odzyskał mowę.

— Poliniku, jesteś moim największym, najlepszym przyjacielem, najbardziej kochanym przyjacielem, jaki był kiedykolwiek. Ale to jest niemożliwe.

— Co jest niemożliwe?

— Anyte mnie nie zechce!

— Ona? Co też ty mówisz? Ona wodzi za tobą oczami jak kot za mlekiem. Nikt się zresztą dziewczyny o takie rzeczy nie pyta, ale mówić, że ona cię nie lubi! Czyś ty nigdy nie spostrzegł, jak ona patrzy na ciebie?

Melikles poczuł, że język kołowacieje mu znowu — Diomenes nigdy mi jej nie da — rzekł z wysiłkiem.

— Mój ojciec? — Polinik zamyślił się — dlaczego?

— Ach, Poliniku! Przecież ja nic nie mam. Byłem niewolnikiem, a potem robotnikiem czy służącym, a ojciec twój jest oficerem.

— To prawda.

— I jestem biedny jak szczur.

— Masz pierścion i bransoletę, a mistrz twój przyrzekł ci podobno konia.

— Tak, ale nie wiem, co to wszystko jest warte, a ja nie mam nawet żadnego ubrania i kto wie, czy nie będę musiał pomagać matce. Nie wiem, Poliniku, jak jej tam jest w Milecie.

Polinik siedział zachmurzony.

— Właściwie — mruknął po chwili — to i my teraz też nic nie mamy. Wyjechaliśmy prędko — nie było czasu nic wziąć.

Melikles ucieszył się. — To też prawda — rzekł.

Polinik nie widział w tym powodu do radości, a i Melikles po chwili sposepniał znowu.

— W każdym razie — mówił — to setnik, poważny oficer, szanowany wszędzie. — A ja co? Wędrowny włóczęga. Nic więcej, Poliniku.

Polinik próbował dodać mu otuchy. — Przecież nikt nie mówi, żeby to było zaraz. Ale kiedyś, później. Ojciec mój lubi cię dosyć. Mówiłem mu, że jesteś moim przyjacielem i nie powiedział nic, widać było nawet, że jest zadowolony. Chcesz, to pogadam z nim o tym, tak niiby sam ze siebie. Wyrozumiem, co stary myśli.

Ale Melikles zerwał się z miejsca. — Nie, nie — rzekł porywczo. — Nie rób tego za nic. Diomenes wysmiałby mnie, uważa mnie za smarkacza. Może kiedyś, później... Po prawdzie, to i nie czas teraz myśleć o tym.

* * *

I rzeczywiście nie czas było myśleć o niczym innym, jak o wojnie.

Nad małym obozem zbierały się groźne chmury.

Codziennie wysyłane podjazdy przywoziły wieści o zbliżających się pułkach jazdy libijskiej.

Jeden z najpotężniejszych królów libijskich, Adikran, ten właśnie, który wezwał na pomoc faraona, najzacieklejszy wróg Cyreny, przybył wraz z całym swym wojskiem i rozłożył się obozem o dzień zaledwie drogi od Greków.

Jednocześnie postępowała naprzód koncentracja sił greckich.

Czwartego czy piątego dnia nadeszła niecierpliwie oczekiwana główna armia cyrenejska ze swym księciem i strategiem Battosem II. Armia liczyła około 4000 ludzi. Prócz jednak wyborowych i świetnie uzbrojonych oddziałów, mogących się istotnie równać z Pelleasowymi, było wśród nich sporo młodzieży i ludzi starszych, nie mających dotąd pojęcia o wojnie. Wszyscy oni w tej straszej chwili pośpieszyli na ratunek swej ojczyźnie, wszyscy walczyć chcieli w obronie swych najbliższych, wszyscy gotowi też byli raczej umrzeć, niż cofnąć się z placu boju, trzeba jednak było sporo czasu i pracy, aby tę bezładną gromadę ochotników przerobić na jakich takich żołnierzy.

W obozie zawrzała gorączkowa praca.

Niewyćwiczoną młodzież dołączono do kadr starego żołnierza.

Melikles i Polinik weszli w skład oddziału Eutychijsa. Nie martwili się tym jednak; wiedzieli już, że wszę-

dzie można się przydać, a od czasu wypadków w Saisie przydział do oddziału weteranów stał się raczej zaszczytem. Roboty było moc.

Prócz ćwiczeń, szermierki, żołnierze musieli kopać rowy, otaczać fosami obóz — spodziewano się bowiem lada chwila nadejścia wroga. Tymczasem minęło trzy tygodnie — armia egipska nie nadciągała.

Była to dla Greków okoliczność nader pomyślna; codziennie bowiem niemal nadchodziły jeszcze z Cyreny nowe oddziały posiłkowych wojsk greckich, które teraz dopiero przyłynęły z za morza na pomoc zagrożonej osadzie.

Przeważnie były to drobne grupy, jak z Mantinei w Arkadii, jednak z Koryntu i z dalekiego Samosu nadciągnęły większe oddziały liczące do dwustu ludzi należycie uzbrojonych i wyćwiczonych. Zwłaszcza żołnierze z Samosu zwracali uwagę wspaniałym swym strojem i pyszną zbroją, dowódca zaś ich — młody, zaledwie dwudziestoletni książę Polikrates, stał się niemal od początku ulubieńcem całego obozu.

Z Syrakuz przyszło tylko 100 ciężkozbrojnych hoplitów, ale pomoc okazana przez to miasto była bodaj największa. Oto duża część floty syrakuzkańskiej zawinęła do portu w Cyrene, mając samą swą obecnością odstraszyć skąpe siły morskie Egiptu od prób zaatakowania miasta od morza. Ta sama flota miała w razie poniesienia klęski ratować chociaż część nieszczęsnych Cyrenejczyków przewożąc ich za morze lub do sąsiedniej Barki.

Z możliwością klęski musiano niestety liczyć się poważnie. Przewaga Egiptu była zbyt wielka, stosunek sił — zbyt przygniatający. Poczucie grozy nie odejmowało jednak sił przygotowującym się do śmiertelnej walki Grekom.

Każdy nowy oddział, każdego nowego żołnierza witano z radością.

Dla dodania otuchy wojskom i zorientowania się w ich jakości uczyniono przegląd wszystkich oddziałów. Na wzgórzu stanęli wodzowie: książę i tyran Cyreny Bat-tos II, zarazem naczelný wódz całej armii, Pelleas, drugi z kolei dowódca wraz ze swym zastępcą, taksiarchem Arystarchem, a dalej dowódcy wojsk sprzymierzonych: Polikrates z Samos, Iphitos z Mantinei, Gorgos z Ko-ryntu, Eumedon z Elidy, Deinomenes z Syrakuz.

Przed zgromadzoną starszyzną przesuwiał się długim węzłem korowód zbrojnych oddziałów. Wszystkie oczy zwracały się na pyszne rotý ciężkozbrojnej piechoty Pel-leasowej. Żołnierze w brązowych hełmach, pancerzach i nagolennikach, z tarczami metalowymi, migocącymi w słońcu, szli równym, ciężkim jak młot krokiem, pod którym, zda się, drżała ziemia. Równie niemal groźnie ukazała się większa część wojsk cyrenejskich, świetnością za to i bogactwem strojów gasił wszystkich oddział Poli-kratesa z Samos.

Po przeglądzie, na tym samym wzgórzu, przybyli z Cyreny kapłani odprawili uroczyste modły do bogów o zwycięstwo w nadchodzącej walce. Zabito kilkanaście wołów i jagniąt w ofierze Zeusowi i Apollonowi, który był szczególnym opiekunem Cyreny. O zmroku przy rozpalonych ogniskach kapłani przystąpili do wróżb z wnętrzości ofiarnych zwierząt. Nastąpiła uroczysta cisza. Wszyscy oczekiwali z drżeniem, co powiedzą kapłani. Wróżby wypadły pomyślnie. Jednocześnie inna wieść roz-radowała serca żołnierzy. Oto przybyły z Cyreny goniec doniósł, że w mieście wylądował rano oddział 200 żoł-nierzy, przysłanych przez Spartę. Nie było to dużo, ale samo imię Sparty miało ważne znaczenie, a wśród żołnie-rzy panował przesąd, że tam, gdzie są Spartanie, nie może być klęski. Spartanie przywieźli jednocześnie błogosła-wieństwo dla Cyrenejczyków od wielkiej rady kapłańskiej w Delfach i wróżbę, że ukochane przez Apollona miasto

nie ulegnie zagładzie. Podniosło to niezmiernie ducha w wojsku, a uradowało starszyznę, świadczyło bowiem, że poważane przez całą Grecję Delfy nakłoniły niechętną dotąd Spartę do zmiany stanowiska.

Nazajutrz Spartanie przybyli rzeczywiście, a jednocześnie flota syrakuzkańska stanęła przy brzegach maleńkiej osady.

Melikles, zaciekawiony, wyszedł na brzeg wypatrując, czy nie ujrzy wśród Syrakuzńczyków kogoś ze znajomych. Jakoż oczekiwania jego sprawdziły się. Stojąc w tłumie i przypatrując się okrętom usłyszał nagle swe imię, a za chwilę wpadł niemal w barczyste ramiona stojącego na brzegu Kaliasa.

Kalias przybył do Syrakuz z transportem broni i żywności dla Cyreny, w Cyrenie widział się z Nehurabhedem i dowiedział się odeń, że Melikles jest w obozie. Wyruszył więc niezwłocznie ze swym statkiem w ślad za całą flotą syrakuzką — trochę, aby zobaczyć Meliklesa, trochę, aby pohandlować z żołnierzami, przede wszystkim jednak, aby przyjrzeć się olbrzymiemu zbiorowisku wojskowemu, zebranemu ze wszystkich stron całego helleńskiego świata. Już bo ciekawości, tak jak łakomstwa i gadulstwa, nie potrafił nigdy powstrzymać.

Melikles sądził, że Kalias będzie walczył razem z nimi, mylił się jednak; Kalias wobec ciągłej choroby Sotiona był teraz właściwym dowódcą statku i nie mógł go opuścić. Kalias zaciągnął chłopca do siebie na pokład, podejmował go gościnnie, wypytując ciekawie o wszystkie zdarzenia. Melikles pokazał mu z dumą swoje nagrody saickie, pierścień i bransoletę; Kalias mlaskał, cmokał, wysuwał złoto pod światło, przysuwał do oczu, opukiwał palcami, a najmłodszy żołnierz skorzystał z rozmowy tyle, że dowiedział się wreszcie, jaka jest wartość tych skarbów.

Wartość była dość znaczna, chłopca jednak interesowało tylko to, czy można za nie kupić mały choćby żaglowiec. Dowiedziawszy się, że nie, że starczyłoby ledwie na pół ceny dobrej łodzi żaglowej — zesmutniał i stracił serce do swych bogactw.

Wyszli potem na brzeg; Kalias bowiem chciał się zobaczyć również i z Diomenesem. Zanim jednak odszukali go, zanim przebrnęli przez tłumy, w obozie powstał nagły ruch, oficerowie rozbiegli się pędem z namiotu naczelnego wodza, po chwili groźne, chrapliwe głosy trąb zagłuszyły wrzawę wielkiego ludzkiego zbiorowiska. Trąby grały alarm.

Melikles co tchu pożegnał Kaliasa i skoczył do swego oddziału. Polinik, który przybiegł za chwilę wprost z namiotu swego ojca, doniósł drżącym z wrażenia głosem, że przyszły pewne zupełnie wieści o przybliżaniu się pospiesznym całej armii egipskiej.

Była to prawda.

* * *

Piętnastotysięczny korpus wyborowej piechoty wojsk egipskich nadszedł wreszcie i połączył się z oczekującymi go od dawna oddziałami najemnej jazdy libijskiej oraz z armią króla libijskiego Adikrana.

Razem zjednoczone siły egipsko-libijskie liczyły około 30 000 ludzi. Przeciwko nim Grecy mogli wystawić niepełna 8000. Jeden Grek miał przeciwko sobie czterech przeciwników. W takich warunkach Egipcjanie pewni byli zwycięstwa.

Tegoż jeszcze dnia, w którym doniesiono o zbliżaniu się armii egipskiej, nastąpiły pierwsze utarczki podjazdów, a wieczorem ujrzeni wreszcie Grecy przed sobą całą potęgę wroga.

Noc spędzono w gotowości. Wszyscy byli pewni, że nazajutrz rozstrzygnie się los wojny.

Tymczasem do decydującej walki tym razem jeszcze nie doszło. Na umocnione stanowiska uderzały tylko raz po raz oddziały jazdy libijskiej. Teren, pocięty przemyślnie przez Greków głębokimi rowami, utrudniał jednak poruszenia jazdy, rozrywał szyki konnicy; rozproszonych Grecy odrzucali z łatwością. — Na takich utarczkach z luźnymi gromadami Libijczyków zeszedł cały dzień; Grecy nie ponieśli przy tym żadnych niemal strat, straty przeciwników były dość znaczne.

Następny dzień minął tak samo. — Libijczycy, nauczeni wczorajszym doświadczeniem, atakowali ostrożniej; do żadnych większych starć nie doszło. Egipcjanie, którzy poprzedniego dnia ukazali się chociaż na polu walki, stanawszy w szyku bojowym, tym razem nie wysunęli się wcale z obozu, ukrytego za zboczem wzgórz.

Nad wieczorem wyjaśniła się przyczyna dziwnego zachowania się wroga.

Szpiedzy libijscy, pochodzący z niechętnych królowi Adikranowi plemion, dali znać Grekom, że cała armia egipska i większa część Libijczyków wyruszyła okólną drogą doliną rzeki Thesty na pasmo wzgórz cyrenejskich, chcąc przedostać się górami do Cyreny i napaść bezbronne miasto bądź też oddzielić armię grecką od jej podstawy.

Nie było czasu do stracenia.

Z nastaniem zmierzchu Grecy, zachowując zupełną ciszę, opuścili również swój obóz pozostawiając w nim zaledwie kilkuset ludzi do obrony i do maskowania wobec band libijskich obecności większej liczby wojsk.

Cała armia grecka, licząca w tej chwili około 7000 żołnierzy, ruszyła pod osłoną nocy pośpiesznym marszem w góry, chcąc zabiec drogę przeciwnikowi.

Pochód przez kamienisty, górzysty, poorany wąwozami kraj trwał całą noc i całe rano. Dopiero około południa dotarły pierwsze kolumny do szczytów pasma

górskiego i stanęły u przejścia, przez które wiodła droga z pustyni libijskiej do Cyreny.

Przejście było zajęte przez Egipcjan.

Był to jednak drobny załedwie oddział, stanowiący straż przednią. Oddział ten cofnął się natychmiast. Grecy stanęli na przełęczy.

Wówczas przed oczami ich, załedwie o parę tysięcy kroków ukazała się cała armia egipska, ustawiająca się pośpiesznie w szyku bojowym.

Niżej, poza wojskami bielily się domki male'kiej, górskiej osady murzyńskiej, położone w pobliżu wytryskujących tu ze skał życiodajnych źródeł rzecznych. — Osada, licząca kilkanaście załedwie domków, zwana była po libijsku Irasą i stąd całą tę drogę górską i przełęcz zwano przełęczą Irasy.

I tu właśnie w tym dzikim, zapomnianym pustkowiu rozegrała się pamiętna bitwa, której odgłosem rozbrzmiewał długo cały ówczesny świat.

Bitwa zaczęła się około południa i trwała do późnej nocy.

Okolicznością pomyślną dla Greków było to, że Egipcjanie nie mogli w niej użyć ogromnej masy jazdy libijskiej. Góry otaczające przełęcz nie były wprawdzie stronne, a przełęcz była szeroka i rozległa, lecz grunt sam kamienisty, zawalony głazami, pokryty szczelinami nie pozwalał jeździe poruszać się swobodnie. W tych warunkach Egipcjanom nie udało się otoczyć zupełnie przeciwnika, korzystając jednak ze swej olbrzymiej przewagi opasali półkolem prostokąt wojsk greckich, usiłując zepchnąć go z przełęczy w dół ku Cyrenie.

Próżne były jednak ich wysiłki, próżno wyborowe pułki egipskie rzucały się z całą zajądłością na mur panczerzy greckich, próżno tłumy spieszonych jeźdźców libijskich, zapędzane batami w bój, parły na oślep, usiłując wbić się klinem między szeregi przeciwników.

Starzy żołnierze cyrenejscy i wspaniałe rotę Pelleasowe stali niezłomną ścianą nie pozwalając ani zepchnąć się, ani rozerwać. Wał trupów wzrastał wokół nich. Minęło parę godzin. Oba wojska nie posunęły się ani o krok.

Nadeszła jednak chwila, gdy śmiertelnie zmęczone czołowe oddziały greckie musiały być częściowo zastąpione przez stojących dotąd w tyle żołnierzy rezerwowych, lżej zbrojnych i mniej wyćwiczonych w boju. — Zmianę tę musiano wprowadzić, aby dać starym rębaczom choć chwilę wypoczynku, pozwolić im odetchnąć, otrzeć krew i pot z twarzy.

Egipcjanie, skierowawszy wówczas najlepsze swe siły na sprzymierzone oddziały greckie, zdołali po strasznej walce rozerwać szyki stojących w środku Samończyków i wbili się klinem między nich. — W szeregach greckich zaczęło już szerzyć się zamieszanie, cofano się coraz pośpieszniej, gdy Diomenes walczący ze swym oddziałem tuż po lewej stronie spostrzegł niebezpieczeństwo, rzucił się wraz z garścią starych rębaczy na pomoc i wsparł na chwilę Samończyków. Przybiegł jednocześnie sam Polikrates z gronem oficerów, krzycząc, pomstując i grożąc — zatrzymał swych żołnierzy, zeskoczywszy z konia wmieszał się w tłum walcząc jak prosty żołnierz. Samończycy płonący wstydem, wspierani coraz silniej przez rozpaczliwie walczącego Diomenesa, zwarli szeregi, ochłonęli z przestachu i z pasją nawrócili do walki.

A gdy z drugiej strony, zawsze czujni i straszni Spartanie uderzyli z boku na wdzierający się klin egipski, gdy na pomoc Diomenesowi pchnął Pelleas ostatni, stojący jeszcze w rezerwie oddział Eutychiosa, ciasno się stało z kolei Egipcjanom. — Trójkąt stanowiący klin zachwiał się, zadrżał, pękł wreszcie. Setki wyborowych żołnierzy egipskich przypłaciło życiem próbę przełamania szeregów greckich.

Meliklēs wraz z Polinikiem dostał się w szalony wir walki w najgroźniejszej dla Greków chwili. Z początku oszołomiony był nieludzkim zgiełkiem, zgnieciony niemal ścisaniem walczących pierś o pierś żołnierzy. Gdy jednak po zmiążdżeniu klina wojsk egipskich przybyło nieco miejsca, zaczął działać przytomniej. Mając w pamięci przestrogi Eutychiosa powściągnął wrodzoną zapalczywość, nie wysuwał się zbyt naprzód, starał się raczej pomagać swym doświadczoneym towarzyszom, nie rzucać się oddzielnie w żołnierskie pojedynki. W ten sposób udało mu się pomóc Polinikowi w powaleniu jednego Egipcjanina, w ten sposób razem z innym starym żołnierzem zranił drugiego przeciwnika.

Za to Polinik, usłyszawszy wreszcie dźwięk własnego miecza, wpadł w istny szal, a gdy obalił jednego z żołnierzy egipskich, nie zważał już na nic. Rąbał i siekł w dziwnym zapamiętaniu, wysuwając się niebacznie poza linię ściany greckiej. Było to niebezpieczne tym bardziej, że naprzeciw chłopców walczyły najlepsze, wyborowe oddziały królewskich pułków egipskich. — Wkrótce też dosięgnął go niespodzianie zdradziecki cios włóczni; chłopiec uderzony ostrzem w głowę zachwiał się i osunął bezwładnie. Melikles porwał go za ramiona i pociągnął w tył poza linię zmagających się szeregów.

Tu okazało się, że Polinik jest raczej uderzony, niż ranny. Mocny hełm wstrzymał siłę ciosu, chłopak miał tylko potężne obrzmienie ponad skronią; po przejściu pierwszego oszołomienia, spowodowanego wstrząsem, oprzytomniał, usiadł i drżącym jeszcze głosem pytał, co się stało. Melikles, widząc, że przyjacielowi jego nic nie grozi, pozostawił go na miejscu, a sam skoczył znów w bój. Nie czas było teraz zajmować się chorymi.

Mijały godziny. Straszliwa walka trwała wciąż. — Żołnierzom mdlały ręce od zadawania ciosów, od podstawiania ciężkich tarcz, w piersiach brakło tchu, nieludzki

upał palił ciała żywym ogniem. Melikles walczył wciąż w pierwszych szeregach; z włosiem zlepionym potem i krwią, z rozbitym hełmem, z tarczą splekaną i wyszczerbioną, drżąc z wysiłku, trwał jednak uparcie, dotrzymując kroku Eutychosowym żołnierzom.

Z nadejściem wieczora Egipcjanie zaczęli się cofać. Pierwsi odstąpili Libijczycy, uwalniając skrzydła armii greckiej od nacisku. Za nimi i główny korpus pieszych wojsk egipskich uchodzić zaczął zwolna w tył. — Słońce zaszło za wzgórza. Wówczas w dolinie w obozie egipskim ozwały się donośne głosy trąb, wzywające swoich do odwrotu.

Egipcjanie cofnęli się w porządku, zostawiając przeciwnikom pole walki. Bitwa była skończona.

Grecy nie mieli sił, by rzucić się w ślad za cofającą się armią. Dyszeli ciężko. Żołnierze siadali, rzucali się na ziemię tam, gdzie stali, zdejmowali hełmy, odpinali pancerze, ocierali pot i krew z czoła.

Przed nimi o tysiąc ledwie kroków widać było wojska egipskie i libijskie, przygotowujące się do nocnego wypoczynku. — I oni też musieli być śmiertelnie znużeni. Z daleka widać było całe szeregi leżące pokotem lub przesuwające się zwolna wśród nielicznych domków osady.

Wieczór zastał obie armie w tym samym miejscu, w którym znajdowały się w południe.

Zachodził zmierzch.

Nagle przed linię leżących bez tchu żołnierzy wyszedł naczelny wódz, księżę Battos z Pelleasem i starszą wojkową.

— Żołnierze! — krzyknął gromkim głosem — walka jest nierozstrzygnięta. Te łotry, widząc, że przegrywają, cofnęły się i pragną przez noc nabrać nowych sił do walki. I jutro trzeba będzie zaczynać od początku.

Żołnierze! nie dajmy wytechnąć wrogowi. Pamiętajcie, że jutro będzie jeszcze ciężiej i że my nie mamy tu

wody. Nie mamy wody, czy rozumiecie? A oni jej mają pod dostatkiem. — Na Zeusa, na wszystkich bogów — żołnierze, stawajcie w linii, nie jutro, ale dziś, dziś jeszcze musimy zwyciężyć wroga!

Żołnierze podnosili się z trudem, klnąc ciężko. — Wody, wody — szeptały spieczone wargi. — Ze wszystkich słów wodza, to jedno utkwilo im w myśli.

Wtem przed frontem swoich żołnierzy ukazał się Polikrates — młodzieńczy i beztroski, jak zwykle.

— No, trudno, chłopcy! — zawołał wesołym, dzwiecznym głosem — nie ma innej rady — idziemy po wodę do Egipcjan.

To poskutkowało. W szeregach rozległ się śmiech. Żołnierze zrywali się, podnosili jedni drugich, stawali pośpiesznie w linii.

— Idziemy po wodę — ryczały ochrypie gardziele.

* * *

I za chwilę szykujący się już do noclegu Egipcjanie ujrzeli ze zdumieniem i zgrozą zbiegające pędem z pochyłości oddziały strasznych przeciwników.

Wódz grecki nie uderzył jednak teraz równomiernie całą linią swych wojsk, spostrzegł bowiem, że obozowisko egipskie rozdzielone jest zaczynającym się tutaj wąwozem i postanowił wykorzystać to natychmiast. — Zgrozadził wszystkie niemal swe siły na lewym skrzydle i zaatakował prawe ramię wojsk egipskich, widząc, że Egipcjanie z drugiej strony obozu nie będą mogli łatwo przyjść przez wąwóz z pomocą swoim.

Nastąpiło straszliwe starcie. Bitwa rozgorzała na nowo. Ale przebieg jej był inny. — Te same pułki egipskie, które przez cały dzień w zaciętym boju dotrzymywały placu Grekom, nie zniosły teraz pierwszego zaraz uderzenia, poczęły ustępować w tył.

Czy żołnierze byli zbyt pomęczeni, czy, rozbiegłszy się po wodę — nie zdołali w zamieszaniu sformować do-

brze swych szeregów, czy przewaga skoncentrowanych sił greckich gniotła ich zbyt potężnie, dość, że zaczęli z miejsca cofać się, mieszać, szyki ich rozerwały się — Grecy parli coraz gwałtowniej.

Stojące na lewym skrzydle egipskie oddziały usiłowały przedostać się przez wąwóz do swoich.

Na krawędzi wąwozu stali już jednak Grecy broniąc zaciekle przejścia. — Egipcjanie próbowali więc przejść niżej wąwóz i wesprzeć cofające się swoje oddziały — było już jednak za późno.

Pracej naprzód ławy żołnierzy greckich nie już zatrzymać nie mogło.

Ogarnęło ich dzikie uniesienie. — Starzy żołnierze duszą całą, wszystkimi nerwami ciała czuli, że zwyciężają i nikomu nie pozwoliliby wydrzeć sobie teraz zwycięstwa.

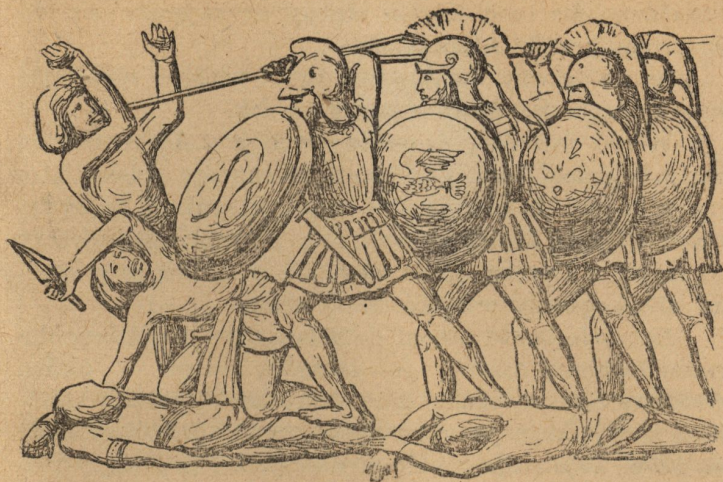
Jeszcze chwila, jeszcze jeden straszny wysilek. Całe prawe skrzydło egipskie pęka nagle i rozsypuje się jak piasek rozwiany wiatrem.

Popłoch ogarnia Egipcjan. Zapadająca coraz większa ciemność powiększa zamieszanie. Konnica libijska, która nie brała udziału w ostatnim starciu, wpada na swoich: gniecie, roztrąca, miażdży ciężarem koni. A nieustrudzeni Grecy, przeprawiwszy się przez wąwóz, osaczają teraz resztę cofającego się w nieładzie lewego skrzydła Egipcjan. Następuje straszna walka w ciemnościach, ale trwa już krótko. Egipcjanie, widząc klęskę swoich, nie próbują nawet przedrzeć się w dół ku nizinie, pierzchają w góry. Kto nie zdążył uciec, kto nie poddał się, zginął pod mieczem.

Wschodzący księżyc oświecił olbrzymie pobojuwisko.

Z całej armii egipskiej pozostały rozsypane po wykrotach górskich obłąkane strachem bandy, bez broni, bez dowódców, uciekające wprost przed siebie, w noc — byle dalej, byle dalej od straszego dźwięku mieczy greckich.

* * *



Wiadomość o zwycięstwie dobiegła następnego dnia do Cyreny wywołując szal radości w mieście. Ludzie nie chcieli wierzyć swemu szczęściu, rzucali się sobie w ramiona, klękali, całowali ziemię i stopnie świątyń w dziękczynnym uniesieniu. Miasto, na którego progu stała już groźba zniszczenia i śmierci, odetchnęło z ulgą.

A czarowna wieść ruszyła dalej, przepłynęła morze, rozeszła się po wszystkich miastach sprzymierzonych, po wszystkich zakątkach Hellady budząc wszędzie upojenie i dumę ze zwycięstwa. Rozdzieleni na dziesiątki państw, rozłączeni granicami i klótniami setek miast i miasteczek, Grecy po raz pierwszy zrozumieli swą siłę.

I gdy w kilkadziesiąt lat później nad samą Grecją zawisła groźba strasznego najazdu Persów, gdy przeważający kilkakrotnie nieprzyjaciół uderzył w samo serce Hellady — przypominano sobie, jak to kiedyś mała osada cyrenejska nie uległa się całej mocy Egiptu

i wspomnienie to dodawało otuchy szykującym się do śmiertelnej walki Ateńczykom.

A na pewny zwycięstwa Egipt wieść o niepojętej klęsce runęła jak grom z jasnego nieba.

Wśród ludności i wracających z Libii rozbitych wojsk wybuchł bunt. — Ci sami kierownicy spisku, którzy podzegli do nieszczęsnej wyprawy, ogłosili teraz faraona winnym klęski, ogłosili, że to on przez swą niechęć do wojny z Cyreną, przez umyślnie nieudolne prowadzenie akcji, spowodował zniszczenie armii.

Na czele buntu stanął dotychczasowy najbliższy doradca faraona, Amasis — zarządca dworu. — Słaby, chwiejny faraon Apries opuszczony został przez wszystkich z wyjątkiem jeszcze pułków greckich z Simonidesem na czele. Te nie opuszczały go do ostatka, nie mogły jednak same uratować już jego władzy.

Apries stracił królestwo, a w kilka lat potem i życie.

Na tron faraona wstąpił Amasis I, przywódca buntu. Wszyscy oczekiwali teraz porachunków zwycięskich kapłanów, stojących na czele egipskiego ruchu narodowego, ze znenawidzonymi przez nich Grekami. Ale nowy faraon był jednym z najmądrzejszych ludzi swego czasu. Znał on dobrze i niezmierną słabość Egiptu, i zupełną bezwartościowość swoich własnych sojuszników, kapłanów. Rozumiał, że bez Greków, bez ich rozpędu w pracy, bez ich wytrwałości żołnierskiej — nie obejdzie się ani Egipt, ani władza faraona.

I wbrew wszelkim przewidywaniom długoletnie jego, prawie półwieczne panowanie (z wyjątkiem kilku pierwszych lat, kiedy podlegać jeszcze musiał swym doradcom) było jednym nieprzerwanym pasmem współzycia starzejącego się świętego państwa z radosnym, pełnym energii młodzieńczej żywiołem osadników helleńskich.

Drugiego dnia po bitwie wojska greckie, idąc pośpiesznie za rozproszonym nieprzyjacielem, dotarły do dawnego obozowiska Egipcjan, położonego nad brzegiem morza.

Egipcjanie i Libijczycy, cofając się bezładnie, pozostawili na łasce losu większą część swych taborów. W obozie pozostały setki wozów, namiotów, drabin, łańcuchów, sznurów, maszyn oblężniczych, przygotowanych do zdobycia Cyreny. — Wszystko to stało się teraz łupem zwycięzców.

Wojska Pelleasa, które szły w przedniej straży, rozbiegły się po obozie szukając zdobyczy, zbierając rozrzuconą broń.

Melikles szedł za innymi rozglądając się ciekawie.

W pewnej chwili zatrzymał się. — Na samym brzegu leżała porzucona łódź. Musiała widocznie ulec rozbiciu przed wieloma dniami. Dno było rozdarte, snąć od uderzenia o głazy, maszt złamany, wśród rozeschniętych desek świeciły liczne szpary.

Kilku żołnierzy odlupywało teraz te deski.

Melikles podszedł do nich, obejrzał z uwagą łódź.

— Co wy robicie? — zapytał żołnierzy.

— Rąbiemy drzewo na opał. Będziemy piekli konia
— odpowiedzieli nie przerywając pracy.

Melikles powiódł ręką po żebrach nieszczęsnej barki.

— Buk, prawdziwe bukowe drzewo — z tych najlepszych, cypryjskich — szepnął do siebie.

— Szkoda tej łodzi — ozwał się do otaczających go żołnierzy. Ci patrzyli na niego niechętnie. Byli to starzy żołnierze Arystarcha, od dzieciństwa spędzający życie w obozach. Na łodziach, na żeglarskim nie znał się z nich żaden, a opał był im potrzebny.

— Szkoda tej łodzi — powtórzył chłopak. — Patrzcie, cały szkielet zdrowy, żebra mocne, kil nietknięty, dno nieruszone. Każdy cieśla zapłaciłby za nią dobrze.

Jeden z żołnierzy wzruszył ramionami: — Co z tego? na plecach jej stąd nie wyniesiemy.

Wzięli się znów do roboty.

Melikles zacisnął wargi. Syn żeglarza, siostrzeniec cieśli okrętowego patrzył ze zgrozą na to, co się dzieje. Nie mógł wytrzymać.

— Kto wam pozwolił rąbać tę łódź? — ozwał się drżącym głosem.

— Sam Arystarch nam ją dał. Odczep się ty od nas, dzieciaku! — odburknęli już z gniewem żołnierze.

Melikles poszedł do Arystarcha.

Przystąpił do niego nieśmiało, bo Arystarch był wysokim oficerem, zastępcą samego Pelleasa.

— Czy to prawda, wodzu, że dałeś tym żołnierzom tę łódź?

Arystarch spojrzał na niego ze zdziwieniem: — Prawda. To moi żołnierze, mówili, że im potrzebne drzewo.

Melikles chciał powiedzieć coś jeszcze, zająknął się: Arystarch odszedł.

Chłopiec zawrócił z powrotem do rozbitej barki, jakby ciągnęła go tam przemożna siła. Stał nie opodal. Żołnierze obrzucili go złym spojrzeniem.

W tej chwili jedna z desek oderwana silną ręką oddała się z jękiem. Melikles dyszał. Zdawało mu się, że łódź skarży się, płacze, wzywa ratunku. Zbliżył się, obejrzał jeszcze raz rozbite dno.

— Czego tu chcesz? — mruknął jeden z żołnierzy.

— Widzi mi się, że chce wziąć w łeb — odpowiedział drugi. Ale Melikles zdecydował się już. — Chcę kupić tę łódź — rzekł stanowczo.

— Żołnierze parsknęli wzgardliwym śmiechem. — Cóż ty nam dasz za nią, żółtodziobie?

Melikles bez słowa zdjął z ramienia swą bransoletę, otrzymaną w darze po zdobyciu więzienia i położył ją na burcie łodzi. Bransoleta błyszczała pięknie w słońcu. Żołnierze oglądali ją chciwie. Nastąpiła chwila milczenia. Żołnierze porozumieli się z sobą oczami. Nagle Polinik, szukający od dłuższego czasu Meliklesa, podszedł do niego.

— Co ty tu robisz? — rzekł.

— Kupuję tę łódź!

Polinik otworzył szeroko oczy, właściwie jedno oko, bo drugie było jeszcze zapuchnięte od uderzenia i obwiązane szmatą.

— Kupujesz tę łódź?

— Kupuję!

— Ten gruchot?

— Ten gruchot.

Umowa została zawarta. Żołnierze uważali Meliklesa za trochę pomyłonego, dlatego jednak nie wykorzystać takiej okazji. Piękna bransoleta powędrowała do ich rąk. Melikles zastrzegł sobie tylko, że żołnierze pozostawiają odłupane deski i siekiery, którymi rąbali drzewo.

Polinik załamywał ręce.

— I cóż ty z tym zrobisz, Meliklesie? — mówił trącając nogą rozwalony żaglowiec — jak go z sobą weźmiesz?

— Wezmę! — W głosie chłopca był upór i zawziętość. W oczach migwały złe błyski; robił wrażenie zgłodniałego wilka, który dorwał się mocno do kości i grozi oczami każdemu, kto się zbliża. Polinik nie widział go jeszcze takim.

— Co ty z tym zrobisz? Jak to zaciągniesz do Cyreny?

— Naprawię, zabiję dno deskami i przepłynę morzem!

— Na tym dziurawcu?

Melikles nie odpowiedział nic, wziął się z pasją do przybijania desek.

Polinik powstał chwilę, potem chciał mu pomagać, ale nie mógł; głowa bolała go przy każdym pochyleniu, przy każdym wstrząsie, nieznosne opuchnięcie dokuczało mu srodze.

Gromadka żołnierzy, kolegów z oddziału weteranów, otoczyła ich kołem. Przyszedł i sam Eutybios. Dowiedzieli się oni od towarzyszy z oddziału Arystarcha o dziwnej zamianie i przyszli obejrzyć nabytek Meliklesa. Kiwali ze smutkiem głowami. Żal im było chłopca, którego już zdążyli polubić.

Melikles podszedł do Eutybiosia.

— Setniku — rzekł śmiało — czy możesz zwolnić na dzisiaj ze swego oddziału trzech, czterech ludzi?

— Naturalnie. Dzisiaj jest po bitwie. Każdy może robić, co chce. Rzeczywiście — po każdej zwycięskiej bitwie następował krótki okres zupełnego rozluźnienia rygoru; żołnierze rozporządzali wówczas sobą swobodnie.

— Dobrze — powiedział chłopak, zwracając się do swych towarzyszy — w takim razie kto z was pomoże mi przy naprawie tej łodzi? Zapłacę dobrze!

Zapanowała chwila pełnej zdziwienia ciszy.

— Zapłacę dobrze! — powiedział stanowczo chłopak. — Patrzcie: mam tutaj pierścień, moją nagrodę

saicką; dają go Eutybiosowi do przechowania. W Cyrenie sprzedam go i wypłacę wówczas każdemu według umowy.

Eutybios wziął pierścień, ale kręcił głową niechętnie. — Nie wiem, czy dobrze robisz, Meliklesie — mówił.

Polinik schwycił się za obolałą głowę. — O bogowie! — jęknął. — Jeszcze i pierścień. — Był zupełnie zgnębiony.

Kilku ochotników znalazło się natychmiast. Zawrzała gorączkowa praca. Melikles objął komendę nad swymi pomocnikami. Dopasowywano deski, równano je, przybijano gwoździami; żebrowanie łodzi było nietknięte, wewnętrzne deszczułki szczelnie dopasowane, tylko deski zewnętrznego obicia były w kilku miejscach odłupane i poszarpane, maszt był złamany w jednej trzeciej długości, brak było wiosel i rudla; oderwano też pokład na tyle barki.

Wkrótce do pracujących dołączył się jeszcze jeden żołnierz. Żołnierz był stary, zgarbiony, wyglądał dość niemrawo. Melikles wahał się, czy go przyjąć, nie wiedział, czy mu się na co przyda.

— Byłem żeglarzem kiedyś — rzekł stary wówczas. Został przyjęty natychmiast.

Polinik był zgnębiony, że nie może pomagać przyjacielowi. Wokół łodzi opustoszało. Gromady żołnierzy poszły do środka obozu, gdzie starszyzna rozdzielała zdobycz.

Melikles zwrócił się do Polinika. — Poliniku! Jeśli możesz chodzić, idź do ojca swego i do Arystarcha i upomnij się o nasz udział w zdobyczy. Należy się nam tak samo, jak i innym.

— Oczywiście.

— Poproś, niech nam dadzą namiot, choćby niewielki. Tam jest bardzo dużo namiotów.

— Po co namiot?

— Zrobimy z niego żagiel, żagiel dla naszej łodzi.
— Nie wiem, czy dadzą nam cały namiot, tylko na nas dwóch.

— To weźcie i na mój udział w zdobyczy. Na trzecią dadzą wam łatwiej — ozwał się nagle stary żołnierz, ten, który był kiedyś żeglarzem.

— Co chcesz za to, żołnierzu?

— Żebyś mnie przyjął za towarzysza na swej łodzi. Za sternika. To wszystko.

Polinik poszedł żywo. — Zaczął nabierać otuchy.

Po pewnym czasie wrócił wlokąc za sobą ciężkie płótno. Melikles obejrzał je z uwagą.

Mijały godziny. Melikles sam nie spoczywał i nie pozwolił nikomu na odpoczynek. Ale towarzysze jego nie narzekali. Zapłacił im dobrze i miał prawo do ich wysiłku. Zresztą ogarniała ich powoli zawziętość. Upór chłopca udzielał się wszystkim. Muszą naprawić tę łódź. Na złość tym, co się z nich naśmiewają. I muszą zdążyć. Obóz miał być zwinięty jutro rano. Do tego czasu łódź musiała stanąć na wodzie. Pracowali gorączkowo.

Wokół nich skupiali się znowu żołnierze.

Jedni z nich śmieli się, drudzy stali poważni. — Ci, którzy kpili, byli to jednak bez wyjątku ludzie nie znający się nic na morzu. Takich była większość wśród najemnych oddziałów Pelleasa, przepędzających lata całe na lądzie. Cyrenejczycy natomiast, żłyci z morzem, i żołnierze z oddziałów sprzymierzonych, przybyli teraz dopiero do obozu — trzymali stronę chłopca. Coraz to któryś z nich zatrzymywał się. Niektórzy dawali rady.

Melikles zdobył jeszcze za pośrednictwem Eutychiosa kilka desek z rozbitych wozów. Stary setnik patrzył na chłopca z coraz większym zdziwieniem. Melikles zmienił się zupełnie. Z poważną, surową twarzą wydawał się o wiele starszy, zarządzał wszystkim prędko, decydował śmiało. A towarzysze jego, którzy odnosili się dotąd do

niego życzliwie, ale trochę lekceważąco, słuchali go teraz z powagą, pilnowali uważnie jego wskazań i wskazań starego żołnierza-żeglarza. Naokoło chłopca dokonała się w ciągu kilku godzin dziwna zmiana, którą zauważyli wszyscy z wyjątkiem samego Meliklesa.

Ten nie widział nic naokoło, nie obchodziło go nic, prócz jego łodzi.

W pewnej chwili przyszedł Eutybios i Diomenes. Eutybios zawołał do siebie starego żołnierza — tego, który najgorliwiej pomagał Meliklesowi.

— Jak myślisz — rzekł wskazując na Meliklesa — czy ten chłopak robi co z tego gruchota?

Stary żołnierz spojrzał na niego wyblakłymi oczami.

— Ten chłopiec to syn żeglarza! — rzekł.

— Mówił ci to?

— Nie, ale to widać. Syn żeglarza albo syn cieśli okrętowego.

Diomenes nie był jednak przekonany. — To wszystko dobrze — rzekł — ale my jutro rano ruszamy. Nie zdążycie nic zrobić do tej pory.

— Musimy zdążyć!

* * *

I nazajutrz, gdy żołnierze opuszczali obóz, zawracając z powrotem do Cyreny, łódź Meliklesa stała już na morzu.

Melikles ze starym żeglarzem naprawiali jeszcze maszt, przybijali okucia, zakładali zszyte na prędcie płótno żaglowe na reję zrobioną z dyszla.

Żołnierze patrzyli na nich z ciekawością. Nikt nie śmiał się już. Widząc jednak, jak chłopiec wciąż wylewać musi wodę, wciekającą wszystkimi szparami do łodzi, zakładano się, że łódź nie dojedzie mimo wszystko do Cyreny.

Polinik chciał koniecznie jechać razem z Meliklesem, ale Diomenes sprzeciwił się temu stanowczo.

— Jak się przekonam, że ten gruchot jest naprawdę łodzią, która może płynąć, a ten świszczypała jest naprawdę żeglarzem — pozwolę ci towarzyszyć mu; wcześniej nie!

Polinik uparł się też i byłoby doszło do ostrej kłótni z ojcem, ale sam Melikles odradził przyjacielowi jego zamiar.

— Na łodzi mi się nie przydasz z tą obolałą głową, z którą się nawet schylić nie możesz. Jak wyzdrowiejesz, to inna rzecz. Teraz przeszkadzałbyś nam tylko.

Była to prawda i Polinik nie nalegał więcej. Rozstali się. Wojsko ruszyło na zachód. Nie tylko jednak Polinik, ale Diomenes i Eutybios, i wielu żołnierzy oglądało się raz po raz poza siebie na pozostawioną, samotną łódź, kołyszącą się lekko na fali przy samym brzegu.

Przeszli przez zakręt zatoki. Łódź zniknęła im z oczu.

* * *

Wieczorem wojsko rozłożyło się na nocleg w miejscu, gdzie stał niedawno warowny obóz grecki.

Polinik z Diomenesem siedzieli nad brzegiem, spoglądając niespokojnie na morze, daleko ku wschodowi.

Polinik robił ojcu gorzkie wyrzuty, że nie pozwolił mu jechać razem z przyjacielem, że zgodził się zwinąć tak prędko obóz, nie pozostawił nikogo w pobliżu.

Diomenes tłumaczył się, że to nie od niego zależało, ale sam był zły na siebie i zatroskany coraz więcej. Namyslał się, czy jednak nie trzeba posłać kilku konnych z powrotem, aby dowiedzieli się, co się stało z chłopcem. Słońce zaczynało się już zniżać, a łodzi ani śladu.

Nagle Polinik, który miał niezmiernie bystry wzrok, zerwał się z miejsca. — Jada! — krzyknął.

Jakoż zza zakrętu wynurzyła się sylwetka małego żaglowca. — Mały stateczek kołysał się lekko z boku na bok, szedł wolno, ale szedł.

— Czy to ta sama łódź?

— Ta sama. Krótki maszt, bo ułamany. Po tym można ją poznać od razu.

Żołnierze zauważyli także żaglowiec. Pokazywali go sobie wzajemnie.

Nadszedł Eutybios — i on zobaczył łódź.

— Dzielny chłopak — rzekł z uznaniem. — Uparł się, zawział, wbrew wszystkiemu i wszystkim, i postawił na swoim. I doprowadzi tę łódź do Cyreny.

Diomenes kiwnął głową.

— Tak — rzekł. — Będzie kiedyś z niego prawdziwy mężczyzna.

— Mylisz się, Diomenesie. On jest już nim teraz. Nie widziałeś go wczoraj przy naprawie tej łodzi?

— Widziałem. W każdym razie rad jestem, Poliniku, że zostałeś jego przyjacielem.

— I pozwolisz mi towarzyszyć mu odtąd?

— Cóż robić? Pozwolę chyba.

Po odejściu Eutybios Polinik miał długą rozmowę z ojcem. — Od czasu do czasu rzucali okiem na morze. Na tle ciemniejącego nieba sylwetka małego żaglowca chwiała się i kołysała, chwiała i kołysała, ale zbliżała się coraz bardziej.

* • *

Późną dopiero nocą, przy jasnym świetle księżyca, dobiła łódź Meliklesa do małego portu, gdzie przed paroma dniami stały okręty syrakusańskie.

Polinik i Diomenes czekali na nią.

Melikles wyszedł mokry, zabrudzony, chwiejący się na nogach, ale z radością i ogniem w oczach.

Polinik porwał go wpół. — Ojciec pozwolił mi wręszcie jechać z tobą! — zawołał.

— Tak jest — potwierdził Diomenes. — Nie wiedziałem, że jesteś żeglarzem, że znasz się tak na łodziach. Myślałem, że straciłeś wszystko, co miałeś, że przegrasz. Zły byłem nawet. Pomyliłem się. Przyznaję.

Melikles uśmiechał się z dumą. — Co prawda, to mogło być inaczej. Gdyby była większa fala, byłoby mi trudno.

— Chciałbym ci teraz pomóc, chłopcze — rzekł Diomenes — tym bardziej, jeśli Polinik ma być odtąd twoim towarzyszem. Masz może jaką prośbę?

— Tak, panie. Chciałbym, abyś zwolnił zupełnie ze służby tego żołnierza i pozwolił mu też jechać ze mną.

— To nie mój żołnierz, tylko Eutychiosa, a Euty-chios zwolni go z pewnością. I tak połowa co najmniej naszych żołnierzy będzie sobie musiała szukać innej pracy, bo Cyrene nie może długo utrzymywać takiej masy wojska.

Przez chwilę trwała cisza. Stary żołnierz-żeglarz wyszedł na ląd szukać swego dowódcy. Melikles nie opuszczał swej łodzi, pochylił się, badał, ile wody zbiera się na dnie.

— Wszystko w porządku — rzekł — jutro wieczorem będziemy w Cyrenie.

Diomenes przyglądał mu się bystro. — Myślisz być wcześniej, niż my?

— Naturalnie, skrócę sobie drogę ukosem.

Diomenes długo patrzył na młodego żeglarza, jak krzątał się wśród lin, płacht żaglowych, jak poprawiał maszt.

— Słuchaj, chłopcze — ozwał się powoli, jakby z namysłem. — Polinik wspominał mi o jeszcze jednej twojej prośbie.



Linia kropkowana – droga Meliklesa z Kartaginy do Miletu. Kolor czarny oznacza obszary zajęte przez Greków w czasach rozkwitu kolonizacji VII–VI wiek przed Chr.

Melikles zadrżał, krew uderzyła mu do głowy, czuł, że serce podchodzi mu do gardła.

— Coś ty mówił, Poliniku? — wyjąkał zduszonym głosem.

Polinik sprawdzał właśnie za przykładem Meliklesa, ile wody jest w barce. Sprawdzał uparcie, bardzo uparcie, długo i dokładnie, nie odwrócił się ani odezwał słowem.

— Mówił o Anyte — przerwał wreszcie ciszę Diomenes — czy to prawda?

Melikles spuścił głowę jak winowajca. — Prawda — szepnął.

— Ile ty masz lat, Meliklesie?

— Osiemnaście.

— Może nawet nie masz osiemnastu, a Anyte nie ma jeszcze piętnastu. Jesteście oboje prawie dzieci. Ale słuchaj, chłopcze. Niedawno mówiłem, że nie dam ci Polinika na łódź, póki nie przekonam się, że dajesz sobie radę na morzu. Przekonałeś mnie i zgodziłem się, aby Polinik został z tobą.

Tak, Meliklesie. I teraz też mówię: zobaczmy. Jeżeli będziesz umiał tak żeglować, jak umiesz naprawić łódź, jeżeli będziesz pracował tak, jak walczysz, jak umiesz być przyjacielem i bronić swoich, to — zobaczmy. Zobaczmy, chłopcze. Muszę cię poznać lepiej, poznać twoją rodzinę, widzieć, jak sobie dajesz radę w życiu. I wtenczas, tak... wtenczas... W każdym razie wiedz o tym, że chciałbym, chciałbym bardzo, żeby ci się powiodło. Rozumiesz?

Położył łagodnie rękę na ramieniu chłopca.

Melikles podniósł na niego oczy.

— Mówisz, Diomenesie — kiedy poznasz mnie lepiej, kiedy poznasz moją rodzinę, jakże to jest możliwe? Ja przecie, jak tylko naprawię dobrze łódź w Cyrenie, jadę dalej do swoich do Miletu. A ty...

Diomenes przerwał mu. — I ja jadę do Miletu, prawie do samego Miletu, do Samos. Książę Polikrates ofiarował mi dowództwo straży portowej w Samos. Przyjąłem je. Wyruszymy więc razem. I będziemy stale blisko, o pół dnia drogi morzem — prawda, Meliklesie?

A gdy po słowach jego zapanowało nagle milczenie, dodał z dziwnym uśmiechem. — Tak, chłopcy. Ja chcę jeszcze zobaczyć na starość tę świątynię na górze z czterema kolumnami — po drodze do Efezu.

*

Meliklesowi udało się wszystko!

Udało mu się przeprowadzić szczęśliwie łódź do Cyreny. I był tam pierwszy, przed wojskiem. A potem udało mu się naprawić ją dokładnie i postawić prawdziwy maszt przy wydatnej pomocy zacnego Kaliasa. A potem udało mu się przejechać bez żadnego wypadku długą drogę od brzegów Libii, czyli Afryki do Azji Mniejszej.

Żeglował cały czas, starając się trzymać w pobliżu wielkiej barki samojskiej, na której jechali Nehurabhed, Diomenes i Anyte.

Przy dobrym wietrze żaglowiec wyprzedzał wiosłową barkę, przy złym pozostawał w tyle, zawsze jednak prawie podróżująca barką trójka mogła widzieć na horyzoncie sylwetkę małego żaglowca, prowadzonego ręką młodego żeglarza.

Diomenes drżał przy tym ciągle o swego syna, który pod niedoświadczonym kierownictwem „tego świszczy-pały“, jak nazywał Meliklesa, odbywa swoją pierwszą próbną podróż na morzu.

Przy przeprawie z wyspy Krety na Rodos maleńka łódź po raz pierwszy pozostawszy znacznie w tyle — zniknęła im z oczu. Na barce zaczęto się niepokoić, tym har-

dziej, że wkrótce zmieniła się dotychczas trwająca pogoda i groźna nawałnica wzburzyła morze. Dla potężnej sześćdziesięciowiosłowej barki burza ta nie była straszna, wszyscy natomiast z trwogą myśleli o losie wątłego żaglowca, targanego wichurą i uderzeniami rozszalałych fal.

Minęła burza, minął dzień jeden i drugi, barka samojska opłynąwszy Rodos zbliżała się już do brzegów azjatyckich, a małego żaglowca wciąż jeszcze nie było widać na horyzoncie.

Anyte pochlipywała całe dni, wypatrując zapłakane oczy, Diomenes był milczący i zły, Nehurabhed tylko podtrzymywał ich na duchu opowiadaniem o zaradności chłopca podczas takiej samej burzy przy przeprawie z Kartaginy do Syrakuz.

Ale w Halikarnasie, pierwszym wielkim porcie greckim na brzegu małoazjatyckim — niepokoje ich skończyły się. — Łódź Meliklesa nieuszkodzona z całą maleńką załogą dogoniła ich znowu.

Okazało się przy tym, że sroga burza nie mogła zrobić im krzywdy, gdyż nie znalazła ich wcale na morzu. — Melikles z wprawą prawdziwego dziecka morza — przeczuł idącą nawałnicę i po naradzie ze starym żeglarzem — sternikiem postanowił nie narażać kruchej łodzi na groźny szkwał. Zawrócił w porę do lądu.

Dopiero po przejściu burzy wyruszył ponownie z Krety na zachód i, korzystając z silnego wiatru, w kilka ledwie godzin po barce samojskiej przybił do przystani Halikarnasu.

Diomenes, dowiedziawszy się o wszystkim, nabrał szacunku do zdolności żeglarskich Meliklesa i przestał nawet w myśli nazywać go „świszczypałą“.

— Cieszę się, że Polinik uczy się żeglarstwa u tak dobrego nauczyciela — mówił z żartobliwą powagą.

* * *

A potem nadszedł dzień, kiedy Melikles ujrzał z daleka znajome wzgórze Miletu, znany dobrze port, zabudowania nadbrzeżne, białe domki wśród zielonych winnic.

A potem odszukał znajome od dzieciństwa kamienne schodki, wiodące w górę ku miastu i wąską uliczkę tuż niedaleko portu.

A potem...

Polinik, który szedł za Meliklesem nie mogąc za nim nadążyć, zatrzymał się przy wejściu do małego domku. Melikles wpadł do środka.

Po chwili do uszu Polinika doszedł krzyk gwałtowny, przeciągły, radosny.

Polinik chwilę wahał się, otworzył drzwi, przeszedł przez małą sionkę.

Przed nim na maleńkim podwóreczku stał Melikles, obejmując krzepko matkę swoją. Mały chłopiec i mniejsza jeszcze dziewczynka tulili się do niego krzycząc jedno przez drugie.

Coś tam szlochali, coś tam opowiadali sobie urywanymi z płaczu słowami. Polinik stał długo, zakłopotany, nie wiedząc co z sobą robić.

Melikles spostrzegł go wreszcie. — To przyjaciel mój najlepszy! — krzyknął wzywając go ręką do siebie. Po czym pochylił się prędko do ucha matki.

— Tylko pamiętaj, mamó, że ja mam osiemnaście lat — szepnął — to bardzo ważne.

Matka podniosła na niego zapłakane oczy.

— Co masz, synku, takiego ważnego?

— Osiemnaście lat.

— Dobrze, synku.

* * *

Jest południe. Upalne letnie południe.

Melikles z Nehurabhedem siedzą na kamiennym nadbrzeżu portowym.

Przed nimi przystań, dalej zatoka, morze. Woda w przystani ledwie drży, mieni się łuską, muskana ciepłym podmuchem wiatru. Zakotwiczone w przystani barki i łodzie kołyszą się lekko, jakby senne.

Najbliżej, tuż prawie pod stopami siedzących, stoi mały, piękny żaglowiec. Żaglowiec jest świeżo odmalowany i nosi na boku wyraźny, duży napis: „Anyte“.

A sama Anyte jest też na łodzi. Przyjeżdża ona co parę dni od swego ojca z Samos do matki Meliklesa, która siedzi obok niej i naprawia sieć; przyjeżdża, aby uczyć się przyszej swej pracy, jako narzeczona żeglarza i rybaka. Ale dziewczynę rozmarzyło gorąco i jednostajne kołysanie się łodzi. Śpi przy sterze z rozchyłonymi lekko ustami, z rozrzuconą falą złotych włosów, z ramieniem, podłożonym pod głowę. Oddycha spokojnie.

A morze, a woda w przystani oddycha jakby też przez sen, pluska lekko o brzeg, chlupoce czasem cicho pod burtą żaglowca, muskając ją nieśmiałą pieszczotą rozbryzganych kropel.

* * *

— Tak, więc musimy się już rozstać niedługo, Meliklesie, trudno. Trzeba.

— Nie możesz zostać dłużej, panie?

— Nie mogę. I tak miałem być tylko kilka dni w Mielcie, a jestem już parę tygodni. Czas jechać.

— Ale przyjedziesz tu, panie — obiecałeś — na pewno!

— Przyjadę.

— Niedługo?

— Chyba tak. Smutno mi będzie bez ciebie, mój chłopcze.

— Musisz przyjechać, panie. Pomyśl, jak będzie nam dobrze. — I Anyte polubiła cię tak, i Diomenes, i Polinik, i matka moja.

— Tak. Jakoś trzeba będzie to zrobić, aby tu być znowu. Może postaram się, aby mnie wysłano do Sardes albo do Delf. W każdym razie chociaż przejazdem muszę być tutaj i zobaczyć ciebie i twoich. — Obrzucił Meliklesa smutnym spojrzeniem, a po chwili mówił dalej.

— Wy, Grecy jesteście strasznym narodem. Kto was raz poznał, musi do was wciąż wracać. Tak. Może to dlatego, że wy jedni nauczyliście się najważniejszej rzeczy.

— Jakiej?

— Życ. Wy jedni umiecie żyć. To wielka mądrość. — Melikles uśmiechnął się. — Życie jest piękne — mówił.

Nehurabhed pokręcił głową, sposepniał nagle.

— Mogłoby nim być może... kiedyś... — Kiedyś, kiedy ludzie uczą się wreszcie dwóch wielkich mądrości: jak żyć i jak rządzić.

— Tak, to musi być wielka sztuka — rządzić, rządzić wielkim państwem, kilkoma narodami naraz — szepnął Melikles.

— Nie, chłopcze, to jest najmniejsza sztuka, choć ludzie sądzą inaczej. Rządzić dwudziestu nawet narodom, zdobyć pół świata, to jeszcze marna mądrość — i nie warta zachodu i stać na nią byle spryciarza, pod warunkiem, że nie będzie miał jeszcze ani duszy, ani sumienia.

Ale rządzić jednym choćby miastem, lecz tak, aby nauczyć ludzi żyć, rządzić tak, aby każdy czuł się w tym mieście dobrze — to jest dopiero mądrość, Meliklesie, mądrość prawdziwa, której się warto nauczyć. I na tyłu władców, których widziałem, jednego znałem tylko, który

zaprawdę godzien był tej nazwy, Solona Ateńczyka. Jego jednego! Oby Bóg dał mi jeszcze spotkać się z nim kiedyś.

Nastala cisza.

Starzec zapatrzył się w swe myśli, wspomnienia, Melikles w stojącą przed nim łódź, mocną, wierną, gotową do drogi.

Uśmiechnął się radośnie.

— Jednak świat jest piękny — powtórzył.

— Mówileś mi to już kiedyś, chłopcze, tam w Tarencie.

— Wtenczas jeszcze nie miałem Anyte.

Nehurabhed nie wiedział, o której Anyte mówi chłopiec — o łodzi czy o dziewczynie.

Prawdopodobnie o obydwóch razem.

* * *

A dziewczyna obudziła się właśnie, przeciągnęła w słońcu, odgarnęła leniwym ruchem włosy, po czym oczy jej poszukały zaraz Meliklesa.

— Wiecie, co mi się śniło? — powiedziała wysokim, dziecinnym jeszcze głosem — Zeus!

— Zeus. — Nehurabhed uśmiechnął się dobrotliwie.

— Tak. Zeus. Taki stary, gruby, z ogromną, siwą brodą, a wielki, wielki jak obłok.

— I cóż on robił — ten Zeus?

— Nic nie robił. Patrzył na nas i uśmiechał się.

